

ARTHUR C. CLARKE

Odyseja Kosmiczna 2001

(Przełożył: Jędrzej Polak)

PRZEDMOWA

Za każdym żyjącym obecnie człowiekiem stoi trzydzieści duchów - taki jest bowiem stosunek, w jakim martwi przewyższają liczebnie żywych. Od zarania dziejów żyło na Ziemi w sumie około stu miliardów ludzi.

Jest to interesująca liczba. Dziwnym zrządzeniem losu w naszej galaktyce, którą jest Droga Mleczna, znajduje się około stu miliardów gwiazd. Tak więc dla każdego człowieka, który kiedykolwiek stąpił po Ziemi, świeci jedna gwiazda naszej Galaktyki.

Każda z tych gwiazd jest słońcem, często o wiele jaśniejszym i wspanialszym niż nasza mała, najbliższa gwiazda, którą nazywamy Słońcem. Mnóstwo - być może większość - z tych obcych słońc posiada krążące wokół nich planety. Z pewnością więc jest na niebie wystarczająco dużo "Ziem", by każdy członek rasy ludzkiej - włączywszy w to pierwszych człokształtnych - miał swój własny raj lub piekło wielkości świata.

Nie jest nam dane odgadnąć, jak wiele z tych potencjalnych rajów lub piekieł jest zamieszkanym i przez jakiego rodzaju istoty. Najbliższy z nich znajduje się milion razy dalej niż Mars czy Wenus, które ciągle stanowią odległe cele kolejnych pokoleń. Lecz pokonujemy bariery odległości i być może któregoś dnia spotkamy pośród gwiazd równych sobie, jeśli nie potężniejszych.

Ludzkość bardzo wolno zdaje sobie sprawę z tej możliwości, gdyż - jak sądzą niektórzy - nigdy nie stanie się ona rzeczywistością. Jednak coraz więcej ludzi zadaje pytanie: Dlaczego nie doszło jeszcze do takiego spotkania, skoro my sami już za chwilę podbijemy kosmos?

Dlaczego? Oto jedna z możliwych odpowiedzi na to bardzo rozsądne pytanie. Pamiętajcie jednak, proszę, że jest ona jedynie fikcją.

Prawda - jak to bywa - okaże się o wiele bardziej niezwykła.

A.C.C.

CZĘŚĆ PIERWSZA

PRANOC

1 - DROGA DO ZAGŁADY

Susza trwała już dziesięć milionów lat. Panowanie olbrzymich jaszczurów dawno dobiegło końca. Tutaj na równiku - na kontynencie, który kiedyś zostanie nazwany Afryką - walka o przetrwanie toczyła się coraz bardziej zażarcie i nie można było przewidzieć, kto wyjdzie z niej jako zwycięzca. Na tym opustoszałym, wysuszonym lądzie mogło powieść się tylko małym, szybkim i dzikim. Tylko tacy mogli liczyć na przetrwanie.

Małpoludy z sawanny nie posiadały żadnej z tych cech. Nie działa im się dobrze. Staczały się po drodze gatunkowej zagłady. Plemię składające się z około pięćdziesięciu okazów zajmowało zespół jaskiń położony nad małą, spieczoną doliną, przedzieloną niemrawym strumykiem zasilanym śniegami z gór położonych o dwieście mil na północ. W złych czasach strumyk znikał całkowicie, a plemię żyło na krawędzi śmierci z pragnienia.

Zawsze byli głodni, teraz głód przynosił śmierć. Gdy do jaskini wpełzł pierwszy słaby promień świtu, Strażnik Księżyca zauważył, że jego ojciec umarł w nocy. Nie zdawał sobie sprawy, że Starzec był jego ojcem. Związki rodzinne były całkowicie poza możliwościami jego pojmowania. Lecz gdy spojrział na wyniszczone ciało, poczuł niejasny niepokój, zapowiedź smutku.

Dwoje dzieci skomlało o jedzenie. Warknięciem przywołał je do porządku. Jedna z matek - broniąc niemowlęcia, którego nie mogła wykarmić - mruknęła gniewnie w odpowiedzi. Brakło mu sił, żeby szturchnąć ją za tę arogancję.

Było już wystarczająco jasno, żeby wyjść. Strażnik Księżyca podniósł pomarszczone zwłoki i pociągnął je za sobą, zginając się pod niskim nawisem jaskini. Na zewnątrz przerzucił sobie ciało przez bark i wyprostował się - jedyne zwierzę na tym świecie, które potrafiło to zrobić.

Strażnik Księżyca był niemal olbrzymem pomiędzy swoimi. Mierzył prawie pięć stóp i chociaż niedożywiony, ważył ponad sto funtów. Jego owłosione, muskularne ciało przypominało w połowie małpę, w połowie zaś człowieka, jednak głowa była bardziej ludzka niż małpia. Czoło miał niskie, z wysklepionymi łukami nad każdym oczodołem. Mimo to w jego genach znajdowała się niewątpliwie zapowiedź ludzkości. Gdy spoglądał na wrogi świat plejstocenu, w jego wzroku było coś nieosiągalnego dla żadnej małpy. W tych ciemnych, głęboko osadzonych oczach rodziła się świadomość - pierwsza oznaka inteligencji mającej spełnić się dopiero za wieki; inteligencji, której teraz groziła zagłada.

Nic nie wskazywało na niebezpieczeństwo, więc Strażnik Księżyca zaczął zsuwać się po prawie pionowym stoku przed jaskinią, wstrzymywany jedynie przez ciężar martwego ciała. Jak

gdyby czekając na ten sygnał, reszta plemienia wyłoniła się ze swych domostw usytuowanych poniżej na skalnej ścianie, spiesząc do błotnistej strumienia, by ugasić poranne pragnienie.

Strażnik Księżyca spojrział na przeciwległy kraniec doliny i sprawdzał, czy w zasięgu wzroku byli Inni. Nie zauważył nikogo. Być może Inni nie wyszli jeszcze z jaskiń, a może plądrowali już dalsze szczyty wzgórz w poszukiwaniu jedzenia. Nikogo nie widząc, Strażnik Księżyca zapomniał o Innych. Nie umiał martwić się więcej niż jedną rzeczą na raz.

Najpierw musi pozbyć się Starca. Ten problem nie wymagał długiego zastanowienia. O tej porze zdarzało się wiele śmierci, jedna z nich w jego własnej jaskini. Zwłoki Starca musi położyć tam, gdzie zostawił w ostatniej kwadrze Księżyca martwe dziecko. Hieny załatwią resztę.

Czekały już w miejscu, gdzie mała dolina rozszerzała się przechodząc w sawannę, jak gdyby spodziewały się jego nadejścia. Strażnik Księżyca położył zwłoki pod niewielkim krzakiem - po pierwszych kościach nie został nawet ślad - i zawrócił pospiesznie, aby połączyć się z plemieniem. Nigdy już nie pomyślał o ojcu.

Jego dwie samice, dorosły z innych jaskiń oraz większość młodych buszowali pomiędzy wyschlými, karłowatymi drzewami, które rosły w dolinie, szukając jagód, soczystych korzeni i liści, a także nieoczekiwanych zdobyczy w postaci małych jaszczurek i gryzoni. Tylko dzieci i najslabsi ze starych zostali w jaskiniach. Jeśli po całym dniu poszukiwań zostanie nadwyżka żywności, być może dostaną swoją porcję. Jeśli nie, hieny wkrótce znowu będą szczęśliwe.

Jednak ten dzień okazał się pomyślny, chociaż Strażnik Księżyca, nie potrafiąc zapamiętywać przeszłości, nie mógł porównać jednego dnia z drugim. Znalazł rój pszczół w pniu martwego drzewa, skosztował więc największego specjału, jaki kiedykolwiek jedli. Raz po raz oblizywał palce prowadząc grupę w kierunku domostw późnym popołudniem. Oczywiście otrzymał również kilka użądleń, ale prawie ich nie zauważył. Czuł się bliski tego, co można by nazwać zadowoleniem, bo chociaż był ciągle głodny, głód nie odbierał mu sił. To było wszystko, czego mógł żądać jakikolwiek małpolud.

Zadowolenie zniknęło, gdy osiągnęli strumień. Na miejscu byli już Inni. Bywali tam codziennie, ale to wcale nie zmniejszało jego irytacji. Było ich około trzydziestu, niczym nie odróżniających się od członków plemienia Strażnika Księżyca. Gdy spostrzegli, że nadchodzi, zaczęli tańczyć, potrząsać ramionami i wrzeszczeć po swojej stronie strumienia. Jego ludzie odpowiedzieli tym samym.

Nic więcej się nie stało. Chociaż małpoludy często walczyły i zmagaly się ze sobą, ich potyczki rzadko kończyły się poważnymi obrażeniami. Nie mogły wyrządzać sobie większej krzywdy, nie miały pazurów ani ostrych, psich zębów, ochroną było także futro. Lecz przede wszystkim małpoludy miały za mało energii na takie nieproduktywne zachowanie. Powarkiwanie i

groźby były znacznie wydajniejszym sposobem dowodzenia swoich racji.

Konfrontacja trwała prawie pięć minut. Pokaz zakończył się tak szybko, jak się zaczął, po czym każdy zabrał swoją miarę błotnistej wody. Honor został uratowany. Obydwie grupy wyraziły swoje prawa do własnego terytorium. Uporawszy się ze sprawami najważniejszymi, plemię wyruszyło wzdłuż swojego brzegu rzeki. Najbliższe, warte zachodu pastwisko znajdowało się teraz o więcej niż milę od jaskiń. Musieli dzielić je ze stadem dużych, podobnych do antylop zwierząt, które rzadko tolerowały ich obecność. Zwierząt tych nie można było przepędzić, ich oręż stanowiły niebezpieczne ostrza wyrastające z czół. Małpoludy nie posiadały takiej naturalnej broni.

Strażnik Księżyca i jego towarzysze żuli jagody, owoce i liście walcząc z męczącym głodem, podczas gdy wokół nich znajdowało się niemal niewyczerpane źródło żywności. Tysiące ton soczystego mięsa przemierzającego zarośla sawanny było nie tylko poza ich zasięgiem, było również poza ich wyobraźnią. Pośród obfitości powoli umierali z głodu.

W ostatnim świetle dnia plemię powróciło do jaskiń bez żadnych incydentów. Ranna samica, która pozostała w jaskini, gruchała z lubością, gdy Strażnik Księżyca wręczył jej przyniesiony ze sobą pokryty jagodami krzak. Natychmiast też zabrała się żarłocznie do jedzenia, które - chociaż niezbyt pożywne - pomoże jej przetrwać do momentu zagojenia się rany zadanej przez lamparta. Wtedy znów będzie mogła zająć się zbieraniem pokarmu.

Ponad doliną wschodził księżyc w pełni. Z odległych gór wiał chłodny wiatr. W nocy będzie bardzo zimno, lecz zimno - jak głód - nie było dla nich czymś niezwykłym. Było częścią ich życia.

Strażnik Księżyca poruszył się nieznacznie, gdy usłyszał krzyk i wrzask dochodzący z jednej z niżej położonych jaskiń. Nie musiał czekać na rzadkie warknięcia lamparta, by domyśleć się, co się stało. Poniżej w ciemności stary Białowłosey i jego rodzina walczyli o życie i umierali. Strażnikowi Księżyca nie przyszło na myśl, że mógłby im w czymkolwiek pomóc. Twarda logika przetrwania wykluczała takie odruchy. Z nasłuchującego wzgórza nie podniósł się nawet jeden głos protestu. Wszystkie jaskinie zamarły w obawie o własne bezpieczeństwo.

Tumult ucichł i do Strażnika Księżyca dobiegł odgłos ciała ciągniętego po skale. Trwało to kilka sekund. Potem lampart mocniej schwycił zdobycz. Przestał hałasować i stąpając w ciszy bez wysiłku niósł w szczękach swą ofiarę.

Przez dzień lub dwa będzie spokój. Lecz mogą przyjść inni nieznani wrogowie, wykorzystujący to zimne małe słońce, które świeci tylko w nocy. Jeśli dostrzeże się ich w porę, być może mniejsi drapieźnicy dadzą się spłoszyć okrzykami i piskiem. Strażnik Księżyca wyczołgał się z jaskini. Wspiął się na duży głaz leżący obok wejścia i ukucnął, spoglądając badawczo na dolinę.

Ze wszystkich zwierząt, które do tej pory chodziły po Ziemi, małpoludy jako pierwsze

wpatrywały się w księżyc. I chociaż nie mógł tego pamiętać, Strażnik Księżyca w dzieciństwie często wyciągał rękę starając się dotknąć tę upiorną twarz wznoszącą się nad wzgórzami. Nigdy nie zdołał jej schwytać i teraz był już wystarczająco dorosły, aby zrozumieć dlaczego. Musiałby przede wszystkim znaleźć odpowiednio wysokie drzewo, na które mógłby się wspiąć.

Od czasu do czasu spoglądał na dolinę i potem znów na księżyc. Przez cały czas nasłuchiwał. Raz lub dwa zapadał w drzemkę, lecz spał z wyostrzoną czujnością, mógł go obudzić najłżejszy dźwięk. Osiągnąwszy wspinały wiek dwudziestu pięciu lat, Strażnik Księżyca był ciągle w pełni sił. Jeśli dopisze mu szczęście i uniknie wypadków, chorób, drapieżców i głodu, będzie mógł przeżyć kolejne dziesięć lat.

Zimna i przejrzysta noc mijała spokojnie, a księżyc wschodził powoli pośród równikowych konstelacji, których nigdy nie zobaczy ludzkie oko. W jaskiniach pomiędzy niespokojnym snem a złąknionym oczekiwaniem rodziły się koszmary przyszłych generacji.

Na niebie dwukrotnie przesunął się powoli - wznosząc się do zenitu i opadając na wschodzie - oślepiający punkt światła, jaśniejszy niż każda gwiazda.

2. NOWY GŁAZ

Późno w nocy Strażnik Księżyca zerwał się gwałtownie ze snu. Spał głębiej niż zazwyczaj, zmęczony wysiłkiem i nieszczęściami dnia poprzedniego, był jednak czujny na pierwsze, dalekie odgłosy z doliny.

Usiadł w cuchnącej ciemności jaskini, natężając zmysły odbierające wrażenia nocy. Do jego duszy wkraść się strach. Nigdy w swoim życiu - dwukrotnie dłuższym niż większości członków jego gatunku - nie słyszał takiego dźwięku. Kiedy zbliżały się w ciszy wielkie koty, jedynym odgłosem, jaki je zdradzał, były rzadkie obsunięcia ziemi lub przypadkowy trzask gałązki. Tym razem jednak słyszał ciągły, skrzypiący dźwięk narastający z wolna. Wydawało mu się, że jakieś olbrzymie zwierzę sunie poprzez noc, nie dbając o bezpieczeństwo i ignorując charakterystyczny trzask wrywanego z korzeniami krzewu. Słonie i dinoteria często zachowywały się w taki sposób, poza tym jednak potrafiły poruszać się cicho jak koty.

Nagle Strażnik Księżyca usłyszał coś, czego w żadnym razie nie mógłby zidentyfikować, a czego nigdy przedtem nie słyszano w historii świata - brzęk metalu o kamień.

Strażnik Księżyca stanął twarzą w twarz z Nowym Głazem, gdy w pierwszym świetle poranka prowadził plemię w dół do rzeki. Nie pamiętał już o nocnych niepokojach, ponieważ nie groźnego nie wydarzyło się po tajemniczym dźwięku. Ta dziwna rzecz nie kojarzyła mu się z niebezpieczeństwem i strachem, nie wywoływała obaw.

Była to prostokątna płyta, trzy razy wyższa od niego, lecz dostatecznie wąska, by można ją zmierzyć rozpiętością ramion. Była wykonana z całkowicie przezroczystego materiału i trudno byłoby ją dostrzec, gdyby nie błyski na jej krawędziach wschodzącego słońca.

Strażnik Księżyca nigdy nie widział lodu czy nawet przejrzystej wody, nie znajdował więc żadnych naturalnych przedmiotów, z którymi mógłby porównać to zjawisko. Z pewnością było ono ciekawe i chociaż instynkt nakazywał mu ostrożność w stosunku do nowości, nie wahał się długo przed podejściem. Gdy nic się nie stało, wysunął dłoń i poczuł zimną, twardą powierzchnię.

Po kilku minutach intensywnego myślenia przyszło mu do głowy wspaniałe wyjaśnienie. Oczywiście była to skała, która wyrosła tutaj w ciągu nocy. Znał wiele roślin, które rosły równie szybko: białe, papkowate kłaczka w kształcie kamieni, strzelające w górę podczas godzin ciemności. To prawda, były małe i okrągłe, podczas gdy to tutaj było duże i miało ostre krawędzie, jednak Strażnik Księżyca kładąc podwaliny myśli filozoficznej gotów był - podobnie jak jego wielcy następcy - zaakceptować ten wyjątek od reguły.

Po trzech lub czterech minutach kolosalnego wysiłku abstrakcyjnego myślenia Strażnik

Księżycyca postanowił sprawdzić swoje wnioski. Białe, okrągłe rośliny-kamyki były bardzo smaczne, chociaż niektóre powodowały gwałtowne choroby; być może ta duża...? Kilka liźnięć i próba delikatnego ugryzienia rozczarowały go szybko. To nie było pożywne. Jako rozsądny małpolud poszedł swoją drogą do rzeki, zapominając podczas rutynowego przedrzeźniania Innych o kryształowym monolicie.

Tym razem zbiory nie były pomyślnie. Plemię musiało przejść kilka mil od jaskiń, żeby znaleźć cokolwiek do jedzenia. Podczas bezlitosnego południowego skwaru jedna ze słabszych samic upadła, było daleko do jakiegokolwiek schronienia. Jej towarzysze zebrali się wokół, ćwierkając i piszcząc ze współczuciem, ale nikt nie mógł jej pomóc. Gdyby nie zmęczenie, ponieśliby ją ze sobą, lecz nie mieli dość sił na takie uprzejmości. Musiała zostać, aby wyzdrowieć lub nie - zależnie od własnych możliwości. Wieczorem wracając do domu, przechodzili obok tego miejsca. Po samicy nie została nawet kosteczka.

W ostatnich promieniach zachodzącego słońca, rozglądali się nerwowo w obawie przed wczesnymi myśliwymi, szybko napili się w strumieniu i zaczęli wspinać do swoich jaskiń. Byli oddaleni o sto jardów od Nowego Głazu, gdy usłyszeli dźwięk. Był prawie niesłyszalny, jednak zamarli w miejscu, stali na drodze sparaliżowani z opuszczonymi szczękami. Prosta, ogłupiająca, powtarzająca się wibracja pulsowała z kryształu i hipnotyzowała wszystko, co znalazło się w jej zasięgu. Po raz pierwszy - i po raz ostatni przez najbliższe trzy miliony lat - rozległ się w Afryce dźwięk bębnow.

Pulsacja narastała, stawała się bardziej natarczywa. Małpoludy zaczęły posuwać się jak lunatycy w kierunku tego zniewalającego dźwięku. Od czasu do czasu stawiały taneczne kroczki, a ich krew odpowiadała na rytm, który ich potomkowie stworzą dopiero po wiekach. Całkowicie zuroczeni zebrali się wokół monolitu, zapominając o codziennych kłopotach, niebezpieczeństwie zapadającego zmroku i pustych żołądkach.

Bębnienie stawało się głośniejsze, noc ciemniejsza. I gdy cienie wydłużyły się, a światło znikło z nieba, kryształ zaczął świecić. Najpierw stał się nieprzeźroczysty, pokryty bladą, mleczną luminescencją. Zwodnicze, nieokreślone fantomy przesuwają się po powierzchni i w jego głębi. Łączyły się w pasy światła i cienia, formując zazębiające się, promieniste wzory, które zaczęły się wolno obracać.

Światne koła kręciły się coraz szybciej, wraz z nimi narastała pulsacja bębnow. Teraz całkowicie zahipnotyzowane małpoludy mogły jedynie wpatrywać się z opadającymi szczękami w ten zadziwiający pokaz pirotechniki. Zapomnieli o wrodzonym instynkcie i lekcjach, które otrzymali od życia; normalnie żaden z nich nie pozostawałby tak daleko od jaskini o tak późnej porze. Otaczające ich zarośla były pełne zamarych kształtów i wytrzeszczonych ślepi, zwierzęta

nocy zastygły w bezruchu ciekawe, co stanie się dalej.

Wirujące, świetlne koła zaczęły się zlewać, a promienie łączyły się w świecące pasy, które powoli ginęły, obracając się wokół własnych osi. Dzieliły się na pary, a powstałe zbiory prostych poczęły przenikać poprzez siebie, zmieniając powoli kąty przecięcia. Fantastyczne, przelotne, geometryczne wzory migotały pojawiając się i znikając, podczas gdy świecąca siatka nakładała się na siebie i rozpadała. Małpoludy patrzyły jak urzeczona na świecący kryształ.

Nie mogły zdawać sobie sprawy z tego, że ich umysły były badane, ich ciała opisywane, ich reakcje sprawdzane, ich możliwości oceniane. Początkowo całe plemię pozostawało w pozycji na wpół przykucniętej, jak na nieruchomym, żywym obrazie, jak gdyby zastygłe w kamieniu. Po chwili małpolud znajdujący się najbliżej płyty nagle ożył. Nie ruszył się z miejsca, lecz jego ciało straciło sztywność i zaczęło drgać, jakby był marionetką sterowaną niewidzialnymi sznurkami. Głowa obróciła się w jedną i w drugą stronę, usta cicho otworzyły się i zamknęły, dłonie zacisnęły i rozluźniły. Potem schylił się, wyrwał długie źdźbło trawy i próbował zawiązać na nim węzeł niezdarnymi palcami.

Wyglądał jak nawiedzony, walcząc przeciwko jakiemuś duchowi lub demonowi, który zawładnął jego ciałem. Z trudem chwytał oddech, jego oczy były pełne strachu, gdy próbował zmusić palce do zrobienia ruchów bardziej skomplikowanych niż te, które wykonywał do tej pory. Pomimo wysiłków, udało mu się jedynie połamać źdźbło na kawałki. Gdy skrawki trawy opadały na ziemię, opuściła go dotychczasowa energia i ponownie zamarł w bezruchu.

Ożył kolejny małpolud, który wykonał te same czynności. Był to młodszy, bardziej podatny okaz; udało mu się to, czego nie mógł dokonać starszy. Na planecie Ziemi zawiązano pierwszy, niezdarny węzeł.

Inni wykonywali dziwniejsze i bardziej bezcelowe rzeczy. Jedni wyciągali przed siebie ręce, starając się zetknąć je czubkami palców, najpierw z otwartymi oczami, potem z jednym okiem zamkniętym. Drudzy wpatrywali się w regularne wzory na kryształach, które dzieliły się coraz bardziej, do momentu gdy linie zlały się w szarą plamę. Wszyscy słuchali pojedynczego, czystego dźwięku poniżej poziomu słyszalności.

Gdy przyszła jego kolej, Strażnik Księżyca poczuł niewielki strach. Owładnęła nim przede wszystkim tępa złość, gdy jego mięśnie kurczyły się, a członki poruszały na komendę, która zupełnie nie pochodziła od niego. Nie wiedząc dlaczego, pochylił się i podniósł niewielki kamień. Kiedy się wyprostował, zobaczył, że na płycie kryształu pojawił się nowy wzór. Siatka i tańczące wzory znikły. Zamiast nich ujrzał grupę koncentrycznych linii, otaczających mały, czarny krążek.

Posłuszny cichym rozkazom mózgu, rzucił kamień niezdarnym ruchem ręki nad głowę. Kamień minął cel o kilka stóp. Spróbuj ponownie - usłyszał rozkaz. Szukał wokół, aż znalazł

kolejny kamień. Tym razem trafił w płytę, która odpowiedziała metalicznym dźwiękiem. Wciąż nie mógł ucelować w środek, jednak było już lepiej niż za pierwszym razem.

Przy czwartej próbie trafił kilka cali od centralnego krążka. Uczucie nieopisanej radości, niemal seksualne w swej intensywności, przepełniło jego umysł. Zniewolenie powoli ustępowało. Nie czuł już potrzeby zrobienia czegokolwiek oprócz stania i czekania.

Teraz jeden po drugim, każdy z członków plemienia wykonywał nakazane ćwiczenie. Większości nie udało się, lecz niektórzy wykonali postawione przed nimi zadania. Wszyscy byli odpowiednio nagradzani uczuciami przyjemności lub bólu.

Po chwili na wielkiej płycie pojawiła się jednolita, bezkształtna poświata. Płyta wyglądała jak blok światła nałożony na otaczającą go ciemność. Jak gdyby budząc się ze snu, małpoludy potrząsały głowami i ruszały szlakiem do swych kryjówek. Nie oglądały się i nie zastanawiały nad dziwnym światłem, prowadzącym je do domów, ani nad przyszłością, nie znaną jeszcze nawet gwiazdom.

3. AKADEMIA

Strażnik Księżycyca i jego towarzysze nie zachowali w pamięci tego, co zobaczyli. Gdy odzyskali kontrolę nad swoimi ciałami, prysnął też hipnotyczny czar zniewalający ich umysły. Następnego dnia, udając się po codzienne pożywienie, przeszli obok kryształu bez specjalnego zainteresowania. Stał się on częścią nie zwracającego uwagi tła ich życia. Nie mogli go zjeść, on zaś nie chciał zjeść ich, był więc nieważny.

Przy rzece Inni jak zwykle wykonywali swoje mało efektywne groźby. Ich przywódca - jedno-uchy małpolud wielkości Strażnika Księżycyca i w jego wieku, lecz w znacznie gorszej kondycji - usiłował nawet dokonać krótkiego wypadu na terytorium wrogiego plemienia. Wrzeszczał głośno i wymachiwał ramionami, próbując spłoszyć obronę i dodając sobie odwagi. Woda w strumieniu nigdzie nie była głębsza niż na jedną stopę, jednak im dalej posuwał się jednouchy, tym bardziej wzrastała jego niepewność i zakłopotanie. Wkrótce zatrzymał się, a następnie wycofał, z przesadną dumą dołączając do swoich towarzyszy.

Oprócz tego nic nie naruszyło normalnego porządku dnia. Plemię zebrało wystarczająco dużo pożywienia, by przetrwać kolejną noc. I nikt nie umarł.

Kryształowa płyta czekała na nich, otoczona pulsującą emanacją światła i dźwięku, również i tego wieczoru. Tym razem emitowała nieco inny program. Niektóre małpoludy zostały kompletnie pominięte, jak gdyby kryształ koncentrował się na najbardziej obiecujących okazach. Strażnik Księżycyca należał do tej drugiej grupy. Poczuł, jak inwigilujące czułki penetrują nieużywane połączenia jego mózgu. Zaczął mieć wizje.

Być może pojawiły się one na kryształowym bloku, być może wyłącznie w jego umyśle. W każdym razie dla Strażnika Księżycyca były całkowicie rzeczywiste. I tylko przytłumiony został zwykły, instynktowny odruch wypędzania obcych z własnego terytorium.

Widział spokojną grupę rodzinną, różniącą się tylko pod jednym względem od tej, którą znał. Samiec, samica i dwoje niemowląt, którzy w tajemniczy sposób pojawili się przed nim, byli najedzeni, przejedzeni nawet. Ich skóra lśniła i połyskiwała. Wiedli życie, jakiego Strażnik Księżycyca nie mógł sobie wyobrazić. Podświadomie poczuł własne, wystające żebra. Żebra tamtych pokryte były zwalami tłuszczu. Od czasu do czasu poruszali się leniwie, przyjmując nonszalanckie pozy przy wejściu do jaskini; bezsprzecznie byli pogodzeni ze światem. Wielki samiec wydawał niekiedy donośne beknienia zadowolenia.

Nic innego się nie działo i po pięciu minutach scena nagle zniknęła. Kryształ ponownie zmienił się w połyskujący w ciemnościach kształt. Strażnik Księżycyca otrząsnął się, jak gdyby

budząc się ze snu. Naraz zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje i poprowadził plemię z powrotem do jaskiń.

Jego pamięć nie zarejestrowała świadomie tego, co zobaczył. Lecz tej nocy, gdy siedział pogrążony w myślach przy wejściu do legowiska, wsłuchując się w odgłosy otaczającego go świata, poczuł pierwsze, nieśmiałe ukłucie zupełnie nieznanego, potężnego uczucia. Była to niejasna, rozproszona zazdrość i niezadowolenie z własnego życia. Nie miał pojęcia, co wywołało owe uczucia, nie wiedział również, jak je zażegnać. Do jego duszy wkradł się niepokój i Strażnik Księżyca uczynił jeden, mały krok w kierunku ludzkości.

Spektakl z czterema tłustymi małpoludami powtarzał się noc po nocy, aż stał się źródłem fascynującego rozdrażnienia, zwiększającego wieczny, dotkliwy głód Strażnika Księżyca. Rzeczywistość, której doświadczył, nie mogła wywołać takiego efektu, wymagała więc psychologicznego wzmocnienia. Gdy każdy atom jego nieskomplikowanego mózgu układał się w mozaikę tworzącą nowy wzór, w życiu Strażnika Księżyca pojawiły się dziury, z których nie zdawał sobie sprawy. Jeśli przetrwa, wzór stanie się wieczny, gdyż jego geny przekażą go przyszłym pokoleniom.

Był to powolny, niezbyt zajmujący proces, jednak kryształowy monolit był cierpliwy. Ani on, ani jego repliki rozrzucone na niemal połowie świata nie oczekiwały, że powiedzie im się ze wszystkimi dziesiątkami grup poddanych eksperymentowi. Sto porażek nie miało znaczenia, podczas gdy jedno powodzenie mogło zmienić losy Ziemi.

Do kolejnego nowego księżyca w plemienu zdarzyły się jedne narodziny i dwie śmierci. Pierwsza z nich spowodowana była głodem, druga miała miejsce podczas conocnego rytuału. Jeden z małpoludów upadł nagle, usiłując delikatnie uderzyć kamieniem o kamień. Kryształ natychmiast zgasł i plemię uwolniło się spod jego czaru. Leżący małpolud nie poruszył się, rankiem oczywiście, ciała już nie było.

Tym razem pokaz nie odbył się. Kryształ ciągle analizował swój błąd. Plemię przetoczyło się obok niego, całkowicie go ignorując. Kolejnej nocy kryształ był znów gotów.

Cztery tłuste małpoludy pojawiły się ponownie, tym razem wykonywały niezwykle czynności. Strażnik Księżyca zaczął się bezwiednie trząść. Czuł, że jego mózg wybuchnie i chciał odwrócić wzrok, lecz bezlitosny uścisk psychicznej kontroli nie zelżał ani na chwilę. Strażnik Księżyca miał przeżyć lekcję do końca choć sprzeciwiały się temu wszystkie jego instynkty.

Służyły one dobrze jego przodkom w czasach ciepłych deszczy i ciągłego urodzaju, gdy pożywienia było w bród. Teraz czasy się zmieniły i odziedziczona z przeszłości mądrość stała się szaleństwem. Adaptacja była dla małpoludów koniecznością, inaczej wymrą jak wielkie zwierzęta, których kości leżały teraz zamknięte w wapiennych skałach.

Strażnik Księżyca wpatrywał się jak zahipnotyzowany w kryształowy monolit, podczas gdy jego mózg wchłaniał nieznane impulsy. Czuł mdłości i był głodny. Od czasu do czasu jego dłonie zaciskały się, tworząc konfiguracje, które zadecydują o nowym sposobie życia.

Strażnik Księżyca zatrzymał się nagle, gdy stado guźców, węsząc i pochrząkując przeszło przez szlak. Świnie i małpoludy nigdy sobie nie przeszkadzały, nie istniał między nimi konflikt interesów. Jak większość zwierząt nie konkurujących o to samo pożywienie, trzymali się po prostu z daleka od siebie.

Strażnik Księżyca stał patrząc na guźce. Kiwał się niepewnie w przód i w tył, borykając się z impulsami, których nie mógł zrozumieć. Nagle, jak gdyby we śnie, zaczął przeszukiwać ziemię. Nawet gdyby umiał mówić, nie mógłby wyjaśnić, dlaczego to robi. Będzie wiedział, gdy znajdzie to, czego szuka.

Był to ciężki, ostry kamień o długości sześciu cali. I chociaż niezbyt dobrze pasował do ręki, musiał mu wystarczyć. Małpolud poczuł przyjemne uczucie siły i władzy wykonując zamach ręką. Zdziwił się tylko jej nagle zwiększoną wagą. Zaczął zbliżać się do najbliższej świni.

Zwierzę było młode i głupie, nawet gdy weźmie się pod uwagę niewielkie możliwości świńskiej inteligencji. Spoglądało na Strażnika Księżyca kątem oka, nie biorąc go poważnie do momentu, gdy było już za późno. Dlaczego miałyby podejrzewać te nieszkodliwe stwory o jakies złe zamiary? Skubało trawę w chwili, gdy kamienny młot Strażnika Księżyca pozbawił je nikłej świadomości. Zbrodnia odbyła się szybko i cicho. Reszta stada pasła się spokojnie dalej.

Wszystkie małpoludy w grupie zatrzymały się, aby popatrzeć na to, co się stało. Z pełnym podziwu zdumieniem tłoczyły się wokół Strażnika Księżyca i jego ofiary. Jeden z małpoludów podniósł okrwawiony kamień i zaczął uderzać nim martwą świnię. Inni przyłączyli się ze znalezionymi przez siebie kijami i kamieniami, aż obiekt ich ataku stał się bezkształtną masą.

Potem znudziło im się. Niektórzy odeszli, inni stali niezdecydowanie wokół zmasakrowanego ciała. Przyszłość świata zależała od ich decyzji. Minął zadziwiająco długi okres, zanim jedna z karmiących samic postanowiła polizać skrwawiony kamień, który dzierżyła w dłoni. Upłynęło jeszcze sporo czasu, zanim Strażnik Księżyca zdał sobie sprawę, że już nigdy nie musi być głodny.

4. LAMPART

Małpoludy zostały zaprogramowane do używania prostych narzędzi. Dzięki nim mogły zmienić otaczający je świat i stać się jego władcami. Najbardziej prymitywnym narzędziem był kamień trzymany w dłoni, wzmagający wielokrotnie siłę uderzenia. Innym narzędziem stała się kościana pałka, która wydłużała zasięg ręki i mogła stanowić obronę przeciwko kłom i pazurom rozwścieczonych zwierząt. Wyposażeni w taką broń, wyruszyli w poszukiwaniu nieskończonych ilości jada przemierzającego sawannę.

Ponieważ jednak ich własne zęby i pazury nie nadawały się do rozrywania zwierząt większych od królika, potrzebowali także innych narzędzi. Na szczęście natura zaopatrzyła ich obficie w doskonałe przybory, wymagające jedynie wystarczająco dużo rozumu, aby je rozpoznać.

Przede wszystkim tępy, lecz bardzo skuteczny nóż i piła, która będzie dobrze służyła ludziom przez następne trzy miliony lat. Była to zwykła, dolna kość szczękowa antylopy; kość, z której nie usunięto zębów. Narzędzie to nie wymagało żadnych specjalnych ulepszeń, aż do nadejścia epoki stali. Było jeszcze szydło lub sztylet z rogu gazeli. I na koniec skrobaczka wykonana ze szczęki dowolnego małego zwierzęcia.

Pałka, zębata piła, rogowy sztylet, kościana skrobaczka - cudowne wynalazki, dzięki którym małpoludy mogły przetrwać. Wkrótce owe narzędzia staną się symbolami władzy. Minie jednak wiele miesięcy zanim niezdarne palce małpoludów nabiorą wprawy i chęci, aby z nich korzystać.

Być może z biegiem czasu małpoludy same zdołałyby wpaść na wspaniałą i godny podziwu pomysł używania tych narzędzi jako naturalnej broni. Jednak los był przeciwko nim. I nawet teraz istniało nieskończenie wiele możliwości niepowodzenia w nadchodzących epokach.

Dano im pierwszą szansę; szansę, która się nie powtórzy. Przyszłość dosłownie spoczywała w ich własnych rękach.

Mijały księżycy. Dzieci rodziły się i niekiedy udawało im się przeżyć. Trzydziestoletnie małpoludy - słabe i bezzębne - umierały. Lampart zbierał swoje nocne żniwo. Inni codziennie grozili zza rzeki. Mimo to plemię trwało. W przeciągu jednego roku Strażnik Księżyca i jego towarzysze zmienili się nie do poznania.

Lekcja nie poszła na marne. Umieli już posługiwać się poznanymi narzędziami. Głód powoli odchodził w niepamięć. I chociaż guźce stały się płochliwe, wokół na równinach pasły się niezliczone stada gazel, antylop i zebr. Zwierzęta te, a także wiele innych stanowiły zdobycz

początkujących myśliwych.

Teraz, gdy nie byli już na pół oteplali z głodu, mieli czas zarówno na odpoczynek, jak i na pierwsze refleksje. Zaakceptowali nowy sposób życia bardzo niedbale. Nie kojarzyli go z monolitem, który ciągle stał przy szlaku do rzeki. Gdyby kiedykolwiek rozważyli tę sprawę, być może usiłowałiby chwalić się, że sami zadbali o polepszenie własnej sytuacji. Jednak z całą pewnością zapomnieli już o dawnym życiu.

Żadna sielanka nie jest doskonała. Ta również miała dwie wady. Pierwszą był lampart, którego namiętność polowania na małpoludy wzrosła, gdy stwierdził, że są one lepiej odżywione. Drugą było plemię z przeciwnej strony rzeki. Inni przetrwali jakoś i uparcie walczyli z głodem.

Problem lamparta rozwiązał się częściowo przez przypadek, po części zaś wskutek poważnej, tragicznej niemal pomyłki Strażnika Księżyca. Jednak w swoim czasie, jego pomysł wydawał się tak genialny, że Strażnik Księżyca podskakiwał z radości. W zasadzie trudno obwiniać go o lekceważenie groźnych konsekwencji wspaniałego pomysłu.

Plemię biedowało od kilku dni, chociaż teraz głód nie zagrażał jego przetrwaniu. Tego dnia aż do zmierzchu nic nie upolowali. Strażnik Księżyca prowadził swoich zmęczonych i niezadowolonych towarzyszy w kierunku domostw, które były już w zasięgu ich wzroku, gdy natknęli się na tak rzadko spotykany w naturze róg obfitości.

Nie opodal ich szlaku leżała dorosła antylopa. Mimo złamanej przedniej nogi tkwiło w niej wystarczająco dużo siły, by walczyć, a okrążające ją szakale trzymały się ostrożnie z daleka, omijając na odległość jej rogi w kształcie sztyletów; czekały, wiedząc, że stosowny moment prędzej czy później nadejdzie.

Zapomniały jednak o konkurentach. Gdy nadeszły małpoludy, szakale uciekły warcząc gniewnie. Małpoludy początkowo również obchodziły antylopę z obawą, patrząc na jej groźne rogi. Następnie przystąpiły do ataku używając pałek i kamieni.

Atak nie był zbyt efektowny ani dobrze zorganizowany. Było już ciemno, gdy nieszczęsne zwierzę w końcu wyzionęło ducha. Szakale znów nabrały odwagi. Strażnik Księżyca, owładnięty głodem i strachem, powoli zdawał sobie sprawę, że cały wysiłek może pójść na marne. Dłuższe pozostawanie na zewnątrz mogło okazać się zbyt niebezpieczne.

Nagle - nie po raz pierwszy, ani ostatni - nawiedziła go genialna myśl. Dzięki tytanicznemu wysiłkowi wyobraźni, zobaczył martwą antylopę we własnej jaskini. Zaczął ciągnąć ją w kierunku wzgórza. Reszta zrozumiała jego intencje i przysłała mu z pomocą.

Prawdopodobnie nie podjąłby się tego zadania, gdyby wiedział, jakie czekają go trudności. Jedynie jego olbrzymia siła i zręczność - odziedziczone po żyjących na drzewach przodkach - pozwoliły mu zaciągnąć antylopę po niemal pionowym zboczu. Wiele razy, łkając z bezsilnej

złości, miał ochotę porzucić swój łup, jednak upór tak silny jak głód dodawał mu sił. Inni członkowie plemienia usiłowali pomóc mu od czasu do czasu, częściej jednak płątali mu się pod nogami. W końcu udało się. Sponiewierana antylopa spoczęła na progu jaskini, gdy ostatnie barwy słońca zniknęły na niebie. Rozpoczęła się uczta.

Kilka godzin później obżarty Strażnik Księżyca obudził się ze snu. Nie wiedząc dlaczego, usiadł w ciemności pośród rozwalonych ciał swoich równie nasyconych towarzyszy i wsłuchał się w noc. Poza ciężkimi oddechami śpiących ciszy nie zakłócał żaden dźwięk. Cały świat wydawał się pogrążony we śnie. Skały przy wejściu do jaskini białeły niczym kości w jasnym świetle wysoko stojącego księżyca. Zdawało się, że wszystko jest w porządku.

Nagle, z bardzo daleka doszedł go odgłos obsuwającego się kamyka. Zaintrygowany, lecz pełen obaw Strażnik Księżyca podczołgał się ku wyjściu i spojrzał w dół wzgórze. To, co zobaczył sparaliżowało go. Przez długie sekundy strach nie pozwalał mu się poruszyć. Dwadzieścia stóp niżej wpatrywało się w niego dwoje świecących, złotych ślepi. Ślepie te niemal go zahipnotyzowały. Zupełnie nie-zdawał sobie sprawy z podążającego za nimi giętkiego, prądkowanego ciała, które płynnie i cicho przemierzało odległość od skały do skały. Lampart nigdy nie wspinał się tak wysoko. Tym razem zignorował niższe jaskinie, chociaż wiedział, że są zamieszkane. Poprzez skąpane w świetle księżyca wzgórze podążał tropem krwi ku następnej zdobyczy.

Kilka sekund później ciszę przerwały ostrzegawcze krzyki małpoludów z wyższych jaskiń. Lampart warknął wściekle, gdy stwierdził, że stracił przewagę zaskoczenia. Nie zaprzestał jednak wspinaczki, pewny, że nie ma się czego obawiać. Gdy osiągnął krawędź, odpoczywał przez chwilę na wąskiej, otwartej półce. Wokół unosił się zapach krwi, wypełniający jego dzikie zmysły jednym, olbrzymim pragnieniem. Bez dalszej zwłoki wskoczył cicho do jaskini.

I tutaj popełnił swój błąd. Opuścił zalaną światłem księżyca skałę i momentalnie zawiodły go - mimo że przystosowane do nocnego widzenia - oczy. Małpoludy widziały jego sylwetkę na tle wejścia do jaskini; widziały go lepiej, niż on widział je. Były przerażone, ale nie bezbronne.

Warcząc i waląc ogonem, pełen aroganckiej pewności siebie, lampart nadchodził w poszukiwaniu ulubionego, delikatnego mięsa. Gdyby spotkał swoje ofiary na otwartej przestrzeni, nie byłoby żadnego problemu. Teraz, gdy małpoludy znalazły się w pułapce, rozpacz dodała im odwagi, by porwać się na niemożliwe. Po raz pierwszy w historii miały również czym osiągnąć swój cel.

Lampart zorientował się, że coś jest nie tak dopiero wówczas, gdy na jego łeb spadło pierwsze ogłuszające uderzenie. Machnął przednią łapą i usłyszał śmiertelny krzyk, gdy jego pazur rozrywał miękkie ciało. Nagle poczuł kłujący ból. Coś ostrego wwierało się w jego bok - raz,

drugi i trzeci. Odwrócił się, aby uderzyć na wrzeszczące i tańczące wokół cienie. I znów poczuł gwałtowny ból, tym razem koło pyska. Zaciął kły na białym, ruchomym kształcie, gryząc bezsilnie martwą kość. I żeby dopełnić miary ostatecznego poniżenia, ktoś wyrwał niemal doszczętnie jego ogon.

Lampart uskoczył, odrzucił śmiałego do szaleństwa prześladowcę na ścianę jaskini. Jednak bez względu na to, co robił, nie mógł uniknąć gradu uderzeń zadawanych tępą bronią dzierżoną przez niezdarne, lecz silne ręce. Ryk bólu zmienił się w charkot strachu, by potem ustąpić miejsca piskom przerażenia. Nieustraszony myśliwy sam stał się ofiarą i rozpaczliwie szukał drogi odwrotu.

I teraz popełnił swój drugi błąd. Niespodziewany atak i wywołany nim strach spowodowały, że zapomniał, gdzie się znajduje. Oszołomiony i oślepiiony razami spadającymi na jego łeb, lampart wypadł jak strzała z jaskini. Rozległ się przerażający pisk, gdy poszybował w przestrzeń. Wieki później - jak im się zdawało - usłyszeli głuchy odgłos upadku. Lampart rozbił się o wystającą w połowie wysokości wzgórza półkę. Potem jedynym dźwiękiem był grzechot obsuwających się kamieni, który wkrótce ustąpił miejsca nocnej ciszy.

Strażnik Księżyca upojony zwycięstwem długo w noc tańczył, mamrocząc coś pod nosem. Czuł, że świat się zmienił. Czuł, że przestał być bezsilną ofiarą otaczających go mocy. Potem wszedł do jaskini i po raz pierwszy w życiu spokojnie przespał noc.

Rano znaleźli ciało lamparta u podnóża zbocza. Upłynęło trochę czasu, zanim zdecydowali się zbliżyć do pokonanej, martwej bestii. Później jednak wzięli się za niego przy pomocy noży i pił. Była to ciężka praca i tego dnia już nie polowali.

5. SPOTKANIE O ŚWICIE

Prowadząc plemię do rzeki w bladym świetle świtu, Strażnik Księżycy zatrzymał się niepewnie przy znajomym miejscu. Brakowało czegoś, co znał, lecz nie mógł przypomnieć sobie, co to było. Nie wysiłał się specjalnie nad rozwiązaniem tej zagadki, ponieważ akurat dzisiaj zaprzątnięty był ważniejszymi sprawami.

Jak grzmot i błyskawica, olbrzymi kryształowy blok zniknął tak nagle i tajemniczo, jak się pojawił. Będąc częścią nie istniejącej przeszłości, nigdy nie zajmował miejsca w myślach Strażnika Księżycy. Małpolud nigdy nie będzie wiedział, jaki wpływ wywarł na niego kryształ. Żaden z jego towarzyszy nie zastanowił się, gdy zatrzymali się wokół niego w porannej mgle, dlaczego Strażnik Księżycy przystanął tutaj na drodze do rzeki.

Po swojej stronie strumienia, w ciągle nie naruszonej, bezpiecznej strefie własnego terytorium, Inni widzieli Strażnika Księżycy i tuzin samców z jego plemienia niby ruchomy kształt na tle porannego nieba. Natychmiast też rozpoczęli codzienną porcję wyzwisk, lecz tym razem z drugiej strony nie było odpowiedzi.

Powoli, z wyraźnym celem jednak przede wszystkim w ciszy, Strażnik Księżycy i jego horda zeszli z niskiego pagórka nad rzeką. Gdy zbliżyli się, Inni również ucichli. Rytualną wściekłość zastąpił rosnący strach. Niejasno zdawali sobie sprawę, że coś się stało, i że to spotkanie będzie inne od dotychczasowych. Kościane pałki i noże niesione przez grupę Strażnika Księżycy nie wywołały wśród nich niepokoju, ponieważ nie rozumieli ich przeznaczenia. Widzieli tylko pełne determinacji, groźne ruchy rywali.

Grupa zatrzymała się na brzegu rzeki i Innym na moment wróciła odwaga. Prowadzeni przez Jedno-uchego, z ciężkim sercem podjęli bojową pieśń, która trwała jedynie kilka sekund, gdyż przerażający widok odebrał im głos.

Strażnik Księżycy wyciągnął w górę ramiona, odkrywając coś, co do tej pory zasłonięte było włochatymi ciałami jego towarzyszy. W dłoniach dzierżył gruby drąg, na który nabity był okrwawiony łeb lamparta. W rozwartym patykiem pysku połyskiwały w promieniach wschodzącego słońca upiorne, białe kły.

Większość Innych zamarła ze strachu. Niektórzy rozpoczęli powolny, niezdarny odwrót. To wystarczyło Strażnikowi Księżycy. Ciągle wznosząc nad głową okaleczone trofeum, zaczął przekraczać strumień. Po chwili wahania do wody wkroczyli jego towarzysze.

Gdy Strażnik Księżycy dotarł do brzegu, Jedno-uchy ciągle stał na posterunku. Być może

był zbyt zuchwały lub głupi, by uciec. Być może nie mógł do końca uwierzyć w zniewagę. Bohater czy tchórz, w ostateczności nie miało to żadnego znaczenia, gdy mroźny oddech śmierci rozłupał mu jego niczego nie pojmującą czaszkę. Wyjąc z przerażenia Inni rozpierzchli się po krzakach. Lecz wkrótce powrócą i zapomną o swoim martwym przywódcy.

Przez kilka sekund Strażnik Księżyca stał niepewnie nad swoją nową ofiarą, starając się zrozumieć fakt, że martwy lampart ciągle potrafi zabijać. Był teraz panem świata i nie bardzo wiedział, co robić dalej.

6. NADEJŚCIE CZŁOWIEKA

Na planecie pojawiło się nowe zwierzę, rozprzestrzeniające się powoli z głębi Afryki. Było ciągle tak rzadkie, że pobieżny spis mógłby je przeoczyć pomiędzy ruchliwymi miliardami stworzeń przemierzających lądy i morza. Nie było jeszcze pewności, że mu się powiedzie; nie wiadomo było nawet czy przetrwa. Na świecie, gdzie wyginęło tak wiele potężniejszych zwierząt, jego los był w dalszym ciągu niepewny.

Przez sto tysięcy lat od momentu przybycia kryształu do Afryki małpoludy niczego nie wynalazły. Zaczęły jednak się zmieniać i rozwijać umiejętności, których nie posiadało żadne inne zwierzę. Kościane pałki pomogły im zwiększyć zasięg rąk i rozwinąć ich siłę. Nie były już bezbronne w starciach z drapieżnikami, z którymi musiały konkurować o pokarm. Mogły też odstraszać mniejsze zwierzęta mięsożerne od swoich zdobyczy. Większe zwierzęta albo się zniechęcały, albo rozpoczynały walkę.

Mocne zęby zaczęły się zmniejszać, w miarę gdy malało ich znaczenie. Zostały zastąpione - a fakt ten miał kolosalne konsekwencje - przez ostro starte kamienie, których używano do wykopywania korzeni, a także cięcia i piłowania mięsa lub włókien. Gdy małpoludom psuły się i wypadały zęby, nie groziła im już śmierć z głodu. Nawet najbardziej prymitywne narzędzie przedłużało im życie o wiele lat. A ponieważ zmniejszały się ich kły, zaczął ulegać zmianom także kształt ich twarzy. Pysk cofnął się, potężne szczęki stały się delikatniejsze, usta-mogły wydawać bardziej subtelne dźwięki. Mowa ciągle jeszcze była odległa o miliony lat, uczyniony został jednak pierwszy krok w tym kierunku.

A potem zaczął zmieniać się świat. W czterech wielkich falach, trwających przez dwieście tysięcy lat, przetoczyła się epoka lodowcowa, odciskając swój ślad na całym globie. Poza tropikami, lodowce opóźniły rozwój tych, którzy przedwcześnie opuścili rodzinny dom. Wszędzie zaś wyginęli ci, którzy nie potrafili się przystosować.

Wraz z odejściem lodu przeminęło wiele z wcześniejszych form życia. Małpoludy jednak, w przeciwieństwie do innych, pozostawiły potomków. Tak więc nie można powiedzieć, że wyginęły; żyły dalej w zmienionej postaci. Wytwórcy narzędzi powstali na nowo dzięki własnym wytworom.

Na skutek używania pałek i krzemieni ich ręce nabrały zręczności nie spotykanej w świecie zwierząt; umożliwiły im one wytwarzanie jeszcze lepszych narzędzi, które z kolei rozwijały dalej umiejętności ich rąk i mózgu. Był to kumulujący się proces o ciągle zwiększającej się prędkości. Na jego końcu znajdował się Człowiek.

Pierwsi ludzie mieli broń i narzędzia niewiele lepsze od tych, którymi posługiwali się ich przodkowie milion lat wcześniej. Używali ich jednak z daleko większą sprawnością. I gdzieś na przestrzeni tych - zapomnianych, przedhistorycznych epok wynaleźli narzędzie najważniejsze: nauczyli się mówić i w ten sposób osiągnęli swoje pierwsze zwycięstwo nad Czasem. Teraz wiedzę jednego pokolenia przekazywano następnym i każde z nich mogło korzystać z tego, co stało się wcześniej.

W przeciwieństwie do zwierząt, które znają jedynie teraźniejszość, Człowiek zdobył przeszłość. Zaczął również po omacku szukać przyszłości.

Uczył się, jak wykorzystać siły przyrody. Dzięki ujarzmieniu ognia zostały położone podwaliny techniki. Zwierzęca przeszłość pozostała daleko w tyle. Kamień zastąpiono brązem, a następnie żelazem. Łowiectwo ustąpiło miejsca rolnictwu. Plemię rozrosło się w osadę, osady zamieniły się w miasta. Mowa stała się wieczna dzięki pewnym znakom na kamieniu, glinie i papirusie. Wynaleziono religię i filozofię. Człowiek zaludnił niebo - i nie bez racji - bóstwami.

I gdy ciało ludzkie stawało się coraz bardziej bezbronne, środki napaści osiągnęły przerażającą doskonałość. Kamienie, brąz, żelazo i stal - cała gama surowców do produkcji narzędzi, które kłują i tną. Dostyc wcześniej w historii Człowiek nauczył się, jak razić swoje ofiary na odległość. Włócznia, łuk, pistolet i w końcu pocisk sterowany stały się bronią o niemal nieograniczonym zasięgu, dając ludziom prawie nieskończoną władzę.

Bez broni, którą tak często zwracał przeciwko sobie, Człowiek nigdy nie podbiłby świata. Włożył w nią całe swoje umiejętności, ona zaś służyła mu dobrze przez wieki.

Jednak teraz - dopóki istnieje broń - Człowiek otrzymuje czas na kredyt.

CZEŚĆ DRUGA

AMT-1

7. LOT SPECJALNY

Bez względu na to, ile razy opuszczało się na Ziemię - mówił sobie doktor Heywood Floyd - podniecenie zawsze pozostawało takie samo. Był już raz na Marsie, trzy razy na Księżycu, i więcej razy niż mógł zapamiętać na różnych stacjach kosmicznych. Jednak wraz ze zbliżaniem się momentu odlotu, zaczynał odczuwać wzrastające napięcie, uczucie zdumienia i podziwu, a także pewnej nerwowości, która plasowała go na poziomie szurów lądowych, wyruszających na swój kosmiczny chrzest.

Odrzutowiec, którym leciał z Waszyngtonu po nocnej odprawie u Prezydenta, zniżył się teraz nad jednym z najbardziej znanych, a jednocześnie najbardziej ekscytujących obszarów Ziemi. Pod nim, rozrzucone na dwudziestu milach wybrzeża Florydy, leżały dwie pierwsze generacje ery kosmicznej. Na południu, okolone czerwonymi, mrugającymi światłami ostrzegawczymi, znajdowały się olbrzymie rusztowania wyrzutni "Saturnów" i "Neptunów", na których ludzie wyruszyli drogą ku planetom, a które należały już do historii. Na horyzoncie, niby połyskująca srebrem wieża skapana w świetle reflektorów stał ostatni z "Saturnów V", przez prawie dwadzieścia lat narodowy monument i miejsce pielgrzymek. Obok, rysując się na tle nieba niczym usypana ludzkimi rękoma góra, wynurzał się niewiarygodny ogrom Hali Montowania Pojazdów, ciągle największej budowli na świecie.

Lecz wszystko to należało już do przeszłości, a doktor Heywood Floyd zmierzał w przeciwnym kierunku. Gdy samolot wszedł w przechył, zobaczył pod sobą labirynt budynków, olbrzymi pas startowy, a następnie szeroką, prostą jak strzała na tle krajobrazu Florydy, ogromną, wielotorową wyrzutnię. Na jej końcu, otoczony pojazdami i pomostami, spoczywał w powodzi światel samolot kosmiczny, mający wyruszyć w podróż ku gwiazdom. W nagłym załamaniu perspektywy, spowodowanym szybką zmianą wysokości i szybkości, Floydowi wydało się że spogląda w dół na małą, srebrną ćmę; schwytaną w światło latarki.

Dopiero miniaturowe, rozbiegane figurki ludzi dały mu pojęcie o prawdziwych rozmiarach pojazdu. Rozpiętość skrzydeł zbudowanych w kształcie wąskiej litery V z pewnością wynosiła dwieście stóp. I ten olbrzymi statek - mówił sobie z niedowierzaniem, acz nie bez pewnej dumy Floyd - czeka na mnie. Z tego, co wiedział, po raz pierwszy w historii przygotowano wyprawę, której zadaniem było dowieszenie tylko jednego człowieka na Księżyc.

Chociaż była druga nad ranem, po drodze do jasno oświetlonego "Oriona III" osaczyła go grupa reporterów i kamerzystów. Kilku z nich znał z widzenia, ponieważ jako Przewodniczący Narodowej Rady Astronautyki stykał się z nimi na konferencjach prasowych, które stanowiły część

jego obowiązków. Teraz jednak nie było ani miejsca, ani czasu na podobne spotkanie, poza tym nie miał nic do powiedzenia. Mimo wszystko nie mógł pozwolić na lekceważenie panów pracujących w środkach komunikacji.

- Doktor Floyd? Nazywam się Jim Forster z "Associated News". Czy mógłby pan powiedzieć kilka słów o swoim locie?

- Przykro mi, ale nie mam nic do powiedzenia.

- Jednak spotkał się pan z Prezydentem tej nocy - powiedział znajomy głos.

- O, cześć Mike. Obawiam się, że wyciągnęli cię z łóżka na próżno. Zdecydowanie nie mam żadnych komentarzy.

- Czy mógłby pan przynajmniej potwierdzić lub zaprzeczyć, że na Księżycu wybuchła jakaś epidemia? - zapytał reporter sieci telewizyjnej, który biegł obok Floyda usiłując utrzymać go w kadrze swojej miniaturowej kamery.

- Przykro mi - powiedział Floyd potrząsając głową.

- Co z kwarantanną? - zawołał inny reporter. - Jak długo będzie trwała?

- Ciągłe bez komentarzy.

- Doktorze Floyd - zwróciła się do niego niewysoka i zdeterminowana dziennikarka - jak można uzasadnić całkowity brak informacji z Księżyca?

Czy ma to coś wspólnego z sytuacją polityczną?

- Jaką sytuacją polityczną? - zapytał oschle Floyd.

Dał się słyszeć śmiech, i gdy wreszcie dojrzał do sanktuarium pomostu wejściowego, ktoś krzyknął:

- Szczęśliwej drogi, doktorze.

Odkąd tylko pamiętał, "sytuacja" miała postać permanentnego kryzysu. Od 1970 roku świat absorbowały dwa problemy, które - jak na ironię - wzajemnie się niwelowały. Chociaż kontrola urodzin była tania, skuteczna i aprobowana przez wszystkie większe religie, wprowadzono ją zbyt późno. Populacja Ziemi wynosiła sześć miliardów ludzi, z czego trzecia część zamieszkiwała Cesarstwo Chińskie. W niektórych krajach totalitarnych weszły w życie ograniczenia zakazujące rodzinom posiadania więcej niż dwojga dzieci, jednak w praktyce nakaz ten okazał się niemożliwy do wyegzekwowania. Skutkiem przeludnienia był występujący we wszystkich krajach kryzys żywnościowy. Nawet w Stanach Zjednoczonych wprowadzono dni bezmięsne i pomimo heroicznego wysiłków, aby uprawiać morza i wytwarzać pokarmy syntetyczne, przepowiadano nadejście powszechnego głodu w najbliższych pięćdziesięciu latach.

Pomimo pilniejszej niż zazwyczaj potrzeby współpracy międzynarodowej na Ziemi istniało ciągle tyle samo granic, co w wiekach poprzednich. Przez milion lat ludzkość pozbyła się niewiele

agresywnych instynktów. Poprzez symboliczne linie, widoczne wyłącznie dla polityków, trzydzieści osiem mocarstw nuklearnych obserwowało się z wojowniczym niepokojem. Mocarstwa te posiadały wystarczająco dużo megaton, aby roznieść w pył całą powierzchnię planety. I chociaż w jakiś cudowny sposób udało się jak dotąd uniknąć konfliktu nuklearnego, trudno było wyobrazić sobie, aby taka sytuacja mogła trwać wiecznie.

Teraz zaś z sobie tylko znanych powodów Chińczycy złożyli ofertę najmniejszym, nie posiadającym broni nuklearnej państwom, dotyczącą wyposażenia ich w kompletny arsenał pięćdziesięciu głowic wraz z systemem przenoszenia. Koszt określono na dwieście milionów dolarów z możliwością negocjacji spłat.

Jak sugerowali niektórzy obserwatorzy, być może Chińczycy starali się jedynie podreperować swoją kulejącą gospodarkę, zamieniając przestarzałe systemy bojowe na gotówkę. Inni utrzymywali, że nie można wykluczyć faktu, iż w Chinach wynaleziono metody walki tak zaawansowane, że stare zabawki można było oddać do lamusa. Wspomniano o radiohipnozie z przekaźników satelitarnych, wirusach, przed którymi nie było ucieczki, oraz o szantażu syntetycznymi chorobami, na które tylko Chińczycy posiadali antidotum. Te czarujące pomysły były prawdopodobnie częścią chińskiej propagandy lub czczą fantazją, jednak nie należało ich lekceważyć. Za każdym razem gdy Floyd opuszczał Ziemię, zastanawiał się, czy gdy przyjdzie mu wracać, zostanie ją jeszcze na swoim miejscu.

Przy wejściu do kabiny powitała go nienagannie ubrana stewardessa.

- Dzień dobry, doktorze Floyd. Nazywam się Simmons. Chciałabym powitać pana na pokładzie w imieniu kapitana Tynesa i drugiego pilota, pierwszego oficera Ballarda.

- Dziękuję - powiedział Floyd, zastanawiając się dlaczego stewardessy zawsze wypowiadają swoje kwestie jak zrobotyzowani przewodnicy wycieczek.

- Startujemy za pięć minut - dodała, wskazując na pustą dwudziestoosobową kabinę. - Może pan zająć dowolne miejsce, ale kapitan Tynes poleca fotel przy przednim, lewym oknie, przez które może pan obserwować operacje w doku.

- Usiądę na nim - odpowiedział, idąc w kierunku reklamowanego miejsca. Stewardessa niepokoiła go jeszcze przez chwilę, po czym przeszła do swojego pomieszczenia w tylnej części kabiny.

Floyd usiadł w fotelu i dopasował pasy bezpieczeństwa do swoich ramion i brzucha. Do sąsiedniego fotela przymocował teczkę. Po chwili z głośników dobiegł go delikatny stuk.

- Dzień dobry - zabrzmiał głos panny Simmons. - Lot specjalny numer 3, Kennedy, do Stacji Orbitalnej Numer 1.

Okazało się, że była zdecydowana zademonstrować wszystkie elementy składowe swojej

pracy - nawet dla jednego pasażera. Floyd nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy usłyszał jej nieubłagany głos:

- Czas naszego przelotu wynosi pięćdziesiąt pięć minut. Maksymalne przeciążenie osiągnie 2 g. Pozostaniemy w stanie nieważkości przez trzydzieści minut. Proszę nie opuszczać miejsc, dopóki nie zapali się odpowiedni znak.

Floyd spojrzął przez ramię i krzyknął:

- Dziękuję. - Kątem oka uchwycił nieco za kłopotany, lecz czarujący uśmiech.

Rozsiadł się wygodnie i odprężył. Ta podróż - jak obliczył - będzie kosztować podatników nieco ponad milion dolarów. Jeśli okaże się niepotrzebna straci pracę. Zawsze jednak może wrócić na uniwersytet do swoich przerwanych badań nad formowaniem się planet.

- Włączone procedury automatycznego odliczania - przez głośnik dobiegł go kojący, radiowy zaśpiew kapitana. - Start za jedną minutę.

Jak zwykle wydawało mu się, że ostatnia minuta trwa godzinę. Zdawał sobie sprawę, że znajduje się w mocy gigantycznych sił, czekających na odpowiedni rozkaz. W dwóch zbiornikach paliwowych statku, a także w systemie napędowym wyrzutni zgromadzono energię równą bombie nuklearnej. Energia ta zostanie zużyta, aby wynieść go niecałe dwieście mil ponad Ziemię.

Odliczanie przebiegało automatycznie i nigdzie nie było słyszeć tak popularnego dawniej, a jednocześnie tak denerwującego: PIĘĆ-CZTERY-TRZY-DWA-JEDEN-ZERO.

- Odpalamy za piętnaście sekund. Będzie panu wygodniej, jeśli zacznie pan głęboko oddychać.

Floyd poczuł, jak tlen wypełnia mu płuca. Był gotów na wszystko, gdy wyrzutnia zaczęła wznosić swój tonytonowy ładunek ponad Atlantyki.

Nie wiedział, kiedy oderwali się od wyrzutni i rozpoczęli lot. Lecz gdy rakiety zaczęły ryczeć ze zdwojoną mocą, a Floyd stwierdził, że coraz głębiej zapada się w poduszki fotela, był pewny, że rozpoczęły pracę silniki pierwszego członu. Żałował, że nie może spojrzeć przez okno. Nawet poruszenie głową wymagało ogromnego wysiłku. Czuł się jednak dobrze. Przeciążenie spowodowane przyspieszeniem i wszechobecny grzmot silników wywoływały w nim niezwykłą euforię. Mając uszy wypełnione dzwonieniem, i czując pulsującą w żyłach krew, Floyd odzywał. Był znowu młody, chciało mu się śpiewać na głos, co z pewnością byłoby kłopotliwe: hałas raket zagłuszał wszystko.

Euforia szybko minęła, gdy zdał sobie sprawę, że opuszcza Ziemię, zostawiając za sobą wszystko, co kochał. Tam na dole pozostała trójka jego dzieci, osieroconych przez matkę podczas tego nieszczęsnego lotu do Europy dziesięć lat temu. (Dziesięć lat? Niemożliwe! To było tak ...) Być może ze względu na dzieci powinien ożenić się ponownie...

Stracił poczucie czasu, gdy nagle przeciążenie i hałas zmniejszyły się, a umieszczony w kabinie głośnik oznajmił:

- Przygotowanie do odłączenia pierwszego członu. Odłączony.

Poczuł słaby wstrząs. Przypomniawszy sobie cytaty z Leonarda da Vinci, który kiedyś widział umieszczony w jednym z biur NASA:

Wielki Ptak poleci na innym Wielkim Ptaku, przynosząc chwałę gniazdu, w którym się narodził.

Cóż, Wielki Ptak właśnie odbywał swój lot; lot, o jakim nawet nie śnił da Vinci.

Wyczerpany towarzysz Wielkiego Ptaka zmierzał z powrotem na Ziemię. Wykonując hak o długości dziesięciu tysięcy mil, pusty pierwszy człon ześlizgnie się w atmosferę, gdzie zwolniony szybkością, osiadzie na przylądku Kennedy'ego. Za kilka godzin, po niezbędnym przeglądzie i zatankowaniu, będzie gotów wynieść kolejnego towarzysza w kierunku świecącej pustki, której sam nigdy nie osiągnie.

Teraz - pomyślał Floyd - jesteśmy sami, dalej niż w połowie drogi na orbitę. Ponownie poczuł wzrastające przyspieszenie, gdy odpalił górny człon rakiety. Siła ciągu nie była jednak zbyt duża. Wróciło normalne ciężenie. Nie mógłby jednak chodzić, ponieważ "góra" znajdowała się z przodu kabiny. Gdyby był na tyle nierozsądny, aby opuścić fotel, rozbiłby się natychmiast o tylną ścianę.

Wrażenie to było nieco dezorientujące, ponieważ mogło się wydawać, że statek stoi na ogonie. Dla Floyda siedzącego z przodu kabiny, reszta siedzeń zdawała się być umieszczona na ścianie opadającej pionowo do tyłu. Starł się za wszelką cenę zapomnieć o tym denerwującym złudzeniu, gdy nagle na zewnątrz pojazdu wybuchł świt.

Przez kilka sekund przebijali się przez zasłony purpury, różu i złota w kłującą oczy biel dnia. I chociaż okna były mocno przyciemnione, aby zapobiec odblaskom, myszkujące promienie słońca, które powoli zalewały kabinę, oślepiły go na kilka minut. Znajdował się w kosmosie, nie mógł jednak zobaczyć gwiazd.

Ośloniwszy oczy dłonią, spróbował wyjrzeć przez znajdujące się obok okno. Na zewnątrz, opływowe skrzydła statku lśniły w słońcu niczym rozpalony do białości metal. Wokół była ciemność, a ciemność powinny wypełniać gwiazdy - nigdzie jednak nie mógł ich dostrzec.

Ciężenie powoli zmniejszyło się. W momencie gdy statek znalazł się na orbicie, wyłączono rakiety. Grzmot silników przeszedł w głuchy warkot, potem w syk, wreszcie nastąpiła cisza. Gdyby nie ograniczające swobodę ruchów pasy, Floyd odpłynąłby z fotela. Poczuł, że jego żołądek ma właśnie ochotę to zrobić. Miał nadzieję, że tabletki, które zaaplikowano mu godzinę i dziesięć tysięcy mil temu zadziałają zgodnie ze specyfikacją. Tylko raz podczas całej swojej kariery cierpiał

na chorobę kosmiczną i było to o jeden raz za dużo.

Głos pilota, który usłyszał w głośniku, był silny i pewny siebie:

- Proszę przestrzegać wszystkich reguł odnoszących się do przebywania w stanie nieważkości.

Za czterdzieści pięć minut połączymy się ze Stacją Orbitalną Numer 1.

Stewardessa podeszła do niego wąskim przejściem z prawej strony ciasno ustawionych foteli. W jej krokach dało się wyczuć pewną elastyczność, lecz stopy z trudem odrywały się od podłogi, tak jak gdyby posmarowano je klejem. Trzymała się jasno-żółtego pasa wykładziny Yelcro, biegnącego przez całą długość podłogi i sufitu. Wykładzina i podeszwy jej sandałów pokryte były miriadami malutkich haczyków, które wczepiały się w siebie jak rzepy. Spacer w stanie nieważkości był sztuką, która niezmiernie uspokajała zdezorientowanych pasażerów.

- Czy miałby pan ochotę na kawę lub herbatę, doktorze Floyd? - spytała radośnie.

- Nie dziękuję - uśmiechnął się. Zawsze czuł się jak niemowlę, gdy przychodziło mu ssać jedną z tych plastikowych tubek z napojami.

Stewardessa ciągle krążyła wokół niego, gdy z trzaskiem otworzył teczkę, by wyjąć papiery.

- Doktorze Floyd, czy mogę zadać panu pytanie?

- Oczywiście - odpowiedział, patrząc znad okularów.

- Mój narzeczony jest geologiem na Klawiuszu - mówiła, ostrożnie dobierając słowa- i od tygodnia nie mam od niego żadnych wieści.

- Przykro mi. Być może pracuje poza bazą i nie ma z nim łączności.

Potrząsnęła głową.

- Zawsze mówi mi, gdy wyjeżdża poza bazę.

Wyobraża pan sobie, jak się martwię słysząc te wszystkie plotki. Czy na Księżycu naprawdę jest epidemia?

- Jeśli jest tak istotnie, nie ma powodu do obaw.

Pamięta pani, w roku 1998 mieliśmy kwarantannę z powodu tego zmutowanego wirusa grypy. Wielu ludzi było chorych, ale nikt nie zmarł. I to jest naprawdę wszystko, co mogę pani powiedzieć zakończył z mocą.

Panna Simmons uśmiechnęła się łagodnie i wyprostowała.

- Cóż, dziękuję doktorze. Przepraszam, że sprawiłam panu kłopot.

- Żaden kłopot - odpowiedział uprzejmie, choć nie bardzo zgodnie z prawdą. Po czym zakopał się w niekończących się raportach technicznych, usiłując desperacko nadrobić swoje zwykle zaległości.

Na Księżycu nie będzie miał czasu na czytanie.

8. ORBITALNE RENDEZ-VOUS

Pół godziny później pilot ogłosił:

- Połączenie za dziesięć minut. Proszę sprawdzić zapięcie pasów.

Floyd posłuchał i odłożył papiery. Czytanie podczas niebiańskiej zonglerki, która miała trwać jeszcze trzysta mil, było ewidentnym szukaniem guza. Najlepiej zamknąć oczy i odprężyć się, podczas gdy statek będzie wstrząsany szarpnięciami w przód i tył, spowodowanymi pracą napędu raketowego.

Parę minut później zobaczył oddaloną o kilka mil Stację Orbitalną Numer 1. Słońce migotało iskrami na gładkiej, metalowej powierzchni obracającego się wolno dysku o przekroju trzystu jardów. Niezbyt daleko od siebie zauważył dryfujący na tej samej orbicie opływowy samolot kosmiczny "Titow V", a obok prawie okrągły "Aries 1B", który był czymś w rodzaju kosmicznego konia pociągowego z czterema przysadzistymi nogami księżycowych amortyzatorów, sterczącymi z jednego boku.

Pojazd kosmiczny "Orion III" opuszczał swoją orbitę i manewr ten ukazał Ziemię, wynurzającą się za stacją, w całym jej zjawiskowym pięknie. Z wysokości dwustu mil Floyd mógł zobaczyć prawie całą Afrykę i Atlantyk. Zachmurzenie było dosyć duże, mimo to domyślał się niebiesko-zielonych zarysów Złotego Wybrzeża.

Centralna oś Stacji Orbitalnej, z wysuniętymi ramionami doków, powoli płynęła w ich kierunku. W przeciwieństwie do struktury, z której wyrastała, oś centralna obracała się w odwrotnym kierunku z szybkością, która równoważyła obrót stacji. Tak więc odwiedzające ją statki kosmiczne mogły łączyć się ze stacją na okres przeładunku ludzi i towarów bez ryzyka niebezpiecznych zawirowań.

Wydając stłumiony, głuchy odgłos, statek i stacja połączyły się. Na zewnątrz rozległy się metaliczne, skrzypiące dźwięki, a następnie krótki syk wyrównywanego ciśnienia powietrza. Kilka sekund później otworzyły się hermetyczne drzwi i do kabiny wszedł mężczyzna ubrany w lekkie, dopasowane spodnie i koszulę z krótkim rękawem, co stanowiło niemal rutynowe umundurowanie personelu stacji.

- Miło mi pana widzieć, doktorze Floyd. Nazywam się Nick Miller. Pracuję w ochronie stacji.

Mam się panem opiekować aż do odlotu promu.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym Floyd uśmiechnął się do stewardessy i powiedział:

- Proszę pozdrowić ode mnie kapitana Tynesa i podziękować mu za wspaniały lot. Być

może spotkamy się, gdy będę wracał do domu.

Bardzo ostrożnie, ponieważ od ponad roku nie przebywał w stanie nieważkości, a odzyskanie kosmicznej pewności siebie zajmuje trochę czasu, Floyd przecisnął się przez hermetyczne drzwi do dużego, okrągłego pomieszczenia znajdującego się na osi stacji. Cały pokój wyłożony był miękką materią. Na ścianach zauważył wgłębienia, w których umieszczono uchwyty dla rąk. Floyd zacisnął dłonie na jednym z uchwytów. Całe pomieszczenie zaczęło wirować, aż zrównało swój obrót z obrotem stacji.

Wraz ze zwiększającą się szybkością delikatne, niewidoczne siły ciężenia schwytały go w swoje objęcia i odpłynął powoli w kierunku okrągłej ściany. Teraz mógł już stać, kiwając się w przód i w tył jak glon miotany falami przyływu. Stał na czymś, co w jakiś cudowny sposób zamieniało się w zakrzywioną podłogę. Teraz wzięła go w posiadanie siła odśrodkowa wywołana obrotem stacji. Tutaj, tuż przy osi, siła ta była bardzo wątpliwa, lecz rosła wraz z przemieszczaniem się ku zewnętrznej krawędzi.

Z centralnego pomieszczenia przejściowego, Miller sprowadził go w dół kręconymi schodami. Z początku Floyd ważył tak niewiele, że musiał trzymać się poręczy. Dopiero w poczekalni dla pasażerów, znajdującej się przy zewnętrznej krawędzi olbrzymiego, obracającego się dysku, odzyskał wystarczająco dużo wagi, by móc poruszać się prawie normalnie.

Poczekalnię przebudowano od czasu, gdy był tutaj po raz ostatni. Wyposażono ją w kilka nowych urządzeń. Oprócz zwykłych krzeseł, stoliczków, restauracji i poczty, umieszczono w niej zakład fryzjerski, aptekę, kino i sklep z pamiątkami, w którym sprzedawano fotografie i slajdy z krajobrazem Księżyca, a także innych planet, oraz prawdziwe, gwarantowane części "Łunników", "Rangerów" i "Suryoyerów", wszystko schludnie zatopione w plastiku i po astronomicznych cenach.

- Czy życzy pan sobie czegoś podczas oczekiwania? - zapytał Miller. - Odlot jest dopiero za trzydzieści minut.

- Napiłbym się kawy z dwoma kostkami cukru i chciałbym zadzwonić na Ziemię.

- Oczywiście, doktorze, zaraz przyniosę kawę, a telefony są tam.

Malownicze budki telefoniczne znajdowały się o kilka jardów od bariery zamykającej dwa wejścia, na których widniały napisy: WITAMY W SEKCJI STANÓW ZJEDNOCZONYCH oraz WITAMY W SEKCJI ZWIĄZKU RADZIECKIEGO. Poniżej umieszczono informację po angielsku, rosyjsku, chińsku, francusku, niemiecku i hiszpańsku:

PROSZĘ PRZYGOTOWAĆ

Paszporty

Wizy

Zaświadczenia lekarskie

Zezwolenie na podróż

Deklarację wagi bagażu

Było coś zaskakująco symbolicznego w fakcie, że po przejściu za barierę w dowolnym kierunku pasażerowie mogli znowu przebywać razem. Podział stacji był czysto umowny.

Po sprawdzeniu, że kodem wywoławczym Stanów było ciągle 81, Floyd wystukał dwunastocyfrowy numer telefonu domowego, wsunął plastikową kartę kredytową powszechnego zastosowania do otworu wrzutowego i po trzydziestu sekundach otrzymał połączenie.

Waszyngton jeszcze spał. Do świtu pozostało kilka godzin. Nie miał jednak zamiaru nikogo budzić. Jego gospodyni otrzyma nagrany przekaz ze stacji, gdy tylko się obudzi.

- Panno Flemming, mówi doktor Floyd. Przepraszam, że wyjechałem w takim pośpiechu. Czy byłaby pani uprzejma zadzwonić do mojego biura i powiedzieć im, żeby odebrali mój samochód. Stoi na lotnisku Dullesa, a kluczyki ma pan Bailey, starszy oficer kontroli lotów. Następnie, czy mogłaby pani zadzwonić do Klubu Wiejskiego "Chevy Chase" i zostawić informację dla sekretarki, że z całą pewnością nie będę mógł wziąć udziału w turnieju tenisowym podczas weekendu. Proszę ich przeprosić, obawiam się, że bardzo na mnie liczyli. Potem nich pani zadzwoni do Downtown Electronics i powie im, że jeśli video w mojej pracowni nie zostanie naprawione, powiedzmy do środy, to mogą sobie zabrać tego cholernego grata z powrotem.

Przerwał na chwilę, aby zaczerpnąć powietrza i zastanowić się nad innymi sprawami czy wręcz potrzebami, które mogą zaistnieć w ciągu zbliżających się dni.

- Jeśli skończy się pani gotówka, proszę porozmawiać z biurem. Być może dostaną tam jakieś pilne wiadomości dla mnie, będę jednak zbyt zajęty, by im odpowiadać. Proszę uściskać ode mnie dzieci i przekazać im, że wrócę tak szybko, jak tylko to będzie możliwe. O do diabła! Idzie ktoś, kogo nie chciałbym zobaczyć. Jeśli mi się uda, zadzwonię z Księżycy. Do widzenia.

Floyd starał się niepostrzeżenie wyślizgnąć z budki, ale było już za późno. Został zauważony. Przez wejście sekcji radzieckiej zbliżał się ku niemu doktor Dymitr Moisiejewicz z Akademii Nauk ZSRR. Dymitr był jednym z najlepszych przyjaciół Floyda i właśnie z tej przyczyny był ostatnią osobą, z którą Floyd życzyłby sobie rozmawiać tu i teraz.

9. PROM KSIĘŻYCOWY

Rosyjski astronom był wysokim, szczupłym blondynem, którego gładka twarz zadawała kłam jego pięćdziesięciu pięciu latom, z których ostatnie dziesięć spędził budując olbrzymie obserwatorium radiowe na niewidocznej stronie Księżyca, gdzie dwa tysiące mil litej skały chroniło je przez elektronicznym hałasem Ziemi.

- No, Heywood - powiedział, mocno ściskając jego dłoń - co porabiasz, jak się mają twoje wspaniałe dzieciaki?

- W porządku - odpowiedział z ciepłym uśmiechem Floyd. Zdawało mu się jednak, że traktuje Moisiejewicza z pewnym roztargnieniem. Często wspominamy te cudowne, zeszlóroczne wakacje - było mu przykro, że zabrzmiało to nie szczerze. Naprawdę wspaniale się bawili podczas tego tygodnia z Dymitrem w Odessie, gdy był on ostatnio na Ziemi.

- A ty, jak podejrzewam, lecisz wyżej? - zapytał Dymitr.

- "No, tak. Odlatuję za pół godziny. Znasz pana Millera?

- Oficer ochrony, który właśnie się zbliżał, stanął taktownie z daleka, trzymając w dłoni plastikowy kubek pełen kawy.

- Oczywiście, znam. Ale niech pan to odstawi, panie Miller. Doktor Floyd ma ostatnią szansę, aby napić się czegoś cywilizowanego. Nie strąćmy jej. Tak, bardzo proszę.

Udali się za Dymitrem, który wyszedł z poczekalni do sekcji obserwacyjnej. Wkrótce siedzieli przy słabo oświetlonym stole, oglądając przesuwaną się panoramę gwiazd. Stacja Orbitalna Numer 1 obracała się raz na minutę, a siła odśrodkowa spowodowana tym powolnym obrotem wytwarzała sztuczne ciężenie równe sile przyciągania Księżyca. To - jak stwierdzono - stanowiło niezły kompromis pomiędzy ciężeniem ziemskim a całkowitym brakiem ciężenia. Co więcej, dawało szansę na aklimatyzację pasażerom udającym się na Księżyc.

Za prawie niewidocznymi szybami okien trwała cicha procesja Ziemi i gwiazd. W tym momencie bok stacji, w którym znajdowała się sekcja obserwacyjna, był odwrócony od Słońca. W innym razie, nie mogliby wyrzeć przez okno, ponieważ całe pomieszczenie zalewałby słoneczny blask. Teraz, poświata Ziemi, wypełniającej połowę nieba, zaciemniała prawie wszystkie gwiazdy.

Stacja orbitowała w kierunku nocnej strony planety i Ziemia znikła. Za kilka minut stanie się olbrzymim czarnym dyskiem, rozjaśnionym jedynie światłami miast. I wtedy niebem zawładną gwiazdy. - Cóż - powiedział Dymitr po szybkim opróżnieniu pierwszego kieliszka i bawiąc się następnym - co oznacza to całe zamieszanie z epidemią w sektorze amerykańskim? Niedawno chciałem tam polecieć. Powiedzieli mi: "Niemożliwe, profesorze. Jest nam bardzo przykro, ale

obowiązuje ścisła kwarantanna aż do odwołania”. Wykorzystywałem swoje różne wpływy, ale bez powodzenia. Teraz ty musisz mi powiedzieć, co się dzieje?

Floyd jęknął w środku. I znów to samo - mruknął do siebie. Im prędzej znajdę się na tym promie na Księżyc, tym lepiej będzie dla wszystkich.

- Ta kwarantanna to tylko środek zapobiegawczy - zaczął ostrożnie. - Nie jesteśmy nawet pewni, czy jest on potrzebny, ale nie chcemy ryzykować.

- Ale co to za choroba? Jakie są objawy? Czy może być pochodzenia pozaziemskiego? Może potrzebujecie pomocy naszych służb medycznych?

- Przykro mi, Dymitr, ale proszono nas o nierozpowszechnianie żadnych informacji w tym momencie. Dzięki za propozycję, ale panujemy nad sytuacją.

- Hmm - mruknął bez przekonania Moisiejewicz - dziwne, że ty, astronom, lecisz na Księżyc zajmować się epidemią.

- Jestem byłym astronomem. O-d lat nie pro wadziłem żadnych badań. Teraz jestem ekspertem naukowym, co oznacza, że nie wiem nic.

- W takim razie wiesz, co oznacza AMT-1?

Miller niemal udławił się swoim drinkiem, lecz Floyd zachował zimną krew. Spojrzał staremu przyjacielowi w oczy i powiedział:

- AMT-1? Co za dziwne wyrażenie. Gdzie je usłyszałeś?

- Nieważne - zareplikował Rosjanin - nie dam się nabrać. Ale jeśli wpadliście na coś, z czym nie dacie sobie rady, mam nadzieję, że nie zostawicie tego, aż będzie za późno, aby krzyczeć o pomoc.

Miller znacząco spojrział na zegarek.

- Za pięć minut musimy się zaokrętować, dok torze Floyd, sędzę, że powinniśmy już iść.

Floyd doskonale wiedział, że mają jeszcze dobre dwadzieścia minut, mimo to podniósł się pospiesznie. Zbyt pospiesznie, ponieważ zapomniał o jednej szóstej ciąży. Musiał uchwycić się stołu, żeby nie odlecieć.

- Miło było spotkać cię, Dymitr - powiedział niezbyt szczerze - mam nadzieję, że będziesz miał dobrą podróż na Ziemię. Zadzwoń do ciebie, jak tylko wrócę.

Gdy opuścili poczekalnię i przeszli przez amerykańską kontrolę administracyjną, Floyd powiedział:

- No, udało się. Dzięki, że mnie pan wybawił.

- Wie pan, doktorze - odpowiedział oficer ochrony - mam nadzieję, że on nie ma racji.

- Jakiej racji?

- Że możemy wpaść na coś, z czym nie damy sobie rady.

- To - odpowiedział z przekonaniem Floyd - mam właśnie zamiar stwierdzić.

Czterdzieści pięć minut później prom księżycowy "Aries-IB" odłączył się od stacji. Start w niczym nie przypominał potężnej furii, z jaką odrywali się od Ziemi. Jedynym dźwiękiem był ledwo słyszalny gwizd niskociągowych silników plazmowych, wyrzucających strumienie naładowanych elektrycznie cząstek w przestrzeń.

Słaby ciąg trwał około piętnastu minut, a niewielkie przyspieszenie nie mogłoby powstrzymać kogokolwiek od spaceru po kabinie. Po kwadransie statek nie był już związany z Ziemią, tak jak wtedy gdy towarzyszył stacji. Zerwał łańcuchy przyciągania i stał się wolną, niezależną planetą, okrążającą Słońce po własnej orbicie.

Kabina, którą Floyd miał w całości dla siebie, przeznaczona była dla trzydziestu osób. Czuł się zupełnie samotnie widząc wokół siebie puste fotele. Był jedyną osobą zaprzętą Uwagę stewarda i stewardessy, nie wspominając o pilocie, drugim pilocie i dwóch inżynierach pokładowych. Bez wątpienia żaden człowiek w historii lotów kosmicznych nie dostąpił zaszczytu takiej obsługi i było mało prawdopodobne, że coś takiego powtórzy się w przyszłości. Przypomniiał sobie cyniczną uwagę jednego z mniej godnych szacunku papieży: "Cieszymy się, albowiem nasze jest papieństwo". Cóż, cieszył się z tej podróży i delektował euforią stanu nieważkości. Wraz ze zniknięciem ciężenia porzucił - przynajmniej chwilowo - większość trosk. Jak ktoś kiedyś powiedział, w kosmosie można być przerażonym, ale nie można się martwić. I miał całkowitą 'rację.

Stewardzi - jak się okazało - byli zdecydowani karmić go przez dwadzieścia pięć godzin podróży i Floyd bez przerwy musiał odsyłać niechciane posiłki. Jedzenie w stanie nieważkości, które kiedyś wprawiało pierwszych astronautów w czarną rozpacz, nie sprawiało obecnie specjalnych problemów. Floyd siedział przy normalnym stole, do którego przymocowano - jak na pływającym po wzburzonych morzach statku - talerze. Wszystkie dania miały lepką konsystencję, co zapobiegało ich wędrówkom po kabinie. Kotlet trzymał się talerza dzięki zawieszystemu sosowi, a sałatka zaopatrzona była w kleiste dodatki. Przy odrobinie umiejętności i uwagi, nie było w zasadzie potrawy, która nie dałaby się bezpiecznie utrzymać na talerzu. Zabronione były jedynie gorące zupy i przesadnie kruche ciasteczka. Oczywiście zupełnie inaczej było z napojami. Wszystkie płyny przechowywano w plastikowych, dających się wyciskać tubach.

Lata heroicznych, bezimiennych badań zabrało zaprojektowanie łazienki, dającej pewność bezbłędneho funkcjonowania. Floyd sprawdził jej działanie wkrótce po tym, jak rozpoczął się stan nieważkości. Znalazł się w pomieszczeniu wyposażonym we wszystkie urządzenia normalnej, lotniczej toalety. Jedyną różnicę stanowiło ostre, nieprzyjemne światło, rażące w oczy swą czerwoną barwą. Instrukcja napisana olbrzymimi literami oznajmiała: UWAGA! DLA WŁASNEJ

WYGODY, PROSIMY O PRZECZYTANIE TEJ INSTRUKCJI NIE ZWYKLE DOKŁADNIE!

Floyd usiadł (nawet w stanie nieważkości miało się to przyzwyczajenie) i przeczytał instrukcję kilkakrotnie. Gdy przekonał się, że od czasu jego ostatniej podróży nie wprowadzono żadnych innowacji, nacisnął guzik z napisem START.

Gdzieś w pobliżu zaczął pracować elektryczny silnik i Floyd poczuł, że rusza z miejsca. Zgodnie z tym, co doradzała instrukcja, zamknął oczy i czekał. Po upływie jednej minuty, usłyszał delikatny głos dzwonka i rozejrzał się wokół.

Światło zmieniło się teraz w kojący oczy blady róż. Ale co najważniejsze, wróciło ciążenie. Jedynie słaba wibracja zdradzała, że wytwarzano je sztucznie. Wywoływano je przy pomocy karuzelowego obrotu całej toalety. Floyd podniósł mydło i przyglądał się jak wolno opada w dół. Oceniał, że siła odśrodkowa powodowała około jednej czwartej normalnej grawitacji. Było to wystarczająco dużo, aby mieć pewność, że wszystko poruszało się we właściwym kierunku w tym jedynym miejscu, gdzie miało to największe znaczenie.

Nacisnął guzik z napisem STOP. WYJŚCIE. Ponownie zamknął oczy. Wraz ze zmniejszającymi się obrotami kabiny znikająca waga. Dzwonek odezwał się dwukrotnie i zapaliło się czerwone światło ostrzegawcze. Drzwi zatrzymały się w odpowiedniej pozycji i Floyd wypłynął przez nie do przedziału pasażerskiego, gdzie szybko przykleił się do wykładziny. Już dawno znudziła go nowość stanu nieważkości i wdzięczny był tym, którzy wymyślili obuwie Yelcro, umożliwiające prawie normalne chodzenie.

Miał mnóstwo pracy, nawet gdyby przyszło mu wyłącznie siedzieć i czytać. Gdy zmęczy się oficjalnymi raportami, memorandami i protokołami, będzie mógł włączyć do obwodu informacyjnego-statku swoją Telegazetę - wielkości kartki papieru kancelaryjnego - i przejrzeć najświeższe wiadomości z Ziemi. Jedną po drugiej wywołane zostaną wszystkie gazety elektroniczne. Znał na pamięć kody ważniejszych tytułów, nie będzie więc musiał sprawdzać ich na liście umieszczonej z tyłu Tele-gazety. Przełączając się na okresową pamięć ekranu, otrzyma dowolną stronę tytułową z nagłówkami, które może sobie wynotować. Każdy nagłówek posiada dwucyfrowy numer wywoławczy. Po wystukaniu numeru na klawiaturze prostokąt wielkości znaczka pocztowego z interesującym go artykułem zacznie powiększać się, aż zajmie cały ekran, umożliwiając mu czytanie, po zakończeniu artykułu ponownie przełączy się na całą stronę, aby wybrać kolejny temat do szczegółowej analizy.

Floyd czasem zastanawiał się, czy Telegazeta i zupełnie fantastyczna technologia, dzięki której powstała, były ostatnim słowem człowieka w dziedzinie przekazywania informacji. Oto bowiem siedzi w fotelu, podążając w kosmos z szybkością tysięcy mil na godzinę i w przeciągu kilku milisekund może przeczytać nagłówki dowolnej ziemskiej gazety (słowo "gazeta" było

oczywiście anachronizmem z epoki przedelektronicznej). Teksty uzupełniano automatycznie co godzinę. Nawet gdyby chciało się czytać wyłącznie angielskie tytuły, człowiek musiałby spędzić życie na pochłanianiu ciągle zmieniającego się strumienia wiadomości z satelitów informacyjnych.

Trudno było sobie wyobrazić, w jaki sposób dałoby się ulepszyć czy usprawnić obecny system. Jednak prędzej czy później - czego Floyd był pewien - przejdzie on do historii. Zostanie zastąpiony przez coś tak niewyobrażalnego, jak sama Telegazeta dla Caxtona czy Gutenberga.

Pojawiła się jeszcze jedna myśl, którą u Floyda wywoływało przeglądanie tych małych elektronicznych tytułów. Im bardziej cudowne stawały się środki przekazu, tym banalniejsza, krzykliwa i przygnębiająca była ich zawartość. Wypadki, przestępstwa, klęski żywiołowe, wywołane przez człowieka katastrofy, groźby wybuchu konfliktów, ponure artykuły wstępne - oto co zawierały miliony słów płynących poprzez eter. Jednak Floyd wiedział, że nie mogło być inaczej. Dawno już doszedł do wniosku, że gazety ze świata utopii byłyby nudne.

Od czasu do czasu kapitan i inni członkowie załogi wchodzili do kabiny i zamieniali z nim kilka słów. Traktowali swojego znamienitego pasażera z szacunkiem i bez wątpienia płonęli z ciekawości co do celu jego misji. Byli jednak zbyt dobrze wychowani, aby domagać się wyjaśnień czy zadawać pytania.

Jedynie drobna, czarująca stewardessa wydawała się całkowicie rozluźniona w jego obecności. Floyd szybko odkrył, że pochodziła z Bali i niosła ze sobą jakąś tajemniczość i dumę tej ciągle jeszcze dziewiczej wyspy. Najdziwniejszą i najbardziej oszałamiającą rzeczą, jaką zapamiętał z całej podróży, był pokaz klasycznych tańców z Bali, wykonany w stanie nieważkości, z cudownym, niebiesko-zielonym sierpem Ziemi znikającym w tle.

Podczas podróży przewidziano jeden okres spoczynku. Wyłączono światła w kabinie i Floyd nakrył się elastycznym prześcieradłem, które zapobiegało odpłynięciu z kanapy. Wszystko to wyglądało dosyć prymitywnie, ale w stanie nieważkości jego niewy-ściełane posłanie było wygodniejsze niż najbardziej luksusowy materac na Ziemi.

Po ułożeniu się na kanapie Floyd dość szybko usnął. Obudził się tylko raz, rozespany i na pół przytomny zastanawiał się nad pobliskim otoczeniem. Przez moment wydawało mu się, że znajduje się wewnątrz słabo oświetlonego chińskiego lampionu. Wrażenie to wywołała słaba poświata sącząca się z innych pomieszczeń. A potem powiedział sobie dobitnie i nie bez racji: "Idź spać, chłopie. To tylko zwykły prom na Księżyc".

Gdy się obudził, Księżyc zajmował połowę nieba i właśnie rozpoczynały się manewry hamujące. Szeroki łuk okien, zajmujących wypukłą ścianę przedziału pasażerskiego, odwrócony był w kierunku nieba i przez okna nie mógł dostrzec zbliżającego się globu. Przeszedł więc do kabiny sterowniczej. Tutaj, na pokazujących widok z tyłu statku ekranach telewizyjnych,

obserwował ostatnie fazy lądowania.

Zbliżające się góry księżycowe w niczym nie przypominały-ziemskich. Nie okrywały ich oślepiające czapy śniegu, nie rosła na nich niskopienna roślinność ani nie przesłaniały ich chmury. Mimo to gwałtowny kontrast światła i cienia nadawał im własne, niepowtarzalne piękno. Tutaj nie obowiązywały prawa ziemskiej estetyki. Ten świat został ukształtowany przez siły, których nie znała Ziemia; siły działające przez eony lat, obce młodej, zielonej planecie, z jej krótką epoką lodowcową, szybko wznoszącymi się i opadającymi morzami, i łańcuchami gór, które znikaly jak mgła przed świtem. Tutaj wiek nie odgrywał żadnej roli. Nie istniała śmierć, ponieważ Księżyc nigdy naprawdę nie żył. Aż do teraz.

Lądujący statek znajdował się niemal dokładnie nad linią oddzielającą noc od dnia. Poniżej ujrzeli chaos postrzępionych cieni i wspaniałe, samotne szczyty skąpane w pierwszych promieniach powolnego, księżycowego świtu. Miejsce, nad którym lecieli, nie nadawałoby się do lądowania nawet przy pomocy wszystkich urządzeń elektronicznych, w jakie wyposażony był prom. Oni jednak powoli przemieszczali się w innym kierunku, tam gdzie panowała księżycowa noc.

Gdy oczy przywykły do słabej poświaty, Floyd zauważył, że noc nie była całkowicie czarna. Oświetlał ją upiorny blask, w którym jak na dłoni widać było szczyty, doliny i równiny Księżyca. Ziemia - olbrzymi księżycowy księżyc - zalewała cały krajobraz swoją poświatą.

Na tablicy pilota nad ekranami radarów zapalały się światła. Pojawiały się i gasły cyfry na ekranie komputera, który obliczał odległość od zbliżającego się Księżyca. Byli oddaleni o więcej niż tysiąc mil od powierzchni satelity, gdy powróciło ciężenie. Silniki rozpoczęły łagodne, lecz stałe hamowanie. Przez wieki całe - jak im się wydawało - Księżyc powiększał się na niebie. Za horyzontem zaszło słońce. I w końcu pole widzenia wypełnił jeden olbrzymi krater. Prom opadał ku położonym centralnie szczytom i nagle Floyd zauważył, że obok jednej z gór zaczęło regularnie pulsować jasne światło. Wyglądało jak zwykła lampa ostrzegawcza na lotnisku gdzieś na Ziemi. Floyd spoglądał w dół ze ściśniętym gardłem: pulsujące światło oznaczało, że człowiek pewnie stanął na Księżycu.

Krater rozrósł się tak znacznie, że jego krawędzie znikaly za horyzontem. Mniejsze kratery, znajdujące się we wnętrzu dużego odkrywały swoje prawdziwe rozmiary. Niektóre z nich, wyglądające bardzo niepozornie z góry, miały po kilka mil średnicy i mogłyby pomieścić całe miasta.

Prom, pilotowany automatycznie, spływał z rozświetlonego gwiazdami nieba w kierunku nagich skał połyskujących blaskiem wielkiej okrągłej Ziemi.

Ponad gwizdem silników dobiegał ich głos kontrolera lotów. W całej kabinie rozległo się elektroniczne buczenie.

- Kontrola lotów z Klawiusza do Misji Specjalnej 14. Jesteście na torze zbliżania. Test manualny śluzy mechanizmu ładowniczego, ciśnienia hydrantu ulicznego i pomp amortyzatorów.

Pilot włączył kilka przycisków. Gdy zapaliły się zielone światła, odpowiedział:

- Test manualny zakończony. Śluza mechanizmu ładowniczego, ciśnienie hydrauliczne i pompy amortyzatorów w porządku.

- Potwierdzam odbiór - odpowiedział Księżyc. Kolejne etapy lądowania przebiegały bez słów. Rozmawiały jedynie maszyny, przesyłające sobie binarne impulsy tysiące razy szybciej, niż mogli to zrobić ich powoli myślący twórcy.

Niektóre szczyty znajdowały się już powyżej promu. Powierzchnia Księżyca oddalona była jedynie o kilka tysięcy stóp. Pulsująca lampa świeciła niczym jasna gwiazda ponad grupą budynków i dziwnych pojazdów. W ostatnim stadium lotu silniki zdawały się grać jakąś nieznaną melodię. Włączały się i wyłączały, dokonując ostatnich korekt ciągu.

Nagle, wirująca chmura pyłu zakryła wszystko. Silniki zdobyły się na ostatni zryw i prom zakołysał się lekko, niczym poruszana falą łódka. Dopiero po kilku minutach Floyd przyzwyczał się do otaczającej go ciszy i słabego ciężenia.

Prawie bez wysiłku odbył przez jeden dzień niewiarygodną podróż, o której ludzie marzyli przez dwa tysiące lat. Po zwykłym, rutynowym locie wylądował na Księżycu.

10. Baza na Klawiuszu

Klawiusz, którego średnica wynosi 150 mil, jest drugim co do wielkości kraterem na widocznej stronie Księżyca. Położony jest w centrum Wyżyny Południowej. Jest bardzo stary. Wieki działalności wulkanicznej i kosmicznych bombardowań pokryły bliznami jego krawędzie i podłoże. Jednak od ostatniej epoki formowania się kraterów, kiedy to pozostałości pasa asteroidów spadały na planety wewnętrzne, Klawiusz przeżywał okres spokoju. Trwało to już pół miliarda lat, Wraz z przybyciem człowieka, który budował swoje pierwsze przyczółki na Księżycu, na i pod powierzchnią Klawiusza zapanowało nowe, nieznane dotąd życie.

Baza na Klawiuszu mogła w razie potrzeby być całkowicie samowystarczalna. Wszystko, co było niezbędne do życia, produkowano ze skał, które rozkruszano, ogrzewano i przetwarzano chemicznie. Wodór, tlen, węgiel, azot, fosfor - pierwiastki te, a także większość innych znajdowały się na Księżycu. Trzeba tylko było wiedzieć, gdzie ich szukać.

Baza stanowiła zamknięty system, jak gdyby pomniejszony model roboczy samej Ziemi, przetwarzając wszystkie produkty chemiczne, które umożliwiały życie. Atmosferę oczyszczano w dużych "szklarniach" - okrągłych pomieszczeniach o znacznej kubaturze, zakopanych tuż pod powierzchnią Księżyca. Oświetlane w nocy przez silne lampy, w dzień zaś przez przefiltrowane promienie słoneczne, rosły tu w cieplej, wilgotnej atmosferze hektary niskich roślin. Były to specjalne mutacje, wyhodowane w celu szybkiego uzupełniania tlenu w powietrzu i - niejako ubocznie - dostarczania żywności.

Jednak główna część pokarmów pochodziła z syntezy chemicznej i hodowli glonów. I chociaż zielona piana przepływająca jardami przezroczystych, plastikowych rur na pewno nie spodobałaby się niektórym szefom kuchni, biochemicy zamieniali ją na kotlety i steki, które jedynie ekspert mógł odróżnić od prawdziwych.

Tysiąc stu mężczyzn i sześćset kobiet stanowiło personel Bazy. Byli to wysoko-wykwalfikowani naukowcy i technicy dokładnie sprawdzeni przed opuszczeniem Ziemi. Życie na Księżycu nie przysparzało obecnie takich problemów jak we wczesnej epoce osadnictwa. Ciągłe jednak wymagało psychicznego wysiłku i nie zalecano go osobom cierpiącym na klaustrofobię. Ponieważ wycinanie dużej, podziemnej bazy w litej skale czy zastygłej lawie było bardzo drogie i czasochłonne, standardowy "moduł" jednoosobowy był pomieszczeniem o szerokości sześciu, długości dziesięciu i wysokości ośmiu stóp.

Każdy pokój był atrakcyjnie umeblowany i wyglądał jak dobry apartament hotelowy, z rozkładaną sofą, telewizorem, zminiaturyzowanym sprzętem hi-fi i telefonem wizyjnym. Co

więcej, dzięki ciekawemu pomysłowi dekoratora wewnątrz jedną ze ścian można było zamienić naciśnięciem przełącznika w przekonujący ziemski krajobraz. Istniał wybór ośmiu widoków.

Ten rodzaj luksusu był typowy dla Bazy. Niekiedy jednak trudno było wyjaśnić jego konieczność ludziom na Ziemi. Każdy pracownik Bazy kosztował setki tysięcy dolarów wydanych na jego przygotowanie, transport i zakwaterowanie. Spokój jego umysłu wart był tych kilku dolarów ekstra. Nie była to sztuka dla sztuki, lecz sztuka zachowania zdrowego rozsądku.

Jedną z atrakcji życia w Bazie - jak i na całym Księżycu - było słabe przyciąganie, które wywoływało ogólne poczucie zadowolenia. Miało ono jednak i swoje złe strony, do których przez kilka tygodni musiał przyzwyczajać się przybysz z Ziemi. Ludzkie ciało na Księżycu musi nauczyć się całego zestawu nowych odruchów. Musi po raz pierwszy odróżnić masę od wagi.

Człowiek, który na Ziemi ważył sto osiemdziesiąt funtów, z radością odkrywał, że jego waga na Księżycu zmniejszyła się do trzydziestu funtów. Dopóki poruszał się prosto z jednakową szybkością, doświadczał uczucia cudownej równowagi. Jednak gdy tylko usiłował zmienić kierunek - chcąc na przykład skrócić za róg lub stanąć w miejscu - stwierdzał, że jego całe sto osiemdziesiąt funtów masy lub inercji ciągle mu towarzyszy. Stałe i niezmiennie: takie samo na Ziemi, Księżycu, Słońcu czy w stanie nieważkości. Zanim przybysz z Ziemi przystosował się do księżycowego życia, musiał nauczyć się, że wszystkie obiekty znajdujące się w obrębie przyciągania satelity poruszały się sześć razy wolniej, niż to sugerowała ich waga. Lekcji tej udzielały nowoprzybyłym bezustanne kolizje i stłuczenia. Ludzie będący od dawna na Księżycu starali się omijać żółtodziobów z daleka, aż do momentu ich aklimatyzacji.

Ze swoim kompleksem warsztatów, biur, magazynów, centrów obliczeniowych, generatorów, garaży, kuchni, laboratoriów i zakładów produkcji żywności Baza na Klawiuszu była samoistnym światem. I jak na ironię, wiele z wynalazków wykorzystywanych przy budowie tego podziemnego imperium narodziło się podczas półwiecza Zimnej Wojny.

Każdy, kto pracował przy umieszczonych w bunkrach wyrzutniach raketowych, czuł się na Klawiuszu jak w domu. Tutaj również styl życia był podyktowany wymaganiami podziemi i potrzebą ochrony przed wrogim otoczeniem. Na Klawiuszu zmienił się jedynie cel ludzkich wysiłków. Tutaj był nim pokój. Po dziesięciu tysiącach lat ludzkość odkryła wreszcie coś równie atrakcyjnego jak wojna.

Niestety, nie wszystkie narody zdawały sobie z tego sprawę.

Góry, które były widoczne tuż przed lądowaniem, zniknęły teraz w jakiś tajemniczy sposób. Zasłonił je spadzisto-wypukły księżycowy horyzont. Wokół statku rozciągała się płaska, szara równina, którą oświetlało ukośnie padające ziemskie światło. Niebo było całkiem czarne, mimo to można było na nim dostrzec jedynie najjaśniejsze gwiazdy i planety, i to dopiero wtedy, gdy

osłoniło się oczy przed rzucającą odblask powierzchnią Księżyca.

Do promu "Aries-1B" zbliżało się kilka, dosyć szczególnie wyglądających pojazdów. Były to dźwigi, podnośniki, pojazdy obsługi - niektóre całkowicie zautomatyzowane, inne prowadzone przez znajdujących się w małych kabinach ciśnieniowych kierowców. Większość pojazdów poruszała się na balonowych kołach, ponieważ gładka, płaska równina nie stwarzała żadnych trudności transportowych. Tylko jedna z cystern toczyła się na specjalnych elastokołach, które w praktyce okazały się najlepszym rozwiązaniem kłopotów z poruszaniem się po powierzchni Księżyca. Elastokoła zbudowane były z kilkunastu oddzielnie zawieszonych i resorowanych płaszczyzn tworzących okrąg. Posiadały większość zalet gąsienic, z których zresztą wziął się pomysł ich zastosowania. Elastokoła dostosowywały swój kształt i średnicę do podłoża, po którym się poruszały i w przeciwieństwie do gąsienic mogły działać nawet wtedy, gdy brakowało kilku płaszczyzn.

Do promu podłączono mały autobus z wystającą rurą przypominającą grubą trąbę słonia. Kilka sekund później na zewnątrz rozległy się stuki i uderzenia, po których nastąpił syk powietrza, gdy wyrównano ciśnienie. Otworzyły się wewnętrzne drzwi śluzy, przez które weszła delegacja powitalna.

Prowadził ją Ralph Halvorsen, Administrator Prowincji Południowej, która oprócz Bazy obejmowała rozliczne stanowiska badawcze. Towarzyszył mu Koordynator Badań Naukowych, doktor Roy Michaels, niski, szpakowaty geofizyk, którego Floyd znał z poprzednich wizyt, a także pół tuzina ważniejszych naukowców i urzędników. Powitali go z pełną szacunku ulgą. Każdy z nich, włączywszy administratora, pragnął podzielić się z nim swoimi zmartwieniami.

- Cieszę się, że jest pan z nami, doktorze Floyd - przywitał go Halvorsen. - Czy miał pan dobrą podróż?

- Wspaniałą - odpowiedział Floyd. - Nie mogła być lepsza. Załoga opiekowała się mną doskonale.

Wymieniał zdawkowe, kurtuazyjne uwagi, podczas gdy autobus zaczął oddalać się od promu. Jak gdyby w milczącym porozumieniu, nikt nie poruszał tematu przyczyny jego wizyty. Po przejechaniu tysiąca stóp od miejsca lądowania autobus zbliżył się do dużego znaku, na którym widniał napis:

WITAMY W BAZIE NA KLAWIUSZU Amerykański Korpus Inżynierii Astronautycznej
1994 Wkrótce wjechali do wykopu, który szybko zaprowadził ich do podziemi. Przed nimi otworzyła się masywna brama, którą zaraz potem zamknięto. Cała procedura powtórzyła się jeszcze dwukrotnie. Gdy zasunęły się ostatnie drzwi, usłyszeli syk powietrza. Znów otaczała ich atmosfera. Znaleźli się w łagodnym klimacie Bazy.

Po krótkim spacerze wzdłuż wypełnionego kablami i rurami tunelu, który rozbrzmiewał echem ich kroków, doszli do obszaru zajmowanego przez administrację. Floyd poczuł się jak w domu pośród maszyn do pisania, komputerów biurowych, asystentek, tablic z wykazami i dzwoniących telefonów. Gdy zatrzymali się przed drzwiami z napisem ADMINISTRATOR, Halvorsen powiedział dyplomatycznie:

- Doktor Floyd i ja zjawimy się w sali odpraw za kilka minut.

Pozostali skinęli głowami i wydając aprobowane pomruki odeszli w głąb korytarza. Lecz zanim Halvorsen wprowadził Floyda do biura, zdarzyła się mała przerwa. Otworzyły się drzwi i na administratora rzuciła się nieduża postać.

- Tatusiu! Byłeś na górze! Obiecywałeś, że mnie weźmiesz.

- Posłuchaj, Diano - odpowiedział delikatnie, jednak z wyczuwalnym poirytowaniem Halvorsen - obiecywałem, że zabiorę cię, jeśli będę mógł. Byłem jednak bardzo zajęty witając doktora Floyda. Podaj mu rękę, właśnie przyleciał z Ziemi.

Dziewczynka, która jak ocenił Floyd, miała około ośmiu lat, wyciągnęła dłoń. Niejasno pamiętał jej twarz. Nagle zdał sobie sprawę, że administrator przygląda mu się z figlarnym uśmiechem. Gdy wreszcie przypomniał sobie, zrozumiał, dlaczego Halvorsen uśmiecha się do niego.

- Niemożliwe - wykrzyknął. - Kiedy byłem tutaj ostatnio, ona jeszcze leżała w łóżeczku.

- W zeszłym tygodniu skończyła cztery lata powiedział z dumą Halvorsen. - Dzieci szybko rosną na tej słabej grawitacji, i nie zestarzeją się tak prędko, będą żyły dłużej od nas.

Floyd zafascynowany przyglądał się dziewczynce. Z uwagą obserwował jej wdzięczną figurkę i niezwykle delikatny kościec.

- Cieszę się, że znów cię widzę, Diano - powiedział, a potem coś, być może zwykła ciekawość lub uprzejmość, kazała mu zapytać: - Czy chciałabyś polecieć na Ziemię?

Ze zdziwieniem rozszerzyła oczy i potrząsnęła głową.

- To okropne miejsce. Można się skaleczyć, gdy się upadnie. Poza tym tam jest dużo ludzi.

Oto - pomyślał Floyd - pierwsza kosmiczna generacja. W przyszłości będzie ich coraz więcej. I chociaż, gdy myślał o nich, ogarniał go jakiś smutek, wiedział, że w nich spoczywa nadzieja. Ujarzmiona, cicha i trochę już zmęczona Ziemia, ojczyzna kochających wolność twardych pionierów, niespokojnych poszukiwaczy przygód. Przyszedł czas, gdy topór, karabin i kryty wóz trzeba zamienić na hydroponiczne plantacje, elektrownie nuklearne i plazmowe silniki. Przyszedł czas, gdy Ziemia - jak każda matka - musi pożegnać swoje dzieci.

Halvorsen groźbami i obietnicami zdołał pozbyć się swojej zdesperowanej latorośli.

Wprowadził Floyda do biura. Pokój administratora mierzył jedynie piętnaście stóp kwadratowych,

jednak mieściły się w nim wszystkie oznaki statusu szefa wydziału z pensją pięćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie. Na jednej ze ścian wisiały podpisane fotografie ważniejszych polityków, w tym Prezydenta Stanów Zjednoczonych i Sekretarza Generalnego ONZ. Inną pokrywały zdjęcia z podpisami znanych astronautów.

Floyd usiadł w wygodnym, skórzanym fotelu. Halvorsen poczęstował go kieliszkiem sherry, wyprodukowanej w laboratoriach biochemicznych na Księżycu.

- I co słyhać, Ralph? - zapytał Floyd, próbu jąc najpierw ostrożnie, później z aprobatą podany mu trunek.

- Nie jest najgorzej - odpowiedział Halvorsen.

- Chciałbym jednak powiedzieć ci o czymś, zanim przejdziemy do sali odpraw.

- Tak? Co takiego?

- No cóż myślę, że można to nazwać problemem z utrzymaniem morale - westchnął Halvorsen.

- Ach tak?

- To nic poważnego, ale szybko się rozprze strzenia.

- Blokada informacyjna? - zapytał apatycznie Floyd.

- Właśnie - odpowiedział administrator. Moi ludzie zaczynają się buntować. Większość z nich ma przecież rodziny na Ziemi. Rodziny, które prawdopodobnie wydaje się, że my wszyscy tu poumieraliśmy na jakąś księżycową dzumę.

- Przykro mi z tego powodu - rozpoczął Floyd - ale nie mogliśmy wymyśleć lepszego wytłumaczenia. Zresztą jak do tej pory ta historia z chorobą zdaje egzamin. Przy okazji: na Stacji Orbitalnej spotkałem Moisiejewicza i nawet on to kupił.

- Ochrona ma się z czego cieszyć.

- Nie za bardzo. Moisiejewicz słyszał o AMT-1.

Zaczynają się przecieki. Ale nie możemy przecież zająć oficjalnego stanowiska, dopóki nie będziemy wiedzieli, co to, do diabła, jest, i czy przypadkiem nie stoją za tym nasi chińscy przyjaciele.

- Doktor Michaels sądzi, że będzie mógł to wyjaśnić. Umiera wprost z chęci, aby ci o tym powiedzieć.

Floyd opróżnił kieliszek.

- Ja też umieram z ciekawości. Chodźmy.

11. ANOMALIA

Odprawa miała się odbyć w dużym, prostokątnym pomieszczeniu, które z łatwością mogło pomieścić sto osób. Salę wyposażono w najnowsze urządzenia optyczne i elektroniczne ekrany. Z pewnością wyglądałyby jak supernowoczesny pokój posiedzeń, gdyby nie liczne plakaty, zdjęcia, uwagi i próbki amatorskiego malarstwa, wskazujące, że sala spełniała również rolę centrum miejscowego życia kulturalnego. Floyda uderzyła szczególnie kolekcja tablic, zebrana niewątpliwie przez zapalonego hobbyste, na których znajdowały się następujące napisy: NIE DEPTAĆ TRAWNIKÓW, ZAKAZ PARKOWANIA W DNI PARZYSTE, UPRASZA SIĘ O NIEPALENIE, DO PLAŻY, PRZEJŚCIE DLA BYDŁA, NIE UTWARDZONE POBOCZA oraz NIE KARMIC ZWIERZĄT. Jeśli tablice te były prawdziwe - a na takie wyglądały - przewiezienie ich z Ziemi musiało kosztować małą fortunę. Była w nich jakaś wzruszająca przekora. W tym obcym świecie ludzie ciągle potrafili żartować z rzeczy, które zmuszeni byli zostawić za sobą i za którymi ich dzieci nie będą już tęskniły.

Na Floyda czekało około czterdziestu lub pięćdziesięciu osób. Gdy wszedł za administratorem, wszyscy podnieśli się z miejsc. Skinął głową kilku znajomym i szepnął Halvorsenowi:

- Chciałbym powiedzieć kilka słów przed odprawą.

Usiadł w pierwszym rzędzie. Administrator wspiął się na mównicę i rozejrzał po twarzach zgromadzonych.

- Panie i panowie - rozpoczął - nie muszę wam przypominać, że zebraliśmy się tutaj z istotnej przyczyny. Cieszę się, że jest z nami doktor Heywood Floyd. Wszyscy o nim słyszeliśmy, a wielu z nas zna go osobiście. Doktor Floyd właśnie przyleciał z Ziemi. Prosił mnie o udzielenie mu głosu przed odprawą. Doktor Floyd.

Heywood podszedł do mównicy pośród uprzejmych oklasków, spojrzął na publiczność i zaczął przemawiać:

- Dziękuję państwu. Będę się streszczał. Prezydent prosił mnie o przekazanie wam wyrazów największego podziwu za waszą ofiarną pracę, którą - jak sądzę - wkrótce doceni cały świat. Zdaję sobie sprawę - mówił ostrożnie dalej - że niektórzy, a być może większość z was, z niecierpliwością oczekują na zniesienie obowiązującej blokady informacyjnej. Nie moglibyście być naukowcami, gdyby było inaczej.

Kątem oka dostrzegł twarz doktora Michaela, po której przebiegł lekki skurcz, ujawniający długą bliznę na prawym policzku - prawdopodobnie pamiątkę po jakimś wypadku w kosmosie.

Geolog - o czym dobrze wiedział Floyd - ostro protestował przeciwko, jak sam to określił, "zabawie w policjantów i złodziei".

- Chciałbym jednak przypomnieć wam - kontynuował Floyd - że mamy tu do czynienia z sytuacją nadzwyczajną. Musimy być absolutnie pewni gruntu, na jakim stoimy. Jeśli teraz popełnimy jakieś błędy, być może nie da się już ich naprawić.

Proszę więc o jeszcze odrobinę cierpliwości. Prosi was również o to prezydent. To wszystko co miałem do powiedzenia. A teraz chciałbym wysłuchać waszego raportu.

Wrócił na swoje miejsce. Administrator podziękował Floydowi i skinął szorstko głową Głównemu Koordynatorowi Badań Naukowych. Doktor Michaels wszedł na mównicę. Przygasły światła.

Na ekranie pojawiła się fotografia Księżyca. W samym centrum satelity znajdował się jaskrawo biały pierścień krateru, z którego rozchodził się uderzający, promienisty wzór. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś rozsypał worek mąki na tarczy Księżyca; mąki, która rozsypała się we wszystkich kierunkach.

- To jest Tycho - rozpoczął Michaels, pokazując na centralnie położony krater. - Na tej pionowo wykonanej fotografii Tycho jest znacznie lepiej widoczny niż z Ziemi. Oglądany z naszej planety znajduje się bliżej krawędzi Księżyca. Gdy spogląda się na niego w dół z wysokości tysiąca mil, można zauważyć, jak dominuje nad całą półkulą.

Michaels pozwolił Floydowi nasycić oczy tym niecodziennym widokiem znajomego przecież obiektu i mówił dalej :

- Przez ostatni rok prowadziliśmy badania magnetyczne tego regionu przy pomocy niskopułapowego satelity. Badania zakończyły się w zeszłym miesiącu, a ich rezultatem jest ta oto mapa, od której zaczęły się wszystkie kłopoty.

Na ekranie pojawił się kolejny obraz. Przypominał mapę konturową, chociaż ukazywał pole natężenia magnetycznego, a nie wysokość nad poziomem morza. Na większej części mapy linie były mniej więcej równoległe w stosunku do siebie. Odległość między nimi była również z grubsza jednakowa. Jednak w jednym z rogów linie nagle zaczęły się nakładać, formując koncentryczne kręgi - jak rysunek słoików wokół sęka na desce.

Nawet dla niewprawnego oka musiało być oczywiste, że w tym regionie stało się coś szczególnego z księżycowym polem magnetycznym. Wzdłuż dolnej krawędzi mapy biegł duży napis: ANATOMIA MAGNETYCZNA TYCHO - JEDEN (AMT-1). W górnym prawym rogu znajdowała się pieczęć: TAJNE.

- Na początku wydawało nam się, że może to być odłamek skały magnetycznej, ale badania geologiczne nie potwierdziły tego. Żaden, nawet największy meteoryt żelazowo-niklowy nie

mógłby wy tworzyć pola o takim natężeniu jak to. Postanowiliśmy więc przyjrzeć mu się z bliska. Pierwsza grupa nie odkryła nic, poza normalnie ukształtowanym terenem, przykrytym cienką warstwą pyłu księżycowego. Rozpoczęto odwierty w samym środku pola magnetycznego i pobrano do badań próbki gruntu.

Na głębokości dwudziestu stóp wiertło zatrzymało się. Grupa badawcza zaczęła więc kopać, a nie muszę chyba nikogo przekonywać, że nie jest to łatwa praca, szczególnie gdy wykonuje się ją w skafandrach próżniowych. To, co znaleźli, sprawiło, że z pośpiechem wrócili do Bazy. Wysłaliśmy większy zespół zaopatrzony w lepszy sprzęt. Kopali przez dwa tygodnie, a rezultat znacie.

Nie oświetlona sala posiedzeń nagle ucichła. Wszyscy z oczekiwaniem wpatrywali się w ekran. I chociaż znali już to zdjęcie na pamięć, każdy pochylił się jak gdyby wypatrując nowych szczegółów. Zarówno na Ziemi, jak i na Księżycu fotografię tę oglądało około stu ludzi.

Przedstawiała ona mężczyznę w jaskrawym żółto-czerwonym skafandrze próżniowym, stojącego na dnie wykopu i trzymającego w dłoni geodezyjną łatę z podziałką w dziesiętnych częściach metra. Fotografię zrobiono w nocy, a miejscem jej wykonania mógł być zarówno Księżyc, jak i Mars. Jednak jak do tej pory, żadna z planet nie była świadkiem takiej sceny.

Obiektem, przed którym stał ubrany w skafander człowiek, była pionowo stojąca płyta, wykonana z czarnego jak smoła materiału, mierząca dziesięć stóp wysokości i pięć stóp szerokości. Floydowi przypominała olbrzymi, złowieszczy kamień nagrobny. Jej krawędzie były ostro zakończone, całość zaś sprawiała wrażenie niezwyklej symetrii. Płyta była tak czarna, że zdawała się połykać padające na nią światło. Powierzchnia płyty była idealnie gładka. Nie można było stwierdzić, czy wykonano ją z kamienia, metalu czy plastiku. Być może zrobiono ją z materiału całkowicie nie znanego ludziom.

- AMT-1 - stwierdził niemal nabożnie doktor Michaels. - Wygląda na całkiem nową, nieprawdaż? Trudno mi jest nawet winić tych, którzy sądzili, że liczy ona sobie nie więcej niż kilka lat i próbowali łączyć ją z trzecią chińską ekspedycją z roku 1998. Ja jednak nigdy nie mogłem w to uwierzyć. Teraz już na podstawie miejscowych badań geologicznych możemy ustalić jej wiek. Moi współpracownicy i ja, doktorze Floyd, dowiedliśmy ponad wszelką wątpliwość, że Chińczycy nie mają z tym nic wspólnego. Co więcej, cała ludzkość nie może mieć z tym nic wspólnego, ponieważ gdy zakopano tę płytę, nie było jeszcze ludzi.

Widzi pan, liczy ona sobie około trzech milionów lat. To, na co pan patrzy, jest pierwszym dowodem na istnienie inteligentnych form życia poza Ziemią.

12. PODRÓŻ W ZIEMSKIM BLASKU

PROWINCJA MAKROKRATERÓW: Rozciąga się na południe od centrum widocznej strony Księżyca. Leży na wschód od Centralnej Prowincji Kraterów. Gęsto usiana kraterami oduderzeniowymi - większość z nich jest duża, niektóre największe na Księżycu. Na północy krateru spękane od uderzeń formujących Marę Imbrium. Prawie wszędzie teren pofałdowany, z wyjątkiem niektórych wnętrz kraterów. Większość powierzchni pagórkowata - 10 do 12 stopni. Niektóre wnętrza kraterów płaskie.

ŁĄDOWANIE I PORUSZANIE SIĘ: Lądowanie generalnie utrudnione ze względu na nierówny, pagórkowaty teren. Możliwe w niektórych wnętrzach kraterów. Poruszanie się możliwe prawie wszędzie, wymagany jednak wybór tras. Znacznie łatwiejsze w niektórych wnętrzach kraterów.

BUDOWNICTWO: Generalnie utrudnione ze względu na wzniesienia i liczne duże łachy sypkiego materiału. Wydobywanie lawy w niektórych wnętrzach kraterów trudne.

TYCHO: Krater typu postmaria o średnicy 54 mil; krawędź 7900 stóp powyżej poziomu otoczenia; wnętrze głębokości 12000 stóp. Najlepiej na Księżycu wykształcony system promieni. Niektóre promienie dłuższe niż 500 mil.

(Fragment Specjalnego studium inżynierskiego powierzchni Księżyca, Biuro Naczelnego Inżyniera Departamentu Armii. "Amerykański Przegląd Geologiczny", Waszyngton 1961.)

Ruchome laboratorium, toczące się przez równinę krateru z szybkością pięćdziesięciu mil na godzinę, wyglądało jak duża przyczepa kempingowa na ośmiu elastokołach. Podobieństwo z przyczepą kończyło się jednak na wyglądzie. Laboratorium było bowiem kompletną bazą, w której mogło mieszkać i pracować przez kilka tygodni dwudziestu ludzi.

Było również poruszającym się po ziemi statkiem kosmicznym, który w razie potrzeby mógł unieść się w przestrzeń. Laboratorium potrafiło pokonywać przeszkody-szczeliny czy kaniony, które były zbyt duże, aby je objechać, lub zbyt strome do przeprawy - przy pomocy czterech silników umieszczonych w jego dolnej części.

Wyglądający przez okno Floyd widział przed sobą wyraźny szlak wytyczony kołami dziesiątków pojazdów w sypkiej powierzchni Księżyca. Wzdłuż szlaku, w jednakowej odległości od siebie, stały długie, cienkie słupki, na których umieszczono błyskające co pewien czas lampy. Mimo ciągle panującej nocy nie można było zgubić drogi podczas dwustumilowej podróży z Klawiusza do AMT-1. Słońce miało wzejść dopiero za kilka godzin.

Świecące na niebie gwiazdy były nieco jaśniejsze i bardziej liczne niż te, które widoczne były z wysokich płaskowyży Nowego Meksyku czy Colorado. Złudzenie oglądania ziemskiego nieba niweczyły jednak dwie bardzo istotne różnice.

Pierwszą z nich była sama Ziemia, wisząca nad północnym horyzontem niczym jasna lampa ostrzegawcza. Światło spływające z tej gigantycznej półkuli było dziesiątki razy silniejsze niż poświata Księżyca w pełni i zalewało cały krajobraz zimną, niebiesko-zieloną fosforescencją.

Drugą zaś stanowił słaby, perłowy stożek światła, wznoszący się ponad wschodnim horyzontem. Stożek jaśniał nad krawędzią satelity, wskazując na ognistą kulę schowaną za tarczą Księżyca. Tworzyła go blada aureola niewidoczna z Ziemi poza całkowitymi zaciemnieniami. Słoneczna korona - zwiastun księżycowego świtu - ostrzegała uśpiony krajobraz o nadejściu dnia.

Siedząc z Halvorsenem i Michaelsem w przednim przedziale obserwacyjnym, znajdującym się tuż za miejscem kierowcy, Floyd powracał myślami do przepaści trzech milionów lat, która tak niedawno otworzyła się przed nim. Jak wszyscy naukowcy przyzwyczajony był do rozważań nad długimi okresami czasu, dotyczyły one jednak ruchu gwiazd - powolnych cykli nieożywionego wszechświata. W takich przypadkach nie zajmowano się jednak umysłem czy inteligencją, mówiono jedynie o eonach lat wyzutyk z wszelkich, właściwych ludziom doznań.

Trzy miliony lat! Niewyobrażalnie zatłoczona panorama spisanej historii z cesarstwami, królami, triumfami i tragediami, obejmowała zaledwie niecałą tysięczną część tego porażającego ogromem okresu. Nie tylko człowiek, ale także większość żyjących obecnie na Ziemi zwierząt nie istniała jeszcze, gdy z taką pieczołowitością zakopano tę czarną zagadkę w jednym z najwspanialszych i najbardziej okazałych kraterów Księżyca.

Doktor Michaels był absolutnie przekonany, że płytę zakopano tutaj celowo.

- Z początku - wyjaśniał - podejrzewałem, że oznaczono nią jakąś podziemną budowlę, lecz nasze późniejsze wykopaliska nie potwierdziły tego. Płyta umieszczona jest na szerokiej podstawie, wykonanej z tego samego materiału, pod którą znajduje się nienaruszona skała. Stworzenia, które to wszystko zaprojektowały, chciały mieć pewność, że płyta będzie stała i wytrzyma wszystkie wstrząsy skorupy Księżyca. Budowały na wieczność.

W głosie Michaela brzmiał triumf i smutek. Floyd zdawał się podzielać te uczucia. W końcu znaleziono odpowiedź na jedno z najstarszych pytań dręczących ludzkość. Oto ponad wszelką wątpliwość pojawił się dowód, że człowiek nie był jedynym inteligentnym stworzeniem we wszechświecie. Jednak świadomość istnienia tego dowodu była tym boleśniej, im większy wydawał się bezmiar czasu. Ktokolwiek zatrzymał się tutaj, minął się z ludzkością o setki tysięcy pokoleń. Być może - myślał Floyd - lepiej, że tak się stało. Czego nauczyłyby nas stworzenia podróżujące w kosmosie, w czasie gdy nasi przodkowie skakali jeszcze po drzewach.

Przed nimi w odległości kilkuset jardów pojawił się znak drogowy górujący nad dziwnie bliskim horyzontem Księżyca. U podnóża znaku stała budowla w kształcie namiotu, pokryta świecąca, srebrną folią, chroniącą ją przed gwałtownym gorącym dniami. Gdy laboratorium mijalo znak, Floyd odczytał w jasnym ziemskim świetle napis:

SKŁAD AWARYJNY Nr 3

Ciekły tlen - 20 kg

Woda - 10 kg

20 Paczek żywnościowych - Typ 4

I Zestaw narzędzi Typ B

I Kombinezon naprawczy

TELEFON!

- A czy pomyślałeś o tym? - zapytał Floyd wskazując za okno - Przypuśćmy, że płyta jest składowiskiem zapasów pozostawionym przez ekspedycję, która nigdy nie powróciła.

- Rzeczywiście, istnieje taka możliwość - przyznał Michaels. - Pole magnetyczne z pewnością mogło służyć jako łatwe do odnalezienia oznakowanie położenia. Jednak ze względu na niewielkie rozmiary trudno byłoby umieścić w płycie wystarczająco dużo zapasów.

- Dlaczego nie? - włączył się do rozmowy Halvorsen. - Kto wie, jakiego byli wzrostu? Być może, mierzyli tylko sześć cali i w takim razie płyta byłaby dla nich wieżowcem o dwudziestu czy trzydziestu piętrach.

Michaels potrząsnął głową.

- Absolutnie wykluczone - zaprotestował. Nie mogą istnieć bardzo małe i jednocześnie bardzo inteligentne stworzenia. Potrzebna jest minimalna pojemność mózgu.

Floyd zauważył, że Michaels i Halvorsen rzadko kiedy zgadzali się. Nie istniała jednak między nimi osobista wrogość czy niechęć. Szanowali się wzajemnie i po prostu zgadzali się nie zgadzać.

W ogóle trudno było dojść do porozumienia co do natury AMT-1 lub Monolitu z Tycho, jak nazywali go niektórzy, zachowując część skrótu. Podczas sześciu godzin, które upłynęły od wylądowania na Księżycu, Floyd usłyszał dziesiątki teorii i do żadnej z nich nie mógł się przekonać. Kaplica, tablica oznaczająca miejsce badań, nagrobek, instrument geofizyczny - były to ulubione sugestie, bronione niekiedy bardzo gwałtownie przez niektórych protagonistów. Poczyniono wiele zakładów: dużo pieniędzy zmieni właścicieli, gdy prawda wreszcie zostanie odkryta - jeśli kiedykolwiek zostanie odkryta.

Do tej pory twardy, czarny materiał, z którego wykonano płytę, opierał się niezbyt zresztą wyrafinowanym wysiłkom Michaela i jego zespołu, który starał się pobrać próbki. Oczywiście płytę można byłoby przeciąć laserem. Jak powszechnie wiadomo, nic nie jest w stanie oprzeć się tej przerażającej koncentracji energii. Jednak decyzję o podjęciu środków ostatecznych pozostawiono Floydowi. On zaś postanowił już, że przed wytoczeniem ciężkiej laserowej artylerii należy spróbować badań promieniami rentgenowskimi, ultradźwiękami, wiązkami neutronowymi i wszystkimi innymi dostępnymi środkami, które nie powodują zniszczeń. Byłoby barbarzyństwem burzenie czegoś, czego się nie rozumie. Ale może ludzie okazaliby się barbarzyńcami w porównaniu z twórcami płyty.

Skąd mogli pochodzić? Z samego Księżyca? Nie, to było wykluczone. Jeśli kiedykolwiek istniało samoistne życie na tym pustkowiu, musiało ono ulec zagładzie podczas ostatniej epoki formowania kraterów, kiedy to większa część powierzchni satelity była rozpalona do białości.

Z Ziemi? Mało prawdopodobne, chociaż nie całkiem wykluczone. Każda rozwinięta cywilizacja ziemská istniejąca w plejstocenie - nawet jeśli nie była cywilizacją ludzką - musiałaby pozostawić wiele innych śladów swojego istnienia. Wiedzielibyśmy o niej wszystko,- myślał Floyd - zanim pierwszy człowiek dotarłby na Księżyc.

Pozostawały dwie możliwości: planety lub gwiazdy. Dowody przemawiały za tym, że w Układzie Słonecznym nie było poza Ziemią inteligentnych form życia, co więcej - jakichkolwiek form życia poza Ziemią i Marsem. Wewnętrzne planety są zbyt gorące, zewnętrzne zbyt zimne, oprócz tego ciśnienie atmosferyczne osiąga na nich setki ton na cal kwadratowy.

Może więc goście przybyli z gwiazd - ta ewentualność wydawała się jednak jeszcze bardziej nieprawdopodobna. Spoglądając na konstelacje rozciągające się na hebanowym, księżycowym niebie, Floyd przypomniał sobie liczne "dowody" znajomych naukowców, wykluczające możliwość podróży międzygwiazdnych. Podróż z Ziemi na Księżyc ciągle jeszcze robiła duże wrażenie. Najbliższa gwiazda była setki milionów razy bardziej odległa... Spekulacje są stratą czasu. Musi poczekać na wyniki badań.

- Proszę zapiąć pasy i zabezpieczyć wszystkie nie przymocowane przedmioty- odezwał się nagle głośnik w kabinie. - Zbliżamy się do stoku o nachyleniu czterdziestu stopni.

Na horyzoncie pojawiły się dwa znaki ostrzegawcze mrugające światelkami. Laboratorium skierowało się w przestrzeń pomiędzy nimi. Floyd ledwo zdążył zapiąć pasy, gdy pojazd powoli przechylił się nad krawędzią rozpoczynającą bardzo stromy uskok. Zaczęli zjeżdżać długim, pokrytym gruzem stokiem o nachyleniu zbliżonym do pochyłego dachu domu. Ziemská poświata, padająca skośnie z tyłu, nie dawała wystarczającego oświetlenia, włączono więc reflektory pojazdu. Wiele lat temu Floyd stał na krawędzi Wezuwiusza, spoglądając w dół krateru. Teraz

mógł sobie łatwo wyobrazić, jak zjeżdża się w głąb wulkanu - i nie było to przyjemne wrażenie.

Posuwali się w dół jednym z wewnętrznych tarasów Tycho. Tysiąc stóp niżej grunt ponownie stawał się równy. Ciągłe jeszcze zjeżdżali ze stoku, gdy Michaels wyciągnął rękę, wskazując na olbrzymią równinę rozciągającą się przed nimi:

- Są tam! - wykrzyknął.

Floyd skinął głową. Zauważył już grupę czerwonych i zielonych świateł, oddalonych od pojazdu o kilka mil. Wpatrywał się w nie, gdy laboratorium z wolna zsuwało się po pochyłości. Wielkim pojazdem kierowano bezbłędnie, jednak Floyd odetchnął z ulgą, gdy znaleźli się na równej drodze.

Teraz dostrzegł zespół kopuł ciśnieniowych, świecących w ziemskiej poświacie niczym srebrne bańki. Kopuły stanowiły tymczasowy dom dla pracujących przy wykopaliskach ludzi. Obok nich stała wieża radiowa, a także instalacja wiertnicza. Kilka zaparkowanych pojazdów i duża przyzma odłamków skalnych wskazywały miejsce, gdzie znajdował się monolit. Niepozorny obóz pośród pustkowia wyglądał niezbyt okazale w porównaniu z otaczającymi go, milczącymi siłami natury. Nigdzie nie było widać oznak życia, żadnych śladów obecności ludzi, mieszkających tu w takim oddaleniu od swoich prawdziwych domów.

- Krater jest tam - powiedział Michaels - po prawej stronie, około stu jardów od anteny radiowej.

Jesteśmy na miejscu - pomyślał Floyd, gdy laboratorium przejechało obok kopuł ciśnieniowych i zatrzymało się nad krawędzią krateru. Czuł przyspieszony puls na wyciągniętej szyi. Pojazd zaczął wpełzać ostrożnie do wnętrza krateru po pochyłej rampie z twardo ubitej skały. Tam zaś - dokładnie tak jak na fotografii - stała AMT-1.

Floyd przyglądał się monumentowi, zmrużył powieki, potrząsnął głową i znów patrzył. W ziemskim świetle trudno było wyraźnie dostrzec obiekt. Wydawało mu się, że patrzy na płaski prostokąt wycięty z czarnej kalki. Płyta nie sprawiała wrażenia przedmiotu trójwymiarowego. Było to oczywiście złudzenie. Floyd miał przed sobą obiekt odbijający tak mało światła, że widać było wyłącznie jego zarysy.

Pasażerowie ucichli, gdy laboratorium zaczęło zjeżdżać w dół krateru. Zdumieni, z niedowierzaniem wpatrywali się w przedmiot, który tak niespodziewanie pojawił się na martwym Księżycu - właśnie tutaj, a przecież tyle jest innych światów.

Laboratorium zatrzymało się dwadzieścia stóp przed płytą, stając dłuższym bokiem w jej kierunku, tak aby wszyscy pasażerowie dokładnie ją widzieli. Jednak poza absolutnie perfekcyjnym, geometrycznym kształtem nie mogli dostrzec nic interesującego. Nigdzie nie było żadnych znaków, żadnych skaz na hebanowo czarnej powierzchni. Widzieli przed sobą esencję

nocy i przez kilka chwil Floyd zastanawiał się, czy rzeczywiście nie jest to jakiś niezwykle wytwór natury, powstały w ogniu i wysokim ciśnieniu towarzyszącym narodzinom Księżyca. Jednak nawet ta mało prawdopodobna ewentualność została już zbadana i odrzucona - o czym Floyd dobrze wiedział.

Na sygnał zapalono reflektory umieszczone na krawędzi krateru. Ziemską poświatę stłumił jaskrawy blask. W księżycowej próżni nie można było oczywiście dostrzec promieni świetlnych, które formowały nakładające się na siebie elipsy oślepiającej bieli, skoncentrowane na monolicie. Tam, gdzie dotykały jego powierzchni, hebanowa czerń zdawała się je połykać.

Puszka Pandory - pomyślał Floyd, tknięty nagłym przeczuciem - czekająca na otwarcie przez ciekawskiego Człowieka.

I co będzie w środku?

13. POWOLNY ŚWIAT

Główna kopuła ciśnieniowa przy wykopaliskach AMT-1 miała średnicę długości dwudziestu stóp i jej wnętrze było strasznie zatłoczone. Laboratorium, połączone z nią poprzez jedną z dwóch śluz powietrznych, dawało dodatkową, bardzo pożądaną przestrzeń życiową.

Wewnątrz półkolistego, zaopatrzonego w podwójne ściany balonu mieszkało, pracowało i spało sześciu naukowców i techników. W kopule znajdowała się także większość ekwipunku i instrumentów: wszystko, czego nie można było zostawić w próżni na zewnątrz, oraz kuchnia, łazienka i toaleta. Były tu również próbki geologiczne i niewielki ekran telewizyjny, dzięki któremu prowadzono ciągłą obserwację obiektu.

Floyd nie był zaskoczony, gdy Halvorsen zdecydował się pozostać w kopule. Wyjaśnił swój punkt widzenia z godną podziwu prostodusznością: - Traktuję skafandry próżniowe jak zło konieczne. Zakładam je cztery razy do roku podczas co kwartalnych testów sprawnościowych. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym siedzieć tutaj i oglądać was w telewizorze.

Halvorsen trochę przesadzał. Najnowsze modele skafandrów były o niebo wygodniejsze od krepujących ruchy zbroi noszonych przez pierwszych badaczy Księżyca. Można było je ubrać w ciągu niecałej minuty, nawet bez pomocy innych. Były także w pełni zautomatyzowane. Model Mk V, w którym szczelnie zamykał się Floyd, chronił przed najgorszymi niespodziankami, jakie miał do zaoferowania Księżyc, zarówno w nocy, jak i w dzień.

Floyd w towarzystwie doktora Michaela wszedł do małej śluzy powietrznej. Gdy ucichł łoskot pomp, a skafandry zeszywniały niemal niewyczuwalnie wokół ich ciał, znaleźli się w milczącej księżycowej próżni.

Ciszę przerwał powitalny dźwięk słuchawek radiowych.

- Ciśnienie w porządku, doktorze Floyd? Oddycha pan normalnie?

- Tak, czuję się świetnie.

Michael dokładnie sprawdził pokręta i mierniki znajdujące się na zewnątrz skafandra Floyda i powiedział:

- W porządku. Chodźmy.

Otworzyły się zewnętrzne drzwi i przed nimi wyrósł zapyłony krajobraz Księżyca oświetlony ziemską poświatą.

Ostrożnie, kołysząc się lekko, Floyd wyszedł za Michaelsem ze śluzy. Chodzenie nie sprawiało mu żadnych trudności. Paradoksalnie, w skafandrze czuł się o wiele bezpieczniej niż przez cały czas od momentu wylądowania na Księżycu. Dodatkowa waga i delikatny opór stawiany

przez ubiór stwarzały wrażenie normalnego, ziemskiego ciężenia.

Sceneria nieco się zmieniła, choć od momentu, gdy tu przybyli nie minęła jeszcze godzina. Gwiazdy i fragment Ziemi świeciły tak jasno jak poprzednio, jednak czternastodniowa księżycowa noc miała się ku końcowi. Blask korony słonecznej po wschodniej stronie nieba przypominał wschód księżyca na Ziemi. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, wierzchołek masztu radiowego znajdujący się o sto stóp powyżej Floyda wybuchł ogniem. Padły na niego pierwsze promienie wschodzącego słońca.

Czekali na wyjście ze służby inspektora projektu i jego dwóch asystentów. Potem wolno skierowali się do krateru. Gdy doszli do jego krawędzi, cienki luk trudnej do zniesienia światłości wznosił się nad wschodnim horyzontem. Wzejście ponad powierzchnię wolno obracającego się Księżyca zajmie słońcu jeszcze godzinę, jednak już teraz na niebie zaczęły gasnąć gwiazdy.

Krater pogrążony był w mroku. Wnętrze oświetlały jak poprzednio jedynie reflektory umieszczone wzdłuż jego krawędzi. Schodząc powoli rampą w kierunku czarnego prostokąta, Floyd poczuł nie tylko podziw, ale i własną bezradność. Oto niemal w portalu Ziemi, człowiek stanął twarzą w twarz z tajemnicą, która być może nigdy nie znajdzie wyjaśnienia. Trzy miliony lat temu ktoś przeleciał tędy, zostawiając po sobie ten nieznaną i prawdopodobnie nie dający się zrozumieć symbol własnych dążeń, i powrócił ku planetom czy gwiazdom.

Radio, znajdujące się w skafandrze, wyrwało Floyda z zamyślenia.

- Mówi inspektor projektu. Jeśli staniemy wszyscy z jednej strony płyty, będzie można zrobić kilka zdjęć. Doktorze Floyd, proszę stanąć w środku. Doktorze Michaels. . . Dziękuję. . .

Nikt oprócz Floyda nie widział w tym nic śmiesznego. Mówiąc szczerze, on także był zadowolony, że ktoś wziął ze sobą aparat. Zrobiono zdjęcia, które bez wątpienia przejdą do historii i Floyd sam chciał mieć kilka odbitek. Miał nadzieję, że jego twarz była dobrze widoczna przez szybę ochronną hełmu.

- Dziękuję panom - powiedział fotograf do nie całkiem świadomie pozującej na tle monolitu grupy.

Zrobił około tuzina zdjęć.

- Poprosimy sekcję fotograficzną Bazy, aby przysłała panom odbitki.

Floyd skierował całą uwagę na płytę. Obszedł ją dookoła, oglądając powoli ze wszystkich stron. Starał się zapamiętać każdy najdrobniejszy szczegół. Nie oczekiwał, że cokolwiek odkryje. Widział, że każdy cal płyty przebadano z mikroskopową dokładnością.

Leniwe słońce wzniosło się nad krawędzią krateru. Jego promienie padały niemal prostopadle na wschodnią płaszczyznę płyty, która ze swej strony pochłaniała każdą, nawet najmniejszą wiązkę światła.

Floyd postanowił przeprowadzić prosty eksperyment. Stał pomiędzy monolitem a słońcem, usiłując rzucić cień na gładką czarną powierzchnię. Jednak nigdzie nie spostrzegł śladu cienia. Na płytę padało przynajmniej dziesięć kilometrów czystej energii cieplnej - cokolwiek było w środku, musiało teraz wrzeć.

Dziwne - pomyślał Floyd - stoję tutaj, gdy ta płyta ogląda światło słoneczne po raz pierwszy od epoki lodowcowej. Ponownie zaczął rozważać jej kolor, który oczywiście idealnie nadawał się do pochłaniania energii słonecznej. Jednak odrzucił tę myśl - jedynie szalenciec mógłby zakopać urządzenie napędzane energią z tego źródła dwadzieścia stóp pod ziemią.

Spojrzał na swoją macierzystą planetę znikającą na porannym niebie. Tylko kilku z sześciu miliardów zamieszkujących Ziemię wiedziało o tym odkryciu. Jak zareaguje świat, kiedy wiadomość zostanie w końcu rozpowszechniona?

Implikacje społeczne i polityczne były trudne do ogarnięcia. Każdy inteligentny człowiek, każdy, kto widzi odrobinę dalej niż koniec własnego nosa, stwierdzi, że jego życie, system wartości, cała filozofia uległy subtelnej zmianie. Nawet gdyby nie dowiedziano się już niczego więcej na temat AMT-1 i zagadka związana z anomalią miałyby pozostać wieczną tajemnicą, człowiek musiałby rozumieć, że nie jest wyjątkiem we wszechświecie. I chociaż rozminął się z przybyszami o miliony lat, ci, którzy tu niegdyś byli, mogą powrócić. A jeśli nie oni, być może przybędą tu inni. Wszystkie rozważania dotyczące przyszłości muszą zawierać teraz taką ewentualność.

Floyd ciągle zajęty był własnymi myślami, gdy w słuchawkach jego hełmu rozległ się przeraźliwy elektroniczny gwizd, jak potwornie zniekształcony i zwielokrotniony sygnał czasu. Automatycznie spróbował zasłonić uszy dłońmi ubranymi w rękawice skafandra. Potem oprzytomniał i po omacku sięgnął do gałki natężenia głosu własnego odbiornika. Gdy kręcił gałką, cztery dalsze gwiazdy wybuchły w eterze. Potem nastąpiła błogosławiona cisza.

Wokół krateru ludzie stali jak oniemiały. Mój odbiornik działa prawidłowo - powiedział do siebie Floyd. Wszyscy usłyszeli ten przerażający elektroniczny krzyk.

Po trzech milionach lat ciemności AMT-1 powitała księżycowy świt.

14. SŁUCHACZE

Setki milionów mil za Marsem, w zimnej próżni, której nie przemierzył jeszcze żaden człowiek, Dalekosiężny Monitor Kosmiczny 79 wędrował powoli pośród splątanych orbit asteroid. Przez trzy lata bezbłędnie wypełniał swoją misję, składając tym samym hołd amerykańskim naukowcom, którzy go zaprojektowali, brytyjskim inżynierom, którzy go zbudowali, i rosyjskim technikom, którzy go wystrzelili. Delikatna pajęczyna anten odbierała fale radiowe przemieszczające się w kosmosie - bezustanne trzaski i szумы tego, co Pascal nazwał w swojej naiwności "ciszą nieskończonego wszechświata". Detektory promieniowania wyławiały i analizowały promieniowanie kosmiczne całej galaktyki i niektórych punktów poza nią. Teleskopy neutronowe i rentgenowskie obserwowały dalekie gwiazdy, których nigdy nie zobaczy ludzkie oko. Magnetometry notowały porywy i huragany wiatrów słonecznych, wzniesionych z szybkością miliona mil na godzinę przez wybuchy rozrzedzonej plazmy, która płynęła bezustannie w kierunku planet Układu. Wszystkie te czynności, a także wiele innych Dalekosiężny Monitor Kosmiczny 79 zapisywał cierpliwie w swojej krystalicznej pamięci.

Jedna z jego anten, cud współczesnej elektroniki, skierowana była ciągle na pewien punkt w niewielkiej odległości od Słońca. Co kilka miesięcy odległy cel pojawiał się w zasięgu instrumentów monitora niby jasna gwiazda, której towarzyszył ciemniejszy partner. Jednak przez większą część roku parę tę przesłaniał słoneczny blask.

Ku tej odległej planecie, Ziemi, monitor wysyłał co dwadzieścia cztery godziny zebrane dzięki swej wytrwałej pracy informacje. Przekaz był zgrabnie zapakowanym pięciominutowym impulsem. W kwadrans później, podróżując z szybkością światła, impuls docierał na Ziemię. Specjalnie przeznaczone do tego celu maszyny oczekiwały na wiadomość, wzmacniały i nagrywały sygnał, po czym dołączały go do tysięcy mil taśmy magnetycznej, przechowywanych w podziemiach Światowego centrum Kosmicznego w Waszyngtonie, Moskwie i Canberze.

Od wystrzelenia na orbitę pierwszych satelitów - prawie pięćdziesiąt lat temu - z kosmosu na Ziemię napływały tryliony i kwadryliony impulsów informacyjnych. Przechowywano je z zamiarem wzbogacania ludzkiej wiedzy. Jedynie niewielki ułamek całego zgromadzonego materiału miał być kiedykolwiek wykorzystany. Nie można było jednak przewidzieć, jakich informacji mogą potrzebować naukowcy za dziesięć, pięćdziesiąt czy sto lat. Magazynowano więc wszystko w nie kończących się korytarzach klimatyzowanych składów trzech ośrodków badawczych, w potrójnym zapisie - co miało na celu wykluczenie możliwości przypadkowego zatarcia. Informacje te były częścią rzeczywistego skarbu ludzkości, cenniejszego niż złoto

bezużytecznie zamknięte w bankowych sejfach.

Dalekosiężny Monitor Kosmiczny 79 zaobserwował teraz coś. dziwnego - słabą, lecz łatwą do wykrycia anomalię przemieszczającą się przez Układ Słoneczny, niepodobną do żadnego naturalnego fenomenu, z którym stykał się w przeszłości. Zanotował automatycznie kierunek, czas i natężenie. Za kilka godzin przekaze tę informację na Ziemię.

Podobnie postąpi również Orbiter M15, okrążający Marsa dwukrotnie w ciągu doby, Sonda Wysokich Odchyleń 21, wspinająca się powoli ponad płaszczyznę ekliptyki, a nawet Sztuczna Kometa 5, zmierzająca ku zimnym otchłaniom poza Plutonem po orbicie, której najbardziej odległy punkt osiągnie za tysiące lat. Wszystkie sztuczne satelity zanotowały dziwny wybuch energii przechwycony przez ich instrumenty. Wszystkie, w odpowiednim czasie, przekazały automatycznie informacje do banku pamięci na odległej Ziemi. Komputery mogły przeoczyć związek pomiędzy czterema zestawami niecodziennych sygnałów nadchodzących z sond kosmicznych znajdujących się na niezależnych orbitach, odległych od siebie o tysiące lat świetlnych. Jednak Prognostyk Promieniowania w Goddard, gdy tylko spojrział na poranny raport, domyślił się, że coś niezwyklego przemieściło się przez Układ Słoneczny w ciągu ostatniej doby.

Odebrał jedynie fragment drogi impulsu, jednak gdy komputer wyświetlił ją na Planetarnej Tablicy Sytuacyjnej, szlak sygnału stał się przejrzysty i trudny do przeoczenia jak smuga pary na bezchmurnym niebie czy pojedynczy ślad stóp na pokrytym świeżym śniegiem polu.

Jakiś niematerialny wzorzec energii, wyrzucający bryzgi promieniowania jak fale spod motorówki, oderwał się od Księżyca i poszybował w kierunku gwiazd.

CZEŚĆ TRZECIA

POMIĘDZY PLANETAMI

15. “ODKRYWCA”

Statek był oddalony dopiero o trzydzieści dni od Ziemi, mimo to David Bowman nie wyobrażał już sobie innego sposobu życia niż ten, który prowadził w małym, zamkniętym świecie “Odkrywcy”. Lata przygotowań, wszystkie wcześniejsze loty na Księżyc i Marsa zdawały się należeć do innego człowieka, innego życia.

Frank Poole przyznawał się do podobnych odczuć i czasami w żartach wyrażał żal, że najbliższy psychiatra znajduje się w odległości prawie stu milionów mil. Wrażenie izolacji i wyobcowania dawało się łatwo wytłumaczyć i z pewnością nie wskazywało na umysłowe zaburzenia. W całej pięćdziesięcioletniej historii podboju kosmosu nie było misji takiej jak ta.

Rozpoczęła się ona pięć lat temu jako Projekt Jowisz - pierwszy załogowy lot ku największej z planet. Statek był już niemal gotowy do dwuletniej podróży, gdy niespodziewanie zmieniono program misji.

“Odkrywca” poleci ku Jowiszowi, ale nie zatrzyma się na nim. Nie zmniejszy nawet szybkości przechodząc przez skomplikowany system satelitów tej planety. Wykorzysta pole grawitacyjne olbrzymiego globu jako odskocznnię, która wyrzuci go dalej od Słońca. Jak kometa prześliznie się przez zewnętrzne granice układu słonecznego obok zasadniczego celu wyprawy: okolonego pierścienia Saturna, I nigdy nie powróci.

Dla “Odkrywcy” będzie to podróż w jedną stronę, jednak jego załoga nie zamierzała popełnić samobójstwa. Jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z planem, znajdą się z powrotem na Ziemi za siedem lat - z tego pięć minie im niczym mgnienie oka w hibernacyjnym śnie, w którym będą oczekiwać na przybycie pomocy z Ziemi w postaci jeszcze nie zbudowanego “Odkrywcy II”.

Słowa “pomoc” starannie unikano we wszystkich wypowiedziach i dokumentach Agencji Astronautycznej, ponieważ wskazywało na jakiś błąd w planowaniu. W powszechnie aprobowanym żargonie “pomoc” została zastąpiona “przechwyceniem”. Jeśli coś się naprawdę nie uda, nie będzie szans na żadną pomoc w odległości miliarda mil od Ziemi.

Misja stwarzała pewne, wkalkulowane zresztą, ryzyko, jak wszystkie podróże w nieznanie. Jednak pół wieku badań udowodniło, że sztucznie wywoływana hibernacja ludzi była całkowicie bezpieczna. Otwierała zupełnie nowe możliwości podróży kosmicznych. Mimo to dopiero w tej misji miano ją w pełni wykorzystać.

Trzej członkowie załogi, stanowiący zespół badawczy, który będzie niezbędny wtedy, gdy statek znajdzie się na orbicie Saturna, prześlizną całą podróż. Oszczędzi się w ten sposób tony jedzenia i innych potrzebnych do życia środków. Co więcej, cały zespół będzie wypoczęty i

gotowy do pracy, nie zaznawszy trudów dziesięciomiesięcznej podróży.

“Odkrywca” zacumuje na orbicie parkingowej wokół Saturna, stając się nowym księżycem olbrzymiej planety. Będzie poruszał się po elipsie o obwodzie dwóch milionów mil, przebiegającej w pobliżu Saturna i przecinającej orbity wszystkich jego ważniejszych księżyców. Załoga przez sto dni przeprowadzi pomiary i badania globu o powierzchni osiemdziesiąt razy większej od Ziemi, otoczonego orszakiem przynajmniej piętnastu znanych satelitów, z których jeden jest tak duży jak Merkury.

Jest tam wystarczająco dużo cudów na wieki badań. Pierwsza eksedycja dokona jedynie wstępnego rekonesansu. Wszystko, co znajdzie, popłynie drogą radiową na Ziemię. Nawet gdyby załoga nigdy nie powróciła, jej odkrycia nie poszłyby na marne.

Po stu dniach “Odkrywca” zakończy badania. Członkowie ekspedycji zostaną zahibernowani. Pracę będą kontynuowały jedynie systemy podstawowe, kierowane przez niespożyty mózg elektronowy. Statek poleci po orbicie wytyczonej tak dokładnie, że nawet za sto lat ludzie będą wiedzieli, gdzie go szukać. Jednak zgodnie z obecnym planem za pięć lat przybędzie “Odkrywca II”. Gdyby nawet minęło sześć czy siedem lat, śpiący pasażerowie nigdy nie zdadzą sobie z tego sprawy. Dla całej załogi czas zatrzyma się, tak jak zatrzymał się już teraz dla Whiteheada, Kamińskiego i Huntera.

Zdarzało się, że Bowman jako pierwszy kapitan “Odkrywcy” zazdrościł swoim trzem nieświadomym kolegom, zamrożonym w spokojnym śnie w hibernaculum. Nie musieli się nudzić, nie spoczywała na nich także żadna odpowiedzialność. Aż do Saturna nie istniał dla nich świat zewnętrzny.

Lecz świat zewnętrzny obserwował ich na ekranach biosensorów. Pomiedzy mnogością przyrządów Pulpitu Sterowniczego, umieszczono pięć niepozornych tablic z nazwiskami Huntera, Whiteheada, Kamińskiego, Poole'a i Bowmana. Ostatnie dwie tablice nie były oświetlone. Ich czas nadejdzie dopiero za rok. Pozostałe jarzyły się konstelacjami zielonych światełek oznaczających, że wszystko jest w porządku. Na każdej tablicy znajdował się mały ekran, po którym z wolna przebiegały świecące linie śledzące rytmy pulsu, oddechu i aktywności mózgu.

Czasami Bowman, doskonale zdając sobie sprawę z braku jakiegokolwiek zagrożenia - w przypadku zagrożenia natychmiast odezwałyby się sygnały alarmowe - przełączał sensory na odbiór dźwiękowy. Jak zahipnotyzowany wsłuchiwał się w nieskończenie powolne uderzenia serc śpiących towarzyszy, wpatrując się jednocześnie w leniwe fale przebiegające synchronicznie przez ekran.

Najbardziej fascynowały go ekrany EEG - elektroniczne zapisy trzech osobowości, które kiedyś istniały i ponownie powstaną do życia w przyszłości. Zapis był niemal płaski, pozbawiony

elektrycznych eksplozji oznaczających aktywność czuwającego mózgu czy nawet mózgu w stanie uśpienia. Jeśli gdzieś tam tliła się świadomość, pozostawała ona poza zasięgiem instrumentów, a tym bardziej pamięci.

Ten ostatni fakt Bowman znał z własnego doświadczenia. Zanim wybrano go do tej misji, musiano sprawdzić jego reakcje na stan hibernacji. Nie był pewny, czy stracił tydzień z życia czy być może odsunął od siebie nieuniknioną śmierć o ten właśnie tydzień.

Kiedy przymocowano do jego czoła elektrody i zaczął pulsować generator snu, zobaczył przed sobą kalejdoskopowe wzory i przesuwające się gwiazdy. Potem wszystko znikło i ogarnęła go ciemność. Nie czuł zastrzyku ani pierwszych dotknięć chłodu, gdy obniżano temperaturę jego ciała do kilku stopni powyżej punktu zamarzania.

Obudził się i wydawało mu się, że dopiero co zamknął oczy. Widział jednak, że to złudzenie. By! dziwnie przekonany, że upłynęły lata.

Czy to już koniec misji? Czy dolecieli już do Saturna, przeprowadzili badania i poddali się hibernacji? Czy "Odkrywca II" czekał już, by zabrać ich na Ziemię?

Leżał w sennym oszołomieniu, niezdolny do rozróżnienia pomiędzy prawdziwymi i fałszywymi wspomnieniami. Otworzył oczy, lecz zobaczył jedynie rozmazane konstelacje światła, nad którymi łamał sobie głowę przez kilka minut. Potem zrozumiał, że patrzy na wskaźniki świetlne umieszczone na Tablicy Sytuacyjnej Statku. Nie mógł jednak skupić się na nich i wkrótce zaprzestał wszelkich prób.

Owiewało go ciepłe powietrze, zniknął chłód w jego członkach. Z głośnika znajdującego się nad głową płynęła cicha, lecz pobudzająca muzyka, która z każdą chwilą stawała się głośniejsza.

Nagle odezwał się zrelaksowany, przyjacielski głos, który - o czym wiedział Dave - należał do komputera.

- Znowu zaczynasz działać, Bowman. Nie pod noś się, ani nie próbuj wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. I nic nie mów.

Nie podnoś się! - pomyślał. Zabawne. Wątpił, czy mógłby poruszyć palcem. Ku własnemu zaskoczeniu stwierdził, że może.

Czuł się nieźle, ale trochę oszołomiony i niemrawy. Niejasno zdawał sobie sprawę, że przybył statek ratowniczy, że włączyła się automatyczna sekwencja wybudzania i że wkrótce zobaczy innych ludzi. Wszystko było w porządku, ale specjalnie go to nie obchodziło.

Poczuł głód. Komputer oczywiście to przewidział.

- Przy twojej prawej ręce znajduje się przycisk, Dave. Jeśli jesteś głodny, naciśnij go.

Bowman zmusił palce do poszukiwań i odkrył gruszkowaty kształt. Całkiem o nim

zapomniał, chociaż musiał wiedzieć, że jest gdzieś tutaj. Co jeszcze zapomniał? Czy hibernacja niszczyła pamięć?

Nacisnął guzik i czekał. Kilka minut później z posłania, na którym spoczywał, wysunęło się metalowe ramię i do jego ust zbliżył się plastikowy sutek. Z przyjemnością zaczął ssać, czując jak ciepły, słodki płyn spływający do gardła przywraca mu siły.

Ramię cofnęło się i Bowman zaczął odpoczywać. Mógł teraz poruszać ramionami i nogami. Chodzenie nie wydawało mu się obecnie takim nieprawdopodobieństwem.

Mimo że jego siły szybko regenerowały się, stwierdził, że mógłby pozostać tutaj na zawsze. Zaczęły jednak docierać do niego kolejne bodźce z zewnątrz. Przemówił kolejny głos - tym razem ludzki, w przeciwieństwie do poprzedniej konstrukcji elektronicznych impulsów zebranych przez doskonalszą niż ludzka pamięć. Głos był znajomy, minęło jednak sporo czasu, nim go rozpoznał.

- Cześć, Dave. Dochodzisz do siebie. Możesz już mówić. Wiesz, gdzie jesteś?

Trochę się tym zmartwił. Czyżby rzeczywiście orbitował już wokół Saturna? Co działo się przez te wszystkie miesiące od opuszczenia Ziemi? Zaczął zastanawiać się, czy cierpi na amnezję. Paradoksalnie, myśl ta uspokoiła go nieco. Jeśli pamięta słowo "amnezja", jego mózg musi działać całkiem normalnie. . .

Ciągle nie wiedział jednak, gdzie się znajduje. Osoba po drugiej stronie całkowicie rozumiała jego sytuację.

- Nie martw się, Dave. Mówi Frank Poole . Śledzę twój oddech i serce, wszystko jest w największym porządku. Odpoczywaj. Nie przejmuj się niczym. Teraz otworzymy drzwi i wyciągniemy cię.

Pomieszczenie zalało delikatne światło. Na tle poszerzającego się wejścia zobaczył ruszające się kształty. W tym momencie powróciła pamięć i przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Wrócił bezpiecznie z najbardziej odległych granic snu, bliskich wieczności. Nie było go przez tydzień. Kiedy opuści Hibernaculum, nie zobaczy zimnego nieba Saturna. To ma nastąpić dopiero za rok i po miliardzie mil podróży. Teraz znajdował się w bloku treningowym w Centrum Lotów Kosmicznych w Houston pod gorącym słońcem Texasu.

16. HAL

Teraz nie było już widać Teksasu i trudno było dostrzec nawet Stany Zjednoczone. Dawno wyłączyły się niskociągowe silniki plazmowe. "Odkrywca" skierował swój smukły, przypominający strzałę korpus w kierunku przeciwnym do Ziemi. Wszystkie automatyczne przyrządy optyczne zorientowane były na planety zewnętrzne - cel wyprawy.

Jeden z teleskopów był jednak ciągle wymierzony w Ziemię. Umieszczono go niczym armatni dalmierz na krawędzi anteny dalekiego zasięgu i kilkakrotnie sprawdzano, czy wielki, paraboliczny dysk trwale wskazuje swój odległy cel. Gdy Ziemia znajdowała się na przecięciu kresek siatki celownika, żywotny węzeł komunikacyjny działał bez zarzutu. Informacje przesyłano wzdłuż niewidocznego promienia, który z każdym mijającym dniem wydłużał się o więcej niż dwa miliony mil.

Przynajmniej raz w ciągu każdej pełnionej przez siebie służby Bowman spoglądał w kierunku domu poprzez połączony z anteną teleskop. Ziemia zbliżyła się znacznie do Słońca. Jej ciemna półkula skierowana była na "Odkrywcę". Na centralnym ekranie planeta wyglądała jak oślepiający, srebrny rogal, przypominający Wenus.

Na tym ciągle kurczącym się łuku światła rzadko można było wyróżnić jakieś cechy geograficzne. Przesłaniały je chmury i mgły. Lecz nawet ta mroczna część dysku fascynowała Bowmana. Pokrywały ją świecące miasta, płonące stałym blaskiem, czasami zaś, gdy zasnuwały je drgania atmosferyczne, mrugające niczym świętojańskie robaczki.

Zdarzały się także okresy, gdy poruszający się po swojej orbicie Księżyc oświetlał jak olbrzymia latarnia ciemne oceany i kontynenty Ziemi. Wtedy, w nagłym przeblysku rozpoznania, Bowman wypatrywał znajomych wybrzeży, błyskających w spektralnym świetle satelity. Czasem zaś, gdy Pacyfik nie był wzburzony, można było dostrzec księżycową poświatę na powierzchni oceanu. Bowman przypominał sobie wtedy noce spędzone pod palmami tropikalnych lagun.

Nie żałował jednak straconych krajobrazów. Nacieszył się nimi w swoim trzydziestopięcioletnim życiu. I był zdecydowany cieszyć się nimi ponownie, gdy powróci na Ziemię bogaty i sławny. Oddalenie tylko wyostrzy jego apetyt.

Szósty członek załogi nie przejmował się straconymi krajobrazami, ponieważ nie był człowiekiem. Był to komputer najnowszej generacji, HAL 9000 - mózg i system nerwowy statku.

Hal (heurystycznie zaprogramowany komputer ALgorytmiczny - ani mniej, ani więcej) był arcydziełem trzeciego przełomu komputerowego. Przełomy owe pojawiały się co dwadzieścia lat i obecnie wielu ludzi martwiła świadomość, że zbliżał się następny.

Pierwszy przełom miał miejsce w latach czterdziestych XX wieku, kiedy to dawno zapomniana lampa próżniowa sprawiła, że narodził się ten niezdarny, lecz szybki kretyn ENIAC i jego następcy. Potem w latach sześćdziesiątych udoskonalono mikroelektronikę ciała stałego. Z jej nadejściem stało się jasne, że sztuczna inteligencja, zbliżona możliwościami do ludzkiej, nie musi być większa od biurka - pod warunkiem, że będzie wiadomo, jak ją skonstruować.

Prawdopodobnie jednak nikt nigdy nie będzie tego wiedział. Nie miało to już znaczenia. W latach osiemdziesiątych Minsky i Good pokazali jak można automatycznie generować układ neuronów w procesie samopowtórzeń związanych z dowolnym, arbitralnym programem uczenia się. Sztuczne inteligencje mogły powstawać w procesie uderzająco podobnym do rozwoju ludzkiego mózgu. W każdym konkretnym przypadku szczegóły narodzin takiej inteligencji pozostawały nieznane, były bowiem miliony razy zbyt skomplikowane dla ludzkiego pojmowania.

Bez względu na sposób powstawania rezultatem procesu Minsky'ego/Gooda była sztuczna inteligencja, która mogła reprodukowac - niektórzy filozofowie woleli używać słowa "naśladować" większość czynności ludzkiego mózgu, jednak ze znacznie większą szybkością i pewnością. Produkcja seryjna okazała się niezwykle droga, dlatego powstało jedynie kilka egzemplarzy z rodziny HAL 9000. Mimo to stary żart, że zawsze łatwiej będzie wytwarzać mózgi organiczne przy wykorzystaniu niewykwalifikowanej siły roboczej, przestawał mieć pokrycie w rzeczywistości.

Hal został przygotowany do pracy podczas misji tak starannie, jak jego ludzcy towarzysze - cały proces przebiegał jednak znacznie szybciej, ponieważ pominiawszy nawet jego wrodzone zdolności, Hal nigdy nie spał. Jego głównym zadaniem była ciągła kontrola systemów podtrzymywania życia, w tym: ciśnienia tlenu, temperatury, ewentualnych nieszczelności kadłuba, promieniowania i wszystkich innych powiązanych ze sobą czynników, od których zależało istnienie delikatnego, ludzkiego ładunku statku.

Hal mógł też przeprowadzać zawile korekty lotu i wykonywać niezbędne manewry statkiem, gdy należało zmienić kurs. Strzegł również zahibernowanych astronautów, dokonując wszystkich koniecznych poprawek w ich środowisku i wydzielając z mikroskopową dokładnością płyny organiczne, utrzymujące ludzi przy życiu.

Pierwsza generacja komputerów była programowana przy pomocy powszechnie chwalonej klawiatury maszyny do pisania, odpowiadała zaś poprzez drukarki szybkościowe i ekrany monitorów. Gdyby zaszła taka potrzeba, z Halem można było porozumiewać się w tradycyjny sposób, głównie jednak komunikowano się z nim przy pomocy słowa mówionego. Poole i Bowman rozmawiali z komputerem jak z człowiekiem. Hal używał poprawnej, idiomatycznej angielszczyzny, której nauczył się podczas szybko mijających tygodni swojego elektronicznego dzieciństwa.

Czy Hal rzeczywiście myślał? Kwestia ta została rozwiązana przez brytyjskiego matematyka Alana Turinga jeszcze w latach czterdziestych. Turing wykazał, że jeśli możliwa jest długa rozmowa z maszyną - bez względu na to, czy odbywa się ją przy pomocy klawiatury, czy mikrofonu - w której nie można stwierdzić różnicy pomiędzy kwestiami komputera a tymi, jakie mógłby wypowiadać człowiek, to maszyna odbywająca rozmowę musi myśleć, zgodnie z każdą rozsądną definicją tego słowa. Hal z łatwością zaliczał test Turinga.

Mogło się zdarzyć, że Hal zostanie zmuszony do objęcia dowództwa statku. W przypadku zagrożenia, gdy nikt nie odpowie na jego sygnały, Hal spróbuje obudzić śpiących członków załogi poprzez stymulację chemiczno-elektryczną. Jeśli i wtedy nie odpowiedzą na wezwanie, Hal porozumie się z Ziemią w oczekiwaniu na dalsze polecenia. Z kolei, gdy z Ziemi nie nadejdzie żadna odpowiedź, podejmie kroki, które uzna za stosowne, aby zabezpieczyć statek i kontynuować misję, której prawdziwy cel znał tylko on jeden. Pod tym względem wiedział więcej niż ludzie, z którymi podróżował. Poole i Bowman często w żartach nazywali siebie strażnikami lub portierami na statku, który rządził się sam. Byliby zaskoczeni i więcej niż oburzeni, gdyby wiedzieli, jak bardzo prawdziwy jest ten żart.

17. ROZKŁAD LOTU

Codziennie czynności na statku zaplanowano bardzo szczegółowo. Bowman i Poole wiedzieli - przynajmniej teoretycznie - co będą robili każdego dnia lotu. Pracowali w trybie dwunastogodzinnym, zmieniając się obowiązkami i nigdy nie śpiąc w tym samym czasie. Osoba pełniąca służbę pozostawała przy Pulpicie Sterowniczym, podczas gdy zmiennik doglądał utrzymania statku, dokonywał niezbędnych napraw lub odpoczywał w swojej kabinie.

Chociaż w tej fazie misji nominalnym kapitanem statku był Bowman, trudno było dostrzec różnicę pomiędzy zadaniami wykonywanymi przez niego i Poole'a. Obaj zamieniali się rolami, rangami i odpowiedzialnością co dwanaście godzin. W ten sposób utrzymywali się w najwyższej formie, minimalizowali szansę powstania napięć i przyczyniali się do osiągnięcia tak pożądanej stuprocentowej redundancji.

Dzień Bowmana rozpoczynał się o szóstej czasu pokładowego - Uniwersalnego Czasu Efemerycznego wszystkich astronautów. Gdyby zaspał, Hal dysponował urozmaiconym zestawem dzwonek i brzęczyków, które przypominałyby mu o czekających go obowiązkach. Do tej pory jednak Hal nie miał okazji zaprezentowania swoich elektronicznych budzików. Kiedyś Poole, chcąc sprawdzić kolegę, wyłączył zaprogramowane budzenie: Bowman wstał jak automat o właściwym czasie.

Pierwszą oficjalną czynnością kapitana było przesunięcie Głównego Czasomierza Hibernacji o dwanaście godzin. Gdyby nie dokonał tej operacji dwa razy z rzędu, Hal wysnułby wniosek, że on i Poole są niezdolni do normalnego funkcjonowania i podjąłby niezbędne kroki zaradcze.

Następnie Bowman zajmował się własną toaletą, po której wykonywał ćwiczenia izometryczne. Potem siadał do śniadania i porannego wydania radio-faxowego "The World Times". Na Ziemi nigdy nie czytał gazet tak dokładnie, jak robił to teraz. Jego uwagę przyciągały nawet najdrobniejsze plotki towarzyskie, czy najbardziej ulotne przepowiednie polityczne pojawiające się na ekranie telegazety.

O siódmej regulaminowo zastępował Poole'a przy Pulpicie Sterowniczym, przynosząc mu przy okazji tubkę kawy z kuchni.

W większości przypadków raport składany przez Poole'a zawierał stwierdzenie, że wszystko funkcjonuje normalnie i nie trzeba wykonywać nie przewidzianych programem czynności. Bowman zasiadał do odczytywania zapisów instrumentów, przeprowadzał też serię testów wykrywających ewentualne uszkodzenia. Kończył o dziesiątej i zabierał się do nauki.

Bowman był studentem przez więcej niż połowę swojego życia i miał nim pozostać aż do przejścia w stan spoczynku. Dzięki dwudziestowiecznej rewolucji w technikach edukacyjnych i informacyjnych już w tej chwili posiadał wiedzę odpowiadającą dwóm lub trzem fakultetom, co więcej, pamiętał dziewięćdziesiąt procent tego, czego się nauczył.

Pięćdziesiąt lat wcześniej uważano by go za specjalistę w astronomii stosowanej, cybernetyce i nauce o kosmicznych systemach napędowych - sam jednak zaprzeczał temu z prawdziwym oburzeniem. Nie traktował siebie jako specjalisty w żadnej dziedzinie. Bowman nigdy nie mógł skoncentrować swoich zainteresowań na jednej dyscyplinie naukowej. Pomimo poważnych ostrzeżeń nauczycieli zdecydował się pisać pracę magisterską z astronautyki ogólnej. Jak powszechnie sądzono, kurs astronautyki ogólnej - o niejasnym, mętym programie - przeznaczony był dla tych, których współczynnik inteligencji plasował się w dolnych granicach 130 i którzy nigdy nie mieli zajmować eksponowanych stanowisk w swym zawodzie.

Decyzja Bowmana okazała się jednak słuszna. Odmowa specjalizacji sprawiła, że posiadał wszystkie niezbędne kwalifikacje do wykonywania obecnej pracy. Podobnie zresztą jak Frank Poole, który niekiedy nazywał siebie obraźliwie "internistą biologii kosmicznej" i który był idealnym kandydatem na zastępcę dowódcy statku. Bowman i Poole - z niezbędną asystą zasobów informacyjnych Hala - powinni dać sobie radę z każdym problemem mogącym powstać podczas podróży, pod warunkiem, że będą utrzymywali własne umysły w stanie ciągłej gotowości i chłonności poprzez nieustanną naukę.

Tak więc pomiędzy dziesiątą a dwudziątą Bowman zajęty był dialogiem z elektronicznym mentorem, sprawdzającym jego wiedzę ogólną lub pomagającym mu przyswoić materiał niezbędny do prowadzenia misji. Kapitan studiował niestrudzenie plany statku, diagramy obwodów, profile trasy lub starał się zapamiętać wszystko, co było wiadome na temat Jowisza, Saturna i ich olbrzymich księżycowych rodzin.

W południe udawał się do kambuza, zostawiając statek Halowi. Przygotowywał sobie lunch. Jednak nawet tutaj sprawował pełną kontrolę nad wydarzeniami, ponieważ w niewielkiej jadalni znajdował się duplikat Tablicy Sytuacyjnej. Był także w ciągłym kontakcie z Halem. Poole, przed udaniem się na sześciogodzinny spoczynek, dołączał do Bowmana podczas posiłku. Jedząc, oglądali zazwyczaj jeden ze zwykłych programów telewizyjnych przesyłanych z Ziemi.

Ich jadłospis ustalono z nie mniejszą pieczołowitością niż inne elementy składowe misji. Jedzenie, w większości suszone i zamrażane, było znakomite, wybrano je także pod kątem łatwości przyrządzania. Po otwarciu paczki z jedzeniem umieszczało się ją w małej kuchence automatycznej, która oznajmiała sygnałem dźwiękowym przygotowanie potrawy. Bowman i Poole jedli rzeczy, które smakowały - i co więcej - wyglądały jak pomarańcze, jajka (w każdej postaci),

steki, kotlety, pieczenie, świeże warzywa, owoce, lody i nawet ciepły pieczony chleb.

Po lunchu, między trzynastą a szesnastą, Bowman niespiesznie dokonywał dokładnego obchodu statku - ściślej mówiąc jego dostępnej części. "Odkrywca" mierzył prawie czterysta stóp od końca do końca. Niewielki wszechświat zajmowany przez załogę mieścił się całkowicie wewnątrz czterdziestostopowej kuli kadłuba ciśnieniowego.

Tutaj znajdowały się wszystkie systemy podtrzymywania życia, a także Pulpit Sterowniczy, będący operacyjnym sercem statku. Poniżej mieścił się mały "garaż kosmiczny", zaopatrzony w trzy śluzy powietrzne, poprzez które mogli wypływać w próżnię - gdyby zaistniała potrzeba wykonywania prac poza statkiem - posiadające własny napęd kapsuły kosmiczne, przeznaczone dla jednego astronauty.

Równikowy rejon kuli ciśnieniowej - konkretnie zaś jej część od Zwrotnika Raka do Zwrotnika Koziorożca - zawierał wolnoobrotowy bęben o średnicy trzydziestu pięciu stóp. Bęben wirował z szybkością jednego obrotu na dziesięć sekund. Jego rotacja wywoływała ciężenie równe księżycowemu. Było to wystarczająco dużo, aby przeciwdziałać fizycznej atrofii u ludzi, którą powodował całkowity brak grawitacji. Sztuczne ciężenie pozwalało również na normalne wykonywanie wszystkich codziennych czynności.

W wirówce znajdowała się kuchnia, jadalnia i toaleta. Tylko tutaj przyrządzano i spożywano gorące napoje, które w stanie nieważkości stanowiły duże zagrożenie ze względu na możliwość oparzeń gorącymi kropelkami wody. Tutaj również członkowie załogi golili się: nieważkie szczątki zarostu mogły być bardzo niebezpieczne dla przyrządów elektrycznych i zdrowia ludzi.

Na krawędzi wirówki umieszczono pięć niewielkich kabin wyposażonych zgodnie z gustem każdego z astronautów i zawierających ich rzeczy osobiste.

Obecnie używano dwóch kabin. Przyszli właściciele pozostałych trzech spoczywali w elektronicznych sarkofagach tuż obok.

Wirówkę można było zatrzymać w razie potrzeby. Gdy bęben przestawał się obracać, jego prędkość kątową utrzymywało koło zamachowe pozwalające na ponowne włączenie urządzenia. Zazwyczaj jednak wirówka działała nieprzerwanie. Wchodziło się do niej wspinając się krok za krokiem wzdłuż osi znajdującej się w centralnym punkcie obracającego się bębna. Przy osi ciężenie wynosiło 0 g. Przesiadanie się do części będącej w ruchu po kilku próbach okazywało się niezwykle łatwe, niemal automatyczne, tak jak wchodzenie na ruchome schody.

Sferyczny kadłub ciśnieniowy był przednią częścią delikatnej, przypominającej strzałę struktury o długości ponad stu stóp. "Odkrywca", jak wszystkie statki przeznaczone do badań dalekich regionów kosmosu, był zbyt kruchy i nieopływowy, aby poruszać się w atmosferze czy

przeciwstawiać się polom grawitacyjnym planet. Zbudowano go na orbicie okołoziemskiej, sprawdzono w dziewiczym rejsie na Księżyc i tam dokonano także ostatnich poprawek.

“Odkrywca” był tworem kosmosu, o czym świadczył zresztą jego wygląd.

Zaraz za kadłubem ciśnieniowym zgrupowano zestaw czterech dużych zbiorników ciekłego wodoru. Za zbiornikami, tworząc długie, wysmukłe V, znajdowały się promieniście osadzone radiatory rozpraszające nadmiar ciepła wysyłanego przez reaktor jądrowy. Wyposażone w delikatne żyłki przewodów z płynem chłodniczym, przypominały skrzydła olbrzymiej ważki, co nadawało “Odkrywcy” uderzające podobieństwo do starych żaglowców.

Na samym końcu V, trzysta stóp od luku pasażerskiego, znajdowało się osłonięte tarczami ochronnymi piekło reaktora oraz zespół zogniskowanych elektrod, poprzez które wypływała w przestrzeń rozżarzona gwiazdna materia napędu plazmowego. Ta część statku zakończyła swoją pracę kilka tygodni temu, wypychając “Odkrywcę” z orbity parkingowej wokół Księżyca. Obecnie reaktor znajdował się w stanie spoczynku, dając jedynie energię elektryczną niezbędną do funkcjonowania statku. Radiatory, rozgrzewające się do czerwoności podczas przyspieszenia w maksymalnym ciągu, były teraz ciemne i chłodne.

Przeгляд tylnej części statku wymagał podróży w przestrzeń kosmiczną, “Odkrywcę” wyposażono jednak w czujniki i kamery telewizyjne, kontrolujące działanie reaktora i warunki tam panujące. Bowman był pewien, że znalazł już każdy cal radia-torów i osłon, każdy fragment opasujących je przewodów.

O szesnastej kończył inspekcję statku i przygotowywał dokładny raport słowny dla Centrum Sterowania Lotem. Trwało to aż do nadejścia potwierdzenia odbioru. Wyłączył wtedy własny nadajnik i słuchał tego, co miała do powiedzenia Ziemia. Następnie przesyłał odpowiedzi na wszystkie pytania. O osiemnastej budził się Poole i Bowman przekazywał mu komendę.

Pozostawało jeszcze sześć wolnych godzin, które mógł wykorzystać zgodnie z własnym życzeniem. Czasami kontynuował naukę, słuchał muzyki lub oglądał filmy. Często przeglądał niewyczerpane zasoby elektronicznej biblioteki statku. Zafascynowany był opisami wielkich odkryć przeszłości - co było całkowicie zrozumiałe zważywszy okoliczności. Podróżował z Pyteaszem poza Słupy Herkulesa, wzdłuż Europy wynurzającej się z epoki kamiennej, ocierając się niemal o mroźne mgły Arktyki. W dwa tysiące lat później podążał do Manili śladem galeonów Ansona, żeglował z Cookiem poprzez tajemniczą Wielką Rafę Koralową lub opływał świat z Magellanem. Zaczął czytać Odyseję, która przemawiała do niego najżywiej poprzez otchłań czasu.

Dla rozrywki rozgrywał z Halem partię szachów, warcabów lub polydomina. Hal gdyby chciał, mógłby oczywiście wygrać każdą grę. Nie wpłynęłoby to jednak najlepiej na morale załogi. Zaprogramowano go tak, aby wygrywał jedynie pięćdziesiąt procent rozgrywek. Bowman i Poole

udawali, że o tym nie wiedzą.

Ostatnie godziny swojego dnia Bowman poświęcał na robienie porządków i inne prace dorywcze, po czym o dwudziestej jadł obiad razem z Poolem. Podczas następnej godziny mógł odbywać osobiste rozmowy z Ziemią.

Jak wszyscy jego towarzysze Bowman nie był żonaty. Wysyłanie w podróż kosmiczną o tak długim okresie trwania ojców rodzin nie byłoby najlepszym pomysłem. I chociaż wiele pań obiecywało czekać do zakończenia ekspedycji, nikt naprawdę w to nie wierzył. Początkowo zarówno Poole, jak i Bowman odbywali raczej intymne rozmowy osobiste raz w tygodniu. Nie sprzyjała im jednak świadomość, że na Ziemi słucha ich wiele uszu. Teraz jednak - mimo że był to dopiero początek lotu - częstotliwość i natężenie emocjonalne rozmów z dziewczętami zaczęły się zmniejszać. Oczekiwali tego. Była to cena, jaką musieli płacić astronauty, podobnie jak kiedyś marynarze. Dawni marynarze mogli jednak szukać pocieszenia w obcych portach, niestety poza Ziemią trudno było znaleźć tropikalne wyspy pełne smagłych tancerek. Lekarze kosmiczni ze zwykłym entuzjazmem doszli do wniosku, że udało im się rozwiązać ten problem. Farmakopeja statku zawierała odpowiednie, choć niezbyt chwalebne substytuty.

Tuż przed udaniem się na spoczynek Bowman składał ostatni raport i sprawdzał, czy Hal przesłał na Ziemię odczyty instrumentów całego dnia. Następnie, jeśli miał ochotę, mógł czytać lub oglądać filmy. O północy szedł spać - zazwyczaj bez pomocy elektronarkozy.

Rozkład dnia Poole'a był lustrzanym odbiciem programu Bowmana. Obydwa rozkłady zajęć zapełniały się i uzupełniały bez zgrzytów. Obaj astronauty byli w pełni wykorzystani. Bowman i Poole byli zbyt inteligentni i zbyt dobrze przystosowani, aby się kłócić. Podróż -mijała im spokojnie, bez nieporozumień, odmierzana czasem wskazywanym przez zegary cyfrowe.

Największym pragnieniem załogi "Odkrywcy" było, aby nic nie zakłóciło monotonii nadchodzących tygodni i miesięcy.

18. POPRZEZ ASTEROIDY

Poruszając się tydzień po tygodniu niczym tramwaj po z góry wyznaczonych szynach orbit, "Odkrywca" minął Marsa i podążał ku Jowiszowi. W przeciwieństwie do wszystkich statków wędrujących po morzach i niebie Ziemi, "Odkrywca" nie potrzebował ludzkiej pomocy przy sterach. Jego kurs wytyczały prawa grawitacji. W przestrzeni kosmicznej nie istnieją nie oznaczone mielizny i niebezpieczne rafy, które należy omijać. W przypadku "Odkrywcy" nie istniało również niebezpieczeństwo zderzenia się z innym statkiem. Pomiędzy nim a nieskończenie odległymi gwiazdami nie mógł znajdować się inny pojazd - przynajmniej taki, który powstał na Ziemi.

Jednak przestrzeń, którą przemierzał "Odkrywca", nie była pusta. Przed statkiem otwierała się ziemia niczyja poprzecinana szlakami ponad miliona asteroid. Astronomom udało się do tej pory ustalić dokładnie orbity niecałych dziesięciu tysięcy tych ciał niebieskich. Tylko cztery z nich miały średnicę większą niż sto mil. Olbrzymia większość była po prostu wielkimi głazami toczącymi się bez celu w kosmosie.

Nie można było nic z nimi zrobić, mimo że uderzenie nawet najmniejszej z asteroid musiałyby okazać się fatalne dla statku podążającego z szybkością dziesiątek tysięcy mil na godzinę. Jednak prawdopodobieństwo takiego zderzenia było tak małe, że aż nieistotne. W przestrzeni występowała przeciętnie jedna asteroida na obszarze długości miliona mil. Przypuszczenie, że "Odkrywca" znajdzie się w tym samym punkcie, o tym samym czasie co jakiś kosmiczny głaz, było ostatnim zmartwieniem załogi.

W osiemdziesiątym szóstym dniu wyprawy mieli zbliżyć się na najmniejszą odległość do jednej ze znanych asteroid. Ciało to nie posiadało nazwy, jedynie numer - 7794. Była to skała o średnicy osiemdziesięciu jardów, odkryta przez Obserwatorium Księżycowe w roku 1997 i natychmiast zapomniana. Pamiętał o niej jedynie pedantyczny komputer Biura Planet Drugorzędnych.

Gdy Bowman objął służbę, Hal natychmiast przypomniał mu o zbliżającym się spotkaniu, co nie znaczyło, że kapitan zapomniiał o tym jedynym w swoim rodzaju wydarzeniu całej podróży. Na ekranie pojawiła się trasa asteroidy w stosunku do gwiazd, a także jej koordynator w momencie największego zbliżenia. Poniżej wymienione były czynności badawcze, które należało przedsięwziąć. Poole i Bowman będą bardzo zajęci, kiedy 7794 przemknie obok "Odkrywcy" w odległości dziewięciuset mil, z relatywną szybkością osiemdziesięciu tysięcy mil na godzinę.

Bowman poprosił Hala o wyświetlenie obrazu teleskopowego. Na ekranie pojawiło się szerokie pole gwiazdowe. W zasięgu jego wzroku nie znajdowało się nic, co przypominałoby

asteroidę. Wszystkie obiekty, nawet przy największym powiększeniu, były bezwymiarowymi punktami światła.

- Daj mi siatkę celownika - polecił Bowman. Na ekranie natychmiast pojawiły się cztery delikatne, wąskie linie, zamykające niczym nawias niewyraźną gwiazdę. Spoglądał na nią przez wiele minut, zastanawiając się czy przypadkiem Hal się nie pomylił. Nagle zauważył, że punkcik światła porusza się w ledwo widoczny sposób na tle gwiazd. Asteroida znajdowała się w odległości pół miliona mil, lecz jej ruch wskazywał, że dystans ten ciągle się zmniejsza.

Gdy w sześć godzin później Poole dołączył do Bowmana przy Pulpicie Sterowniczym, 7794 była setki razy jaśniejsza. Poruszała się z taką szybkością, że nie mogło być mowy o pomyłce. Nie była już świetlnym punktem, stanowiła dobrze widoczny dysk.

Przyglądali się mijanemu kamieniowi niebieskiemu z przejściem żeglarzy oceanicznych opływających wybrzeże, na którym nigdy nie wylądują. Zdawali sobie sprawę, że asteroida była tylko martwym, pozbawionym atmosfery kawałkiem skały - nie wpływało to jednak na ich wrażenia. Oto przed nimi znajdował się jedyny fragment stałej materii, jaki dane im było oglądać z tej strony Jowisza, do którego mieli jeszcze lecieć przez dwieście milionów mil.

Przez silne teleskopowe powiększenie widzieli nieregularną powierzchnię asteroidy obracającej się powoli wokół własnej osi. Czasami wyglądała ona jak spłaszczona kula, niekiedy zaś przypominała grubo ciosaną cegłę. Okres obrotu skały wynosił nieco ponad dwie minuty. Na powierzchni widoczne były przemieszane strefy światła i cienia, rozmieszczone zupełnie przypadkowo. Chwilami błyskały do nich niczym dalekie okna płaszczyzny czy odpryski materiału krystalicznego, oświetlanego przez Słońce.

Asteroida przesuwiała się obok nich z szybkością trzydziestu mil na sekundę. Pozostało im kilka pełnych napięcia minut, przez które obiekt będzie widoczny na ekranie. Automatyczne kamery wykonywały dziesiątki zdjęć. Powracające echo radarów nawigacyjnych nagrywano pieczołowicie dla przyszłych analiz. Był najwyższy czas, aby wysłać próbnik uderzeniowy.

Próbnik nie zawierał żadnych instrumentów. Nie wytrzymałyby one zderzenia ze skałą przy takiej szybkości kosmicznej. Próbnikiem, który miano wystrzelić z "Odkrywcy" po torze przecinającym się z orbitą asteroidy, była po prostu niewielka bryła metalu.

Mijały sekundy dzielące pocisk od zderzenia z asteroidą. Poole i Bowman czekali ze wzrastającym napięciem. Eksperyment - chociaż prosty z założenia - miał ostatecznie sprawdzić dokładność ich przyrządów. Celowali w obiekt o średnicy stu stóp z odległości tysiąca mil ...

Nagle na zaciemnionej części asteroidy pojawiła się oślepiająca eksplozja światła. Bryła metalu zderzyła się z powierzchnią skały z meteorytową prędkością.

W ułamku sekundy cała energia bryły zamieniła się w ciepło. Obłok rozżarzonego gazu

uniósł się w przestrzeń. Na “Odkrywcy” kamery rejestrowały znikające szybko linie spektralne. Ziemscy eksperci poddadzą je analizie, szukając śladów świecących atomów. Po raz pierwszy w historii zbadany zostanie skład powierzchni asteroidy.

Po upływie godziny 7794 była kurcząca się gwiazdą bez określonego kształtu. Gdy Bowman ponownie pojawił się na służbie, po asteroidzie nie było już śladu.

Znów byli samotni. Dopiero za trzy miesiące wyjdą im na spotkanie najdalej wysunięte w przestrzeń księżycy Jowisza.

19. PRZEJŚCIE OBOK JOWISZA

Nawet z odległości dwudziestu milionów mil Jowisz był najlepiej widocznym obiektem w znajdującej się przed nimi przestrzeni. Planeta wyglądała teraz jak blady, różowawy dysk wielkości połowy Księżyca widzianego z Ziemi. Cały glob otaczały ciemne, równoległe pasma chmur. W płaszczyźnie równikowej Jowisza orbitowały jasne gwiazdy Io, Europy, Ganimeda i Calisto - światów, które gdzie indziej uważano by za planety, a które tutaj były jedynie satelitami potężnego władcy.

Szczególnie interesująco wyglądał Jowisz widziany poprzez pokładowy teleskop: nakrapiany, różnokolorowy glob wypełniający całe niebo. Trudno było określić jego rzeczywistą wielkość - Bowman powtarzał sobie, że jest on jedenaście razy większy od Ziemi, lecz była to jedynie pusta liczba, nie dająca wyobrażenia o prawdziwych rozmiarach planety.

Kiedyś jednak, dokonując przeglądu wiadomości na temat Jowisza zakodowanych w pamięci Hala, Bowman znalazł coś, co momentalnie unaocznilo mu zaskakujące rozmiary globu. Była to ilustracja pokazująca całą powierzchnię Ziemi rozpiętą niczym skóra zwierzęcia na dysku Jowisza. Wszystkie kontynenty i oceany Ziemi nie były większe od Indii, gdy porównało się je z powierzchnią Jowisza.

Używając największych teleskopów "Odkrywcy", Bowman oglądał lekko spłaszczony glob, okryty postrzępionymi chmurami, układającymi się w pasma na skutek szybkiego obrotu tego gigantycznego świata. Pasma te łączyły się niekiedy w zbitki i węzły o wielkości kontynentów zbudowanych z kolorowych par. Czasami spinały je nietrwałe mosty o długości tysięcy mil. Za chmurami znajdowało się wystarczająco dużo materii, aby przeważać wszystkie inne planety Układu Słonecznego. Co jeszcze - zastanawiał się Bowman - skrywały chmury?

Ponad zmieniającym się, skłębionym dachem okrywającym powierzchnię planety szybowały okrągłe, ciemne kształty. Jeden z wewnętrznych księżyców Jowisza przesłaniał odległe Słońce. Jego cień podążał po niespokojnym krajobrazie chmur.

W odległości dwudziestu milionów mil od Jowisza pojawiły się mniejsze księżyce planety. Były to jednak wyłącznie latające skały o średnicy kilkudziesięciu mil i "Odkrywca" nigdy nie znalazł się w ich pobliżu. Co kilka minut nadajnik radarowy wysyłał w kosmos głuchy grzmot sygnału. Jednak z przestrzeni nie powracały pulsujące echa najdalszych satelitów.

Coraz głośniejszy stawał się natomiast radiowy ryk samego Jowisza. W roku 1955, tuż przed nadejściem ery kosmicznej, astronomów zaskoczył fakt, że Jowisz wysyła miliony koni mechanicznych energii na fali o długości dziesięciu metrów. Był to zwykły hałas przypisywany

aureolom naładowanych cząsteczek okrążających planetę, podobnie jak ma to miejsce w przypadku pasów Van Allena na Ziemi, jednak na znacznie większą skalę.

Podczas samotnych godzin spędzonych w sterowni Bowman wsłuchiwał się w radiację Jowisza. Odkręcał natężenie głosu i kabinę wypełniały trzaski i szумы planety. W nieregularnych odstępach pojawiły się piski i gwizdy przypominające krzyki oszalałych ptaków. Były to dziwne dźwięki, brzmiały jak samotny, bezsensowny pomruk fal na brzegu morza lub daleki odgłos grzmotów za horyzontem.

Nawet przy obecnej prędkości ponad stu tysięcy mil na godzinę przecięcie orbit wszystkich satelitów Jowisza zajmie "Odkrywcy" jeszcze dwa tygodnie.

Wokół globu krążyło więcej księżyców, niż było planet w Układzie Słonecznym. Co roku Obserwatorium Księżycowe odkrywało nowe satelity. W sumie było ich już trzydzieści sześć. Najbardziej odległy, Jowisz XXVII, poruszał się po nieregularnej orbicie oddalonej o dziwną ilość milionów mil od swojego tymczasowego władcy. Jowisz XXVII był nagrodą w bezustannych zapasach pomiędzy Jowiszem właściwym a Słońcem. Olbrzymia planeta bez przerwy porywała księżyce z pasa asteroid po to, by utracić je na korzyść Słońca po kilku milionach lat. Jedyne wewnętrzne satelity stanowiły bezsprzeczną własność Jowisza. Słońce nigdy nie mogło wyrwać ich z uścisku władcy.

Oto jednak pojawiła się nowa zdobycz w zmaganiach pól grawitacyjnych: "Odkrywca" przyspieszał w kierunku Jowisza wzdłuż skomplikowanej orbity obliczonej przed miesiącami przez ziemskich astronomów i ciągle kontrolowanej przez Hala. Od czasu do czasu statkiem wstrząsały krótkie, automatyczne szarpnięcia, wywoływane włączaniem się silników sterowniczych dokonujących poprawek trajektorii. Na pokładzie były one jednak ledwo wyczuwalne.

Działało nieprzerwanie radiowe połączenie z Ziemią. Byli już tak daleko od domu, że sygnały - nawet jeśli przesyłało się je z szybkością światła - docierały do celu po pięćdziesięciu minutach. I chociaż cały świat spoglądał zza ich ramion, używając ich oczu i ich przyrządów do obserwacji zbliżającego się Jowisza, wiadomości o tym, co dostrzegli, płynęły na Ziemię prawie godzinę.

Gdy "Odkrywca" przecinał orbity gigantycznych satelitów wewnętrznych, z których każdy był większy od Księżyca i całkiem nieznany, włączały się kamery teleskopowe. Trzy godziny przed przejściem obok Jowisza statek minął Europę w odległości dwudziestu tysięcy mil. Wszystkie instrumenty skierowano na zbliżający się glob, powoli zwiększający swoje rozmiary. Europa z kuli stała się rogalem i odpłynęła szybko w kierunku Słońca.

Europa mierzyła czternaście milionów mil kwadratowych, które aż do tej pory były jedynie łebkiem szpilki w najsilniejszych teleskopach. Mijali ją przez dziesięć minut, które należało

wykorzystać do maksimum, rejestrując wszystkie niezbędne obserwacje. Będą mieli wystarczająco dużo czasu podczas nadchodzących miesięcy, aby spokojnie je uporządkować.

Z daleka Europa wyglądała jak gigantyczna kula śnieżna, od której zadziwiająco silnie odbijało się światło odległego Słońca. Bliższe obserwacje potwierdziły to spostrzeżenie. W przeciwieństwie do zapyłonego Księżyca jaskrawo białą Europę pokrywały szczyty, wyglądające jak połączone ze sobą góry lodowe. Z dużym prawdopodobieństwem można było założyć, że góry zbudowane są z amoniaku i wody, których nie zdołało przechwycić pole grawitacyjne Jowisza.

Wzdłuż równika widoczna była jednak goła skała. Znajdował się tutaj niesamowicie poszczerbiony pas ziemi niczyjej, na który składały się kaniony i porzrucane głazy, tworzące ciemny otok wokół satelity. Widać było kilka kraterów oduderzeniowych, jednak nie wykryto śladów działalności wulkanicznej. Europa z całą pewnością nie posiadała wewnętrznych źródeł ciepła.

Odkryto także ślady atmosfery, o której istnieniu wiedziano już wcześniej. Kiedy ciemna krawędź satelity przesłaniała gwiazdę, ta najpierw przygasła, by za chwilę zniknąć zupełnie za tarczą Europy. W niektórych rejonach pojawiała się coś na kształt chmur - być może była to mgła powstała z kropelek amoniaku gnanych rozrzedzonym metanowym wiatrem.

Europa zniknęła z boku statku niemal tak szybko, jak się pojawiła. Jowisz znajdował się teraz w odległości dwóch godzin drogi. Hal cierpliwie sprawdzał i testował wszystkie parametry orbity statku. Aż do momentu największego zbliżenia nie trzeba było dokonywać korekt szybkości. Bowman i Poole z dreszczykiem emocji wpatrywali się w olbrzymi glob rosnący z minuty na minutę. Trudno było uwierzyć, że "Odkrywca" nie spadnie wprost na planetę, że nie ściągnie go na dół ku zagładzie niezmiernie pole grawitacyjne.

Nadszedł czas, aby wystrzelić sondy atmosferyczne, które - jak miano nadzieję - wytrzymają wystarczająco długo, aby przesłać garść informacji spod pokrywy chmur Jowisza. Dwie potężne kapsuły w kształcie bomb, pokryte nietopliwymi osłonami termicznymi, wysłano na orbity, które przez pierwsze kilka tysięcy mil nie różniły się specjalnie od trajektorii "Odkrywcy".

Jednak ich drogi z wolna się rozeszły. Teraz nawet gołym okiem można było dostrzec to, co Hal obliczył już wcześniej. Statek znajdował się na orbicie zbliżania, nie kolidującej z Jowiszem. "Odkrywca" nie wejdzie do atmosfery, ominie ją w odległości kilkuset mil, bardzo blisko jeśli weźmie się pod uwagę planetę o średnicy dziewięćdziesięciu tysięcy .mil, a jednocześnie wystarczająco daleko.

Jowisz wypełniał teraz całe niebo. Był tak olbrzymi, że nie dawało się go objąć ani wzrokiem, ani umysłem. Można było zarzucić wszelkie wysiłki. Gdyby nie różnorodność kolorów - czerwieni, róży, żółci, fioletów, a nawet szkarłatów - znajdującej się pod nimi atmosfery, Bowman

byłby przekonany, że leci tuż nad chmurami Ziemi.

Obecnie po raz pierwszy w całej podróży mieli zgubić Słońce. Chociaż bledsze i mniejsze niż na Ziemi, towarzyszyło im od samego startu pięć miesięcy temu. Teraz zakrywał je cień Jowisza. Wkrótce Słońce znajdzie się po nocnej stronie planety.

Tysiące mil przed nimi zapadał zmrok. Z tyłu, za nimi, Słońce wtapiało się gwałtownie w chmury Jowisza. Gasnące promienie słoneczne rozszczepiły się na horyzoncie tworząc dwa płomienne, zwrócone ostrzem ku dołowi rogi, które skurczyły się i zniknęły w nagłym błysku chromatycznej jasności. Nadeszła noc.

Mimo to gigantyczny świat pod nimi nie był całkowicie ciemny. Obmywał go fosforescencyjny blask, który z minuty na minutę stawał się coraz jaśniejszy. Ich oczy przyzwyczajały się do braku światła. Szare rzeki poświaty przelewały się od horyzontu do horyzontu, jak fosforyzujące fale pozostawiane przez statek na tropikalnym morzu. Tu i ówdzie wzbierały kule płynnego ognia poruszane potężnymi wstrząsami idącymi z dołu, od niewidocznej powierzchni Jowisza. Widok był tak niepojęty, że Bowman i Poole nie mogli oderwać oczu od ekranu. Zastanawiali się czy to, co widzą, jest jedynie rezultatem działań chemicznych i elektrycznych mocy, wrzących w tym olbrzymim kotle, czy może produktem ubocznym jakiejś fantastycznej formy życia. Naukowcy będą mieli co rozważać przez cały, dopiero co rozpoczęty wiek.

Zagłębiali się w otaczającą Jowisza noc. Poświata przed nimi stawała się coraz jaśniejsza. Kiedyś Bowman leciał nad północną Kanadą podczas trwania zorzy polarnej. Pokryty śniegami krajobraz był tak ponury i jednocześnie pełen blasku jak to, co widział przed sobą. A przecież arktyczne pustkowia - o czym sobie przypominał - było o ponad sto stopni cieplejsze niż rejony, nad którymi przelatywali.

- Sygnał Ziemi zanika - oznajmił Hal. - Wchodzimy w pierwszą strefę dyfrakcyjną.

Oczekiwali tego, ba, było to jednym z zadań misji, ponieważ pochłanianie fal radiowych dawało wartościowe informacje na temat składu atmosfery Jowisza. Teraz jednak gdy znaleźli się z drugiej strony planety, która odcięła ich od połączenia z Ziemią, poczuli się nagle osamotnieni. Przerwa w komunikacji radiowej miała trwać tylko godzinę, po której wynurzą się z zasłony Jowisza i ponownie nawiążą kontakt z ludzkością. Ta godzina będzie mimo wszystko jedną z najdłuższych w ich życiu.

Pomimo swojego stosunkowo młodego wieku Poole i Bowman należeli do weteranów podróży kosmicznych, czuli się jednak jak nowicjusze. Ta misja nie miała precedensów w historii. Nigdy przedtem żaden statek nie leciał z taką szybkością, ani nie zmagał się z tak silnymi polami grawitacyjnymi. Najmniejszy błąd w nawigacji i "Odkrywca" podąży ku dalekim granicom Układu

Słonecznego bez żadnej nadziei na ratunek.

Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Jowisz był teraz pionową ścianą fosforescencji ciągnącą się ponad statkiem, który wspinał się prosto ku jego świecącej tarczy. Wiedzieli, że poruszają się tak szybko, że nawet pole grawitacyjne Jowisza nie zdoła ich przechwycić, mimo to ciągle obawiali się, że "Odkrywca" stanie się satelitą tego potwornego świata.

Wreszcie w oddali ukazał się rozbłysk światła wzdłuż linii horyzontu. Wychodzili z cienia, zdążając prosto ku Słońcu. Niemal w tym samym momencie Hal oznajmił:

- Jestem w kontakcie radiowym z Ziemią. Mam również przyjemność oznajmić, że manewr perturbacyjny zakończył się pełnym sukcesem. Nasz czas do Saturna wynosi sto pięćdziesiąt siedem dni, pięć godzin i jedenaście minut.

Po chwili sami przekonali się o prawdziwości słów Hala. Przejście wykonano z ogromną precyzją. Niczym bila na kosmicznym stole bilardowym, "Odkrywca" odbił się od ruchomego pola grawitacyjnego Jowisza, zwiększając jednocześnie swoją szybkość na skutek tego zderzenia. Nie zużywając paliwa, przyspieszył o kilka tysięcy mil na godzinę.

Nie nastąpiło żadne pogwałcenie praw mechaniki. W przyrodzie nic nie ginie: Jowisz stracił dokładnie tyle ze swojej szybkości, ile zyskał "Odkrywca". Planeta zwolniła. Ponieważ jednak jej masa była sekstyliony razy większa od masy statku, zmiana orbity globu była zbyt mała, aby można ją było zauważyć. Nie nadszedł jeszcze czas, kiedy to człowiek będzie odciskał swój ślad w Układzie Słonecznym.

Wokół robiło się coraz jaśniej. Skurczone Słońce ponownie weszło nad niebem Jowisza. Poole i Bowman uścisnęli sobie dłonie.

Wydawało się to nieprawdopodobne, ale mieli za sobą połowę misji.

20. ŚWIAT BOGÓW

Nie skończyli jednak jeszcze z Jowiszem. Daleko z tyłu dwie sondy wystrzelone przez "Odkrywcę" wpadały właśnie do atmosfery.

Jedna z nich przepadła na zawsze. Prawdopodobnie weszła do atmosfery pod zbyt ostrym kątem i spaliła się, zanim zdołała wysłać jakieś informacje. Druga sonda miała więcej szczęścia. Przecięła górne warstwy atmosfery Jowisza i ponownie wynurzyła się w kosmosie. Tak jak zaplanowano straciła dużo ze swej szybkości i powtórnie zaczęła opadać wzdłuż długiej elipsy. Dwie godziny później weszła do atmosfery po dziennej stronie planety, poruszając się z szybkością siedemdziesięciu tysięcy mil na godzinę.

Natychmiast też otoczył ją rozżarzony gaz. Kontakt radiowy został przerwany. Nastąpiły nerwowe minuty oczekiwania dla dwóch obserwatorów przy Pulpicie Sterowniczym. Nie byli pewni, czy sonda wytrzyma, czy ochronna osłona ceramiczna nie spali się całkowicie, zanim zakończy się hamowanie. Gdyby tak się stało, instrumenty wyparowałyby w ułamku sekundy.

Osłony wytrzymały jednak i rozżarzony meteor zwolnił szybkość. Odpalono zwęglone fragmenty, robot wysunął anteny i zaczął rozglądać się dookoła używając swoich elektronicznych zmysłów. Na pokład "Odkrywcy", znajdującego się teraz w odległości dwustu pięćdziesięciu tysięcy mil, zaczęły napływać pierwsze autentyczne wiadomości z Jowisza.

Tysiące impulsów nadchodzących w każdej sekundzie przekazywało skład atmosfery, ciśnienie, temperaturę, magnetyzm, radioaktywność i dziesiątki innych czynników potrzebnych ekspertom na Ziemi. Przekaz zawierał także coś, co mógł zrozumieć każdy: obraz telewizyjny nadawany przez opadającą sondę.

Pierwsze sekwencje nadeszły po odpaleniu osłon termicznych. Wszystko spowijała żółta mgła, po-przetykana plamami szkarłatu. Mgła przesuwiała się przed kamerą z oszałamiającą prędkością, uciekając w górę, gdy sonda opadała setki mil na godzinę.

Mgła gęstniała. Nie można było stwierdzić, czy kamera widzi na odległość dziesięciu cali, czy dziesięciu mil. Nie było widać szczegółów, według których dałoby się oszacować odległość. Poole i Bowman doszli do wniosku, że jeśli chodzi o przekaz telewizyjny, eksperyment zawiódł na całej linii. Instrumenty pracowały, nie było jednak nic widać w zamglonej, niespokojnej atmosferze. Nagle, zupełnie niespodziewanie, mgła rozplynęła się. Sonda przeszła przez podstawę chmury wysokiego pułapu i wydostała się w strefie dobrej widoczności - prawdopodobnie w rejonie czystego wodoru z niewielką ilością rozrzuconych kryształków amoniaku. Ciągle jednak trudno było określić skalę obrazu, mimo to kamera musiała obejmować mile przestrzeni.

Sceneria była tak nieprawdopodobna, że aż nierealna dla oczu nawykłych do kolorów i kształtów Ziemi. Daleko, daleko poniżej leżało nieskończone morze nakrapiane złotem, poprzecinane równoległymi wzniesieniami, które wyglądały jak szczyty olbrzymich fal. Wszystko znajdowało się jednak w stanie spoczynku. Skala obrazu była zbyt wielka, aby można to było zawiązać od razu. Złota panorama nie była oceanem. Znajdowała się przecież wysoko w atmosferze Jowisza. Była to kolejna warstwa chmur.

Następnie kamera skierowała się na coś zwodniczo rozmazanego przez odległość. Złoty krajobraz - oglądany z bardzo daleka - związał się w dziwnie symetryczny stożek przypominający wulkan. Wokół szczytu stożka płynęła aureola małych, kłębiastych obłoczków jednakowej wielkości. Pojedyncze obłoczki były całkiem wyraźne. Było w nich coś niepokojącego i nienaturalnego - jeśli słowo "naturalny" może być użyte w opisie tego przerażającego widoku.

Sonda, schwytna w turbulencje gęstniejącej atmosfery, odwróciła się ku innej części horyzontu. Przez kilka sekund na ekranie widoczna była jedynie złocista opalizacja, po czym ruch ustał.

"Morze" było znacznie bliżej. Mimo to nie przestało być równie tajemnicze jak poprzednio. Tu i ówdzie przecinały je ciemne plamy, które być może były dziurami czy przepaściami prowadzącymi do głębszych warstw atmosfery.

Sonda nie miała jednak ich osiągnąć. Z każdą milą gęstość otaczających ją gazów podwajała się. Wzrastało ciśnienie, gdy sonda opadała coraz niżej ku zakrytej powierzchni planety. Była ciągle jeszcze nad tajemniczym morzem, gdy obraz zamigotał ostrzegawczo, a potem znikł. Pierwszy ziemski badacz ugiął się pod ciśnieniem atmosfery Jowisza.

W swoim krótkim życiu pokazał być może jedną milionową część planety. Nie zbliżył się nawet do jej powierzchni znajdującej się setki mil poniżej gęstniejących mgieł. Gdy skończył się przekaz, Bowman i Poole siedzieli w ciszy, obracając w myślach to, co zobaczyli.

Starożytni rzeczywiście mieli rację nazywając ten świat imieniem władcy wszystkich bogów. Jeśli tam w dole znajdowało się życie, jak długo trzeba by go szukać? Ile wieków upłynie, zanim ludzie podążą śladem pierwszego odkrywcy? W jakim statku?

"Odkrywca" i jego załoga nie mieli jednak czasu na rozważanie tych wszystkich problemów. Ich celem był świat może jeszcze dziwniejszy, a na pewno dwa razy bardziej odległy od Słońca. Mieli lecieć ku niemu przez kolejne pół miliarda mil nawiedzanej przez komety otchłani.

CZEŚĆ CZWARTA

OTCHŁAŃ

21. URODZINY

Przez siedemset milionów mil kosmosu płynęły z szybkością światła znajome zwrotki Happy Birthday, zamierając pośród ekranów i przyrządów Pulpitu Sterowniczego. Rodzina Poole'a, zgromadzona na Ziemi wokół tortu urodzinowego, przerwała śpiew.

Poole Senior odezwał się pierwszy swoim zwykłym burkliwym głosem:

- No cóż, Frank, właściwie nie wiem, co mam teraz powiedzieć, oprócz tego, że myślamy jesteśmy z tobą i życzymy ci wszystkiego najlepszego.

- Kochanie, uważaj na siebie - włączyła się płaczliwie pani Poole. - Niech cię Bóg błogosławi.

Usłyszał wypowiedziane chóralnie "do widzenia" i obraz znikł. I to wszystko - pomyślał Poole - działo się więcej niż godzinę temu. Teraz rodzina rozeszła się już i jej członkowie znajdowali się wiele mil od domu. Różnica czasu - chociaż frustrująca - była w pewnym sensie błogosławieństwem. Jak każdy człowiek w jego wieku Poole uważał za normalne, że może porozumiewać się bez przeszkód z kimkolwiek i o jakiegokolwiek porze. Teraz zaś zmieniona sytuacja wywołała u niego głęboki efekt psychologiczny. Znalazł się tak daleko, że związki uczuciowe przestały być dla niego ważne.

- Przepraszam, że przerywam uroczystość odezwał się nagle Hal - ale mamy pewien problem.

- Jaki problem? - Bowman i Poole zapytali niemal równocześnie.

- Mam kłopot z utrzymaniem kontaktu z Ziemią. Usterka umiejscowiona jest w podzespole AE-35. Moje Centrum Prognozowania Uszkodzeń donosi, że podzespół przestanie działać za 72 godziny.

- Zajmiemy się tym - odpowiedział Bowman.

- Pokaż nam ustawienie optyczne.

- Oto ono, Dave. W tej chwili działa jeszcze bez zarzutu.

Na ekranie pojawił się doskonały półksiężyc świecący jasno na pozbawionym gwiazd niebie. Ze względu na okrywające go chmury nie można było rozpoznać żadnych cech geograficznych. Na pierwszy rzut oka ciało to przypominało Wenus.

Jednak po dokładniejszym przyjrzeniu się, na ekranie pojawiał się prawdziwy Księżyc - satelita jakiego nie posiadała Wenus. Księżyc był wielkości czwartej części Ziemi i znajdował się dokładnie w tej samej kwadrze. Łatwo można było wyobrazić sobie, że te dwa ciała są matką i dzieckiem - w co wierzyło wielu astronomów, zanim zebrano dowody w postaci skał

księżycowych, które wykluczały przypuszczenie, że Księżyc był kiedykolwiek częścią Ziemi.

Przez pół minuty Poole i Bowman wpatrywali się w obraz na ekranie, pochodzący z długoogniskowej kamery telewizyjnej, umieszczonej na krawędzi olbrzymiego dysku radiowego. Siatka celownika w samym środku ekranu pokazywała ukierunkowanie anteny. Dopóki wąski promień celownika był dokładnie skierowany na Ziemię, łączność z macierzystą planetą działała bez zarzutu. W innym wypadku porozumienie się w obydwu kierunkach było niemożliwe, wiadomości nie trafiały do celu ulatując w głąb Układu Słonecznego i dalej, w przestrzeń. Musiałyby upłynąć stulecia, zanim ktokolwiek mógłby je odebrać - i z pewnością nie byłiby to ludzie.

- Czy wiesz, na czym polega usterka? - zapytał Bowman.

- Usterka pojawia się okresowo i nie mogę jej precyzyjnie zlokalizować, ale na pewno umiejscowiona jest w podzespole AE-35.

- Co proponujesz?

- Najlepszym wyjściem byłaby wymiana pod zespołu na zapasowy, a następnie zbadanie wadliwej części na miejscu.

- W porządku. Daj nam wydruk.

Informacje pojawiły się na ekranie i jednocześnie ze szczeliny pod monitorem wysunęła się kartka papieru. Pomimo elektronicznych czytników zdarzały się sytuacje, kiedy stary, dobry druk okazywał się niezawodny.

Bowman studiował przez chwilę diagramy i gwizdnął cicho.

- Mogłeś nam o tym powiedzieć. Usterka wy maga wyjścia na zewnątrz.

- Przepraszam - odezwał się Hal. - Wydawało mi się, że wiecie. Podzespół AE-35 znajduje się w konstrukcji utrzymującej antenę.

- Wiedziałem o tym rok temu. Na statku znaj duje się osiem tysięcy podsystemów. W każdym razie sprawa jest jasna. Trzeba odkręcić pokrywę i zamontować nowy podzespół.

- W porządku - powiedział Poole. Był członkiem załogi przewidzianym do wykonywania prac poza statkiem. - Przyda mi się zmiana otoczenia.

Nie bierzcie tego oczywiście do siebie.

- Sprawdzimy, czy zgadza się Centrum Kierowania Lotem.

Bowman przez kilka sekund siedział w skupieniu porządkując myśli, a następnie zaczął dyktować wiadomość:

- Kontrola Lotu, mówi X-ray-Delta-Jeden.

O dwudziestej czterdzieści pięć Centrum Prognozowania Uszkodzeń naszego komputera dziewięć zero zero zero wskazało podzespół Alpha Echo trzy pięć jako źródło przypuszczalnej

usterki do siedemdziesięciu dwóch godzin. Prosimy o sprawdzenie waszej kontroli telemetrycznej i sugerujemy przegląd pod zespołu w symulatorze systemów statku. Prosimy o zgodę na wyjście poza statek w celu wymiany podzespołu Alpha Echo trzy pięć przed pojawieniem się usterki. Kontrola Lotu, mówi X-ray-Delta-Jeden. Koniec transmisji, dwudziesta pierwsza zero trzy.

Lata praktyki sprawiły, że Bowman mógł w ułamku sekundy przestawić się na ten specyficzny żargon, który ktoś nazwał kiedyś technicznym. Powrót do normalnej mowy również nie sprawiał mu trudności. Teraz nie mieli już nic do roboty oprócz czekania na potwierdzenie z Ziemi - co zajmie przynajmniej dwie godziny. Ich sygnał odbywał teraz podróż w tę i z powrotem wokół Jowisza i Marsa.

Odpowiedź nadeszła, gdy Bowman bezskutecznie próbował pokonać Hala w jednej z wielu przechowywanych w pamięci komputera gier geometrycznych.

- X-ray-Delta-Jeden, mówi Kontrola Lotu. Potwierdzamy odbiór, dwudziesta pierwsza zero trzy. Dokonujemy przeglądu telemetrycznego na symulatorze. Wynik prześlemy później. Zgoda na wyjście poza statek i wymianę podzespołu Alpha Echo trzy pięć przed pojawieniem się usterki. Opracowujemy zestaw procedur testujących wadliwy podzespół.

Przekazawszy najważniejsze informacje Kontroler Lotu zaczął posługiwać się zwykłym językiem:

- Przykro nam, panowie, że macie kłopoty i nie chcemy przysparzać wam dodatkowych zmartwień, ale nasze Biuro Informacyjne byłoby zobowiązane, gdybyście przed wyjściem poza statek zrobili krótkie nagranie dla szerokiej publiczności, wyjaśniające sytuację i znaczenie AE-35. Spróbujcie ich uspokoić.

W zasadzie mogliśmy to zrobić sami, ale w waszych ustach wyjaśnienia będą brzmiały bardziej przekonująco. Mam nadzieję, że nie wprowadzi to zbyt dużego zamieszania w waszym życiu. X-ray-Delta Jeden, mówi Kontrola Lotu. Dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt pięć, koniec transmisji.

Bowman nie mógł się nie uśmiechnąć słysząc prośbę Centrum. Ziemia wykazywała niekiedy ciekawą bezdusność i brak taktu. "Spróbujcie ich uspokoić" - też coś!

Gdy zjawił się Poole, który uszczknął nieco ze swojego snu, spędzili razem dziesięć minut na układaniu i wygładzaniu odpowiedzi. W pierwszej fazie trwania misji zdarzało się mnóstwo próśb od wszystkich środków masowego przekazu o wywiady, dyskusje - akceptowano każdą rzecz, jaką chcieli przekazać. Jednak mijały tygodnie i na statku nie działo się nic godnego uwagi. Różnica czasu zwiększała się z kilku minut do ponad godziny i zainteresowanie lotem zmniejszało się. Od przelotu obok Jowisza, ponad miesiąc temu, nagrali tylko trzy czy cztery taśmy dla szerokiej publiczności.

- Kontrola Lotu, mówi X-ray-Delta-Jeden. Oto wypowiedź dla prasy:

W dniu dzisiejszym na statku pojawiła się drobna usterka techniczna. Nasz komputer HAL-9000 prognozuje uszkodzenie podzespołu AE-35.

AE-35 jest małym, lecz istotnym komponentem systemu komunikacji. Utrzymuje kierunek naszej głównej anteny, stale wycelowanej na Ziemię, z dokładnością do kilku tysięcznych stopnia. Tak duża dokładność wymagana jest z powodu naszej obecnej odległości od Ziemi, która wynosi w tej chwili więcej niż siedemset milionów mil. Przy takim oddaleniu Ziemia jest tylko odległą gwiazdą i nasz wąski promień radiowy mógłby ją łatwo zgubić.

Antena bezustannie śledzi ruch Ziemi. Napęd anteny stanowią silniki sterowane z centralnego komputera. Silniki te odbierają polecenia poprzez podzespół AE-35, który można porównać do komórki nerwowej w ludzkim ciele, tłumaczącej polecenia mózgu mięśniom ramion. Jeśli komórka nerwowa przestanie przysyłać prawidłowe sygnały, ramiona stają się bezużyteczne. W naszym przypadku oznacza to, że uszkodzenie AE-35 spowoduje złe ukierunkowanie anteny. Sytuacja taka często miała miejsce w dalekosiężnych sondach kosmicznych wysyłanych w przestrzeń w ubiegłym stuleciu. Sondy dolatywały na miejsce przeznaczenia i nie przysyłały żadnych informacji, ponieważ ich anteny nie potrafiły zlokalizować Ziemi.

Nie wiemy jeszcze, na czym polega uszkodzenie, ale nie ma absolutnie powodu do obaw i bicia na alarm. Mamy ze sobą dwa zapasowe podzespoły AE-35, których oczekiwana trwałość działania wynosi dwadzieścia lat. Prawdopodobieństwo wystąpienia usterki w drugim podzespole podczas trwania misji jest tak małe, że aż nieistotne. Poza tym po zbadaniu uszkodzenia będziemy mogli naprawić podzespół numer jeden.

Frank Poole, który przeszedł specjalne przeszkolenie, opuści statek i wymieni wadliwy element. Jednocześnie sprawdzi kadłub i naprawi kilka mikroprzecieków, które same w sobie są zbyt małe, aby w celu ich naprawy wychodzić w przestrzeń.

Oprócz tego drobnego incydentu misja przebiega zgodnie z planem i w dalszym ciągu nic nie powinno zakłócać jej prawidłowego toku.

Kontrola Lotu, mówi X-ray-Delta-Jeden. Dwudziesta pierwsza zero cztery, koniec transmisji.

22. WYCIECZKA

Kapsuły kosmiczne “Odkrywcy” - nazywane też “kosmicznymi groszkami” - były kulami o średnicy dziewięciu stóp. Operator kapsuły odgradzony był od świata zewnętrznego szybą, która umożliwiała mu pracę. Główny napęd raketowy dawał przyspieszenie równe jednej piątej g - wystarczająco dużo, aby poruszać się na Księżycu. Sterowanie kapsułą odbywało się przy pomocy niewielkich dysz kontroli pionu i poziomu. W dolnej części pojazdu, pod szybą operatora, umieszczone były dwa zestawy połączonych stawami metalowych ramion - nazywanych chwytnikami, z których jeden przeznaczono do wykonywania zadań wymagających dużej siły, drugi zaś do delikatnych manipulacji. Obok ramion znajdowała się wysuwana głowica zawierająca proste narzędzia, takie jak śrubokręty, młotki, piły, wiertarki.

Kapsuły nie należały do najbardziej eleganckich środków transportu, jednak ich przydatność do prac naprawczych czy konstrukcyjnych w próżni była bezdyskusyjna. Zazwyczaj nazywano je imionami kobiet, być może dlatego, że trudno było je niekiedy okiełznać. Trzy kapsuły “Odkrywcy” nosiły imiona “Anna”, “Betty” i “Clara”.

Po założeniu skafandra ciśnieniowego - który stanowił ostatnią warstwę ochronną astronauty - i wejściu do kapsuły Poole przez dziesięć minut sprawdzał dokładnie instrumenty kontrolne. Rozgrzewał silniki sterujące, prostował chwytniki, kontrolował poziom tlenu, paliwa i energii. Po zakończeniu czynności wstępnych nawiązał łączność radiową z Halem. Bowman stojący przy pulpicie Sterowniczym nie brał udziału w przygotowaniach. Jego rola polegała na korygowaniu ewentualnych błędów i czuwaniu nad sprawnością aparatury.

- Mówi “Betty”. Rozpocznij sekwencję pomp.
- Sekwencja pomp rozpoczęta - powtórzył Hal.

W tym samym momencie Poole usłyszał pulsowanie pomp próżniowych wysysających powietrze ze śluzy. Cienka warstwa metalu, stanowiąca zewnętrzną obudowę kapsuły, zaczęła trzeszczeć i dudnić. Po pięciu minutach Hal zameldował:

- Sekwencja pomp zakończona.

Poole spojrzął na tablicę z instrumentami. Wszystko działało normalnie.

- Otwórz zewnętrzne drzwi śluzy - polecił.

Hal powtórzył instrukcję. W każdym stadium pracy Poole mógł wydać komendę “stop” i komputer natychmiast zatrzymywał dowolną sekwencję.

Ściany statku rozsunęły się. Poole poczuł lekkie kołysanie kapsuły, gdy ostatnie cząstki powietrza wypłynęły w przestrzeń. Spojrzął na gwiazdy. Zauważył niewielki, złocisty dysk

Saturna, oddalony o czterysta milionów mil.

- Rozpocznij sekwencję startową.

Wysięgnik, na którym podwieszona była kapsuła, bardzo powoli wysunął się przez otwarte drzwi śluzy. Pojazd znalazł się poza statkiem.

Poole włączył na pół sekundy silnik i kapsuła oderwała się łagodnie od wysięgnika. Stała się teraz niezależnym ciałem niebieskim, podążającym własną orbitą wokół Słońca. Nic już nie łączyło Poole'a z "Odkrywcą". Kapsuła nie posiadała liny zabezpieczającej. Nie oczekiwano żadnych kłopotów z jej strony, gdyby jednak mimo wszystko zdarzyło się coś nieprzewidzianego, Bowman czekał z odsieczą.

"Betty" dawała się łatwo prowadzić. Poole pozwolił jej odpłynąć na sto stóp od statku, następnie zahamował i odwrócił ją w kierunku rufy "Odkrywcy". Rozpoczął objazd kadłuba.

Jego pierwszym celem był stopiony obszar powłoki ochronnej o średnicy pół cala, z małym kraterem pośrodku. Cząsteczka pyłu, która uderzyła w kadłub z prędkością stu tysięcy mil na godzinę, była z pewnością mniejsza od łebka szpilki. Ogromna energia kinetyczna spowodowała, że cząsteczka natychmiast wyparowała. Powstały w momencie zderzenia krater wyglądał tak, jak gdyby stworzyła go eksplozja wewnątrz statku. Przy takich szybkościach materiały zachowywały się w dziwny sposób - zupełnie niezgodny ze zdroworozsądkowymi prawami mechaniki.

Poole dokładnie zbadał stopiony obszar, a następnie spryskał go płynem uszczelniającym z pojemnika ciśnieniowego, znajdującego się w przyborniku narzędziowym kapsuły. Biały, lepki płyn pokrył metalową powłokę kadłuba i krater. Przeciek wypuścił duży bąbel, który urósł na sześć cali, po czym pękł. Następnie pojawił się drugi, mniejszy. Szybkoschnący cement zalepił otwór i bańka zniknęła. Poole przyglądał się swemu dziełu przez kilka minut. Nie dostrzegł jednak dalszych śladów przecieku. Dla pewności położył kolejną warstwę płynu i odleciał w kierunku anteny.

Lot wokół okrągłego kadłuba "Odkrywcy" zajął mu trochę czasu. Nie rozpędzał kapsuły do szybkości większej niż kilka stóp na sekundę. Nie musiał się spieszyć. Poza tym nie mógł poruszać się szybciej w pobliżu statku. Musiał zwracać uwagę na sensory i instrumenty wystające z kadłuba w najmniej oczekiwanych miejscach. Odrzut raketowy kapsuły stanowił potencjalne zagrożenie dla czułych urządzeń znajdujących się na zewnątrz "Odkrywcy".

Kiedy doleciał do anteny dalekiego zasięgu, rozpoczął pracę od dokładnego zorientowania się w sytuacji. Duży dysk o średnicy dwudziestu stóp skierowany był precyzyjnie na Słońce. Ziemia znajdowała się teraz niemal na jednej linii z tarczą słoneczną. Podpory anteny wraz z systemem sterowniczym okrywała całkowita ciemność. Olbrzymi metalowy spodek zasłaniał promienie słoneczne.

Poole podpłynął do urządzenia od tyłu. Gdyby znalazł się z przodu wąskiego, parabolicznego reflektora, "Betty" mogłaby przerwać promień radiowy, powodując chwilowy brak kontaktu z Ziemią. Nie widział dokładnie urządzenia z powodu panujących pod anteną ciemności, zapalił więc reflektory kapsuły.

Przyczyna obecnych kłopotów spoczywała pod małą, metalową pokrywą, którą mocowały cztery nakrętki zabezpieczające. Podzespół AE-35 zaprojektowano tak, aby umożliwić jego łatwą wymianę. Poole nie przewidywał żadnych trudności.

Musiał jednak opuścić kapsułę. Manewrowanie pojazdem w pobliżu kruchej, pajęczej sieci anteny było zbyt ryzykowne. Silniki sterujące "Betty" groziły uszkodzeniem cienkiej powierzchni zwierciadła radiowego. Poole postanowił, że zaparkuje kapsułę w odległości dwudziestu stóp od anteny i wyjdzie w przestrzeń w skafandrze ciśnieniowym. Dzięki temu wymiana podzespołu odbędzie się znacznie szybciej niż przy pomocy zdalnie sterowanych ramion "Betty".

Zameldował o wszystkim Bowmanowi, który sprawował pieczę nad każdym etapem operacji jeszcze przed wprowadzeniem go w życie. Zadanie było proste, niemal rutynowe, mimo to w przestrzeni kosmicznej nic nie powinno odbywać się przypadkowo. Nie wolno przeoczyć żadnego detalu. W operacjach poza statkiem nie można było pozwolić sobie na ryzyko "mniej ważnych" błędów.

Poole otrzymał pozwolenie na wykonanie zadania. Zaparkował kapsułę w odległości dwudziestu stóp od podstawy podpór anteny. "Betty" nie powinna odpłynąć w przestrzeń, mimo to uchwycił automatycznym ramieniem szczebel drabinki umieszczonej strategicznie na zewnętrznym poszyciu "Odkrywcy".

Sprawdził działanie systemów skafandra próżniowego i stwierdziwszy, że wszystko funkcjonuje prawidłowo, zaczął wypuszczać powietrze z kapsuły. Atmosfera "Betty" z sykiem uciekała w próżnię. Wokół Poole'a uformowała się na krótko chmura kryształków lodu, przesłaniająca gwiazdy.

Przed opuszczeniem kapsuły wykonał jeszcze jedną czynność. Przełączył "Betty" ze sterowania ręcznego na zdalne, oddając ją pod opiekę Halowi. Było to rutynowe zabezpieczenie. Poole'a łączyła z kapsułą silna, sprężynująca lina, niewiele grubsza od bawełnianego sznura, jednak nawet najlepsze liny mają to do siebie, że mogą się zerwać. Miałby się z pyszna, gdyby w razie awarii chciał przywołać pojazd i nie przełączył sterowania. Hal byłby bezradny.

Drzwi kapsuły rozsunęły się i Poole wypłynął powoli w ciszę próżni. Za nim rozwijała się lina. Tylko spokojnie, nigdy za szybko, zatrzymaj się i pomyśl - były to główne zasady poruszania się poza statkiem. Przestrzegając ich, można uniknąć wielu kłopotów.

Poole uchwycił jeden z zewnętrznych wsporników "Betty" i wyciągnął z bocznej kieszeni

kapsuły zapasowy podzespół AE-35. Nie zabierał z kapsuły żadnych narzędzi - większość z nich nie była przeznaczona dla ludzkich rąk. Wszystkie niezbędne klucze miał zawieszony przy pasie.

Odepchnął się i poszybował w kierunku kardanowego zawieszenia wielkiego dysku, przypominającego gigantyczny spodek umieszczony między nim a Słońcem. W świetle reflektorów "Betty" Poole dostrzegł swój podwójny cień, tworzący roztańczone, fantastyczne wzory na wypukłej powierzchni zwierciadła. Nagle z zaskoczeniem zauważył oślepiająco jasne punkciki światła na tylnej części dysku.

Płynąc ku nim w ciszy, zastanawiał się nad ich pochodzeniem. W końcu domyślił się, skąd się wzięły. Podczas lotu reflektor radiowy natykał się na przemierzające przestrzeń mikrometeoroidy. Poole spoglądał na światło słoneczne przeświecające przez mikroskopijne kratery, na szczęście zbyt małe, aby zakłócić pracę urządzenia.

Poruszał się bardzo wolno. Wyciągniętą ręką wyhamował własny impet i uchwycił się zawieszenia anteny, chroniąc się przed odbiciem. Szybko przypiął pas zabezpieczający do najbliższego rusztowania. Pas miał za zadanie przeciwdziałać odpłynięciu w próżnię podczas używania narzędzi. Poole odpoczął chwilę i przekazał meldunek Bowmanowi. Przemyslał również następne posunięcie.

Pojawił się pewien problem: Poole stał, czy raczej unosił się w świetle własnych reflektorów. Cień, który rzucał, zasłaniał podzespół AE-35, uniemożliwiając mu pracę. Polecił Halowi przesunąć reflektory w jedną stronę i po kilku próbach otrzymał jednorodne światło odbite od dysku anteny.

Przez kilka sekund badał niewielką, metalową zasuwę i cztery nakrętki zabezpieczające z zatyczkami. Następnie mrużąc do siebie: "manipulowanie przez osoby nieupoważnione unieważnia gwarancję producenta", wyrwał zatyczki i zaczął odkręcać nakrętki. Ich wielkość była znormalizowana, pasował więc do nich zero-obrotowy klucz, który Poole miał ze sobą. Wewnętrzny mechanizm sprężynowy narzędzia pochłaniał kontrakcję odkręcanych śrub. Dzięki temu osoba posługująca się kluczem w próżni nie była obracana w kierunku przeciwnym do odkręcanej śruby.

Cztery nakrętki ustąpiły bez problemów i Poole umieścił je ostrożnie w bocznej kieszeni skafandra. (W przyszłości - wedle niektórych prognoz - Ziemia otoczona będzie pierścieniami podobnymi do pierścieni Saturna. Pierścienie owe powstaną ze śrub, nakrętek i narzędzi, które uciekły w przestrzeń nieuważnym orbitalnym budowniczym). Metalowa pokrywa była lepka od mrozu i Poole przez chwilę obawiał się, czy nie przywarła do całej konstrukcji. Jednak po kilku niezbyt mocnych szarpnięciach pokrywa puściła. Przyczepił ją wielkim, "krokodylim" spinaczem do podstawy anteny.

Teraz miał przed sobą obwody elektroniczne podzespółu AE-35. Sam podzespół był cienką płytką wielkości kartki pocztowej, którą umieszczono w szczelinie o odpowiednich rozmiarach. Element utrzymywały na miejscu dwa zatrzaski. Z przodu znajdował się uchwyt umożliwiający wysunięcie płytki.

AE-35 ciągle pracował, przesyłając do anteny impulsy, które utrzymywały ją w jednej linii z Ziemią. Jeśli Poole wyciągnie teraz podzespół, sterowanie anteną zostanie przerwane i dysk odwróci się do pozycji neutralnej - zero-azymutowej - wzdłuż osi "Odkrywcy". Byłoby to bardzo niebezpieczne, szczególnie dla niego, ponieważ dysk mógł uderzyć go podczas obrotu.

Aby uniknąć tego zagrożenia, należało jedynie odciąć zasilanie od systemu sterowania. Antena nie poruszy się, chyba że Poole sam w nią uderzy. Przez kilka minut potrzebnych na wymianę podzespółu nie istniało prawdopodobieństwo utraty kontaktu z Ziemią. W tak krótkim przedziale czasowym Ziemia nie zmieni w znaczący sposób swojego położenia w stosunku do gwiazd.

- Hal - zawołał przez radio Poole - za chwilę będę wymieniał podzespół. Wyłącz zasilanie sterowania anteną.

- Zasilanie sterowania anteną wyłączone - odpowiedział Hal.

- W porządku. Wymieniani podzespół.

Płytką wysunęła się ze szczeliny bez trudności, nie zablokowała jej żadna z kilkudziesięciu zatrzaskowych wtyczek. Po upływie minuty na miejscu znalazł się zapasowy podzespół.

Poole wołał jednak nie ryzykować. Odepchnął się od zawieszenia anteny, na wypadek gdyby dysk oszalał po ponownym włączeniu zasilania. Kiedy znalazł się w bezpiecznej odległości, zawołał do Hala:

- Nowy podzespół powinien działać. Włącz zasilanie.

- Zasilanie włączone - odpowiedział komputer.

Antena pozostała na miejscu.

- Przeprowadź testowanie.

Przez skomplikowane obwody podzespółu popłyną mikroimpulsy, testujące ewentualne uszkodzenia, sprawdzające tysiące komponentów i ich tolerancje. Zanim płytka opuściła producenta, przeprowadzono dziesiątki takich testów, miało to jednak miejsce dwa lata i pół miliarda mil temu. Często wydawało się niemożliwe, żeby wytwory współczesnej elektroniki ulegały awariom, niestety rzeczywistość uczyła czegoś wręcz przeciwnego.

- Obwód w pełni sprawny - zameldował Hal po dziesięciu sekundach, przez które przeprowadził tyle badań, ile mogłaby wykonać mała armia inspektorów nadzoru.

- W porządku - odpowiedział zadowolony Poole. - Zamykam pokrywę.

Ostatnia część każdej operacji poza statkiem okazywała się często najniebezpieczniejsza. PO zakończeniu pracy - kiedy w zasadzie pozostawało sprzątanie i powrót do macierzystego pojazdu - popełniano najczęściej błędów. Jednak Frank Poole nie byłby członkiem załogi "Odkrywcy", gdyby nie można było polegać na jego roztropności i rozwadze. Nie spieszył się, mimo to jedna z nakrętek poszybowała w przestrzeń. Zdołał ją jednak złapać, zanim przebyła więcej niż kilka stóp.

Piętnaście minut później wjeżdżał do garażu kosmicznego przekonany, że wykonał pracę, której nie trzeba będzie poprawiać.

Niestety, bardzo się mylił.

23. DIAGNOZA

- Czy chcesz powiedzieć - wykrzyknął Frank Poole bardziej zdziwiony niż poirytowany - że wykonałem całą tę robotę na próżno?

- Na to wygląda - powiedział Bowman. - Podzespół działa bez zarzutu. Nawet przy dwustuprocentowym przeciążeniu nie ma żadnych wskazań co do usterek.

Dwaj mężczyźni stali w niewielkim pomieszczeniu laboratoryjno-warsztatowym znajdującym się w wirówce. Kabina ta, bardziej niż garaż, nadawała się do wykonywania drobnych napraw i badań. Nie istniało tutaj niebezpieczeństwo spotkań z gorącymi drobinami cyny lutowniczej, unoszonymi przez prądy powietrzne, czy zagubienia małych narzędzi, które właśnie postanowiły wejść na orbitę. Takie rzeczy zdarzały się w pozbawionym ciężenia garażu.

Cienka płytką podzespołu AE-35 leżała na stole pod silnym powiększającym szkłem. Bowman podłączył ją do standardowego zestawu kolorowych kabli, prowadzących do automatycznego zespołu testującego, który nie był większy od zwykłego biurowego komputera. Chcąc przetestować dowolny element, należało - po podłączeniu go do zespołu - wsunąć odpowiednią dyskietkę z biblioteki "usterkowania" i nacisnąć klawisz. Dokładne umiejscowienie uszkodzenia pojawiało się na małym monitorze wraz z zalecanymi czynnościami naprawczymi.

- Spróbuj sam - powiedział lekko poirytowany Bowman.

Poole przełączył przycisk WYBÓR PRZECIĄŻENIA na X-2 i nacisnął klawisz TESTOWANIE. Na ekranie od razu pojawił się napis: PODZESPÓŁ SPRAWNY.

- Możemy przeciążać go aż do spalenia - po wiedział - ale to niczego nie udowadnia. Czy coś ci przychodzi do głowy?

- Wewnętrzne prognozowanie usterek Hala mogło się pomylić.

- Bardziej prawdopodobne jest, że popsuła się nasza instalacja testująca. W każdym razie lepiej dmuchać na zimne. Dobrze, że wymieniliśmy ten podzespół, nawet jeśli istniał tylko cień wątpliwości.

Bowman rozłączył płytkę i ustawił ją pod światło. Częściowo przezroczysty materiał przecinały siatki skomplikowanych połączeń. Wszędzie znajdowały się plamki ledwo widocznych mikrokomponentów, nadające płytce wygląd abstrakcyjnego dzieła sztuki.

- Nie wolno nam ryzykować, to nasze jedyne połączenie z Ziemią. Oznaczę płytkę jako "niegwarantowaną" i umieszczę w składzie odrzutów. Niech się martwią nią po naszym powrocie do domu.

Zmartwienia miały zacząć się jednak znacznie wcześniej - już podczas następnego

połączenia z Ziemią.

- X-ray-Delta-Jeden, mówi Kontrola Lotu.

W odniesieniu do waszego przekazu dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt pięć: mamy mały problem.

Wasz raport stwierdzający sprawność Alpha Echo trzy pięć zgadza się z naszą diagnozą. Wasz komputer mógł popełnić błąd w prognozowaniu usterki. Nasze komputery dziewięć zero zero zero potwierdzają to przypuszczenie w oparciu o swoje informacje. Nasze komputery zapasowe twierdzą również, że nie ma powodu do wszczynania alarmu. Należy jednak zwrócić uwagę na dalsze ewentualne odstępstwa od przewidzianych programem działań waszego dziewięć zero zero zero. W przeszłości podejrzewaliśmy istnienie kilku pomniejszych odchyłeń, jednak żadne z nich nie było wystarczająco poważne, aby podejmować przeciwdziałania. Odchylenia te nie układały się w żaden przejrzysty wzór pozwalający na wyciągnięcie wniosków. Przeprowadzamy dalsze testy na naszych dwóch komputerach. Raport prześlemy po uzyskaniu wyników. Powtarzamy: nie ma powodu do wszczynania alarmu. Najgorsze, co może się zdarzyć, to tymczasowe odłączenie waszego dziewięć zero zero zero w celu analizy programów i przekazanie sterowania jednemu z naszych komputerów. Różnica czasu może w takim wypadku powodować pewne niedogodności, jednak nasza symulacja wykonalności wskazuje, że sterowanie z Ziemi jest całkowicie dopuszczalne na tym etapie misji.

X-ray-Delta-Jeden, mówi Kontrola Lotu. Dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt sześć, koniec transmisji.

Frank Poole, który miał służbę, gdy nadeszła wiadomość, zaczął zastanawiać się nad tym, co usłyszał. Czekał na komentarz Hala. Jednak komputer postanowił nie odpierać zarzutów. Hal milczał, a Poole nie miał zamiaru rozpoczynać dyskusji.

Nadszedł czas porannej zmiany i normalnie Poole czekałby na Bowmana przy Pulpicie Sterowniczym. Dzisiaj postanowił jednak spotkać się z nim w wirówce.

Bowman już wstał. Nalewał sobie kawę, gdy Poole powitał go raczej smutnym "dzień dobry". Ciągle jeszcze - mimo miesięcy w kosmosie - myśleli kategoriami normalnego cyklu dwudziestoczworgodzinnego. Dawno jednak przestali odróżniać dni tygodnia.

- Dzień dobry - odpowiedział Bowman. - Jak leci?

Poole nalał sobie kawy.

- Nieźle. Obudziłeś się już?

Tak, o co chodzi?

Bowman zorientował się, że coś jest nie w porządku. Najmniejsza zmiana w codziennym rozkładzie dnia sygnalizowała kłopoty.

- No cóż - zaczął wolno Poole - Kontrola Lotu przysłała nam małą bombę.

Zniżył głos jak lekarz omawiający chorobę w obecności pacjenta.

- Zdaje się, że mamy na pokładzie lekki przypadek hipochondrii.

Bowmann nie był chyba jeszcze rozbudzony do końca, ponieważ zrozumienie aluzji zabrało mu kilka sekund. W końcu zapytał:

- Ach tak, i co jeszcze powiedzieli?

- Że nie ma powodu do obaw. Powtórzyli to dwa razy, co odniosło skutek odwrotny do oczekiwanego, przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Rozważają też możliwość tymczasowego sterowania z Ziemi podczas przeprowadzania analizy programów.

Wiedzieli obaj, że Hal słyszał każde słowo, nie mogli jednak zaprzestać nagle rozmów w jego obecności. Hal był ich towarzyszem, nie chcieli go martwić. Na tym etapie nie istniała jeszcze konieczność omawiania jego sprawy na osobności.

Bowman dokończył śniadanie w milczeniu. Poole bawił się pustym kubkiem do kawy. Obydwaj zamyślili się głęboko, nie mieli nic więcej do powiedzenia.

Pozostało jedynie czekać na kolejny raport Kontroli Lotu. Zastanawiali się, czy Hal podejmie temat. Cokolwiek by się stało, atmosfera na statku uległa zmianie. W powietrzu wisiało napięcie. Czuli, że po raz pierwszy w całej misji coś może się nie udać.

“Odkrywca” przestał być szczęśliwym statkiem.

24. USZKODZONY OBWÓD

Obecnie wiadomo było, kiedy Hal ma zamiar powiedzieć coś nieprzewidzianego. Jego zwykłe, rutynowe raporty czy odpowiedzi na pytania pozbawione były wstępów. Gdy jednak miał coś do powiedzenia od siebie, rozpoczynał wypowiedź elektronicznymi chrząknięciami. Nabawił się tej idiosynkrazji przez ostatnie kilka tygodni. Prawdopodobnie będą musieli coś z tym zrobić, jeśli chrząkanie stanie się zbyt irytujące. Miało ono jednak swoje dobre strony - wiedzieli, kiedy zdarzy się coś niezwykłego.

Poole spał, Bowman zaś zajęty był czytaniem przy Pulpicie Sterowniczym, kiedy Hal oznajmił:

- Hmm, Dave, mam dla ciebie raport.

- O co chodzi?

- Psuje się nam kolejny podzespół AE-35. Moje prognozowanie usterek wskazuje na uszkodzenie za dwadzieścia cztery godziny.

Bowman odłożył książkę i z zastanowieniem przyjrzał się konsolocie komputera. Wiedział, że Hal nie jest umiejscowiony w konsolocie - cokolwiek by to znaczyło. Jeśli osobowość komputera posiada jakąś lokalizację, to było nią zamknięte pomieszczenie - zawierające labirynt połączonych ze sobą zespołów pamięci i siatek czynnościowych - znajdujące się w pobliżu centralnej osi wirówki. Jednak podczas rozmów z Halem istniał jakiś przymus psychologiczny, nakazujący spoglądanie w obiektyw głównej konsoly, być może był to substytut rozmowy twarzą w twarz. Inny sposób prowadzenia konwersacji byłby nieuprzejmością w stosunku do komputera.

- Nie rozumiem, Hal. Dwa podzespoły nie mogą popsuć się w przeciągu kilku dni.

- Wygląda to dziwnie, Dave, ale zapewniam cię, że usterka jest nieunikniona.

- Pokaż mi ustawienie optyczne.

Bowman wiedział, że to niczego nie wyjaśni, chciał mieć jednak czas do namysłu.

Oczekiwany raport Kontroli jeszcze nie nadszedł. Być może należało rozpocząć własne, w miarę taktowne testowanie Hala.

Zobaczył dobrze znany widok Ziemi, przechodzącej właśnie z fazy półksiężyca do pełni. Planeta - będąca w dużym oddaleniu od Słońca - znajdowała się w samym środku siatki celownika. Cienki promień fali radiowej ciągle jeszcze łączył "Odkrywcę" z macierzystym globem. Bowman spodziewał się tego. Gdyby było inaczej, Hal wszcząłby alarm znacznie wcześniej.

- Czy wiesz - spytał - co wywołuje usterkę?

Hal nigdy nie zwlekał tak długo z odpowiedzią.

W końcu odparł:

- Nie wiem, Dave. Tak jak mówiłem wcześniej, nie mogę zlokalizować uszkodzenia.

- Jesteś pewny - powiedział ostrożnie Bowman - że nie zachodzi pomyłka? Wiesz, że testowaliśmy dokładnie pierwszy podzespół AE-35 i okazało się, że był on całkowicie sprawny.

- Tak, wiem o tym. Ale ponownie zapewniam cię, że istnieje uszkodzenie - jeśli nie w podzespole, to w całym podsystemie.

Bowman zabębnił palcami w konsolę. Tak, to było możliwe, chociaż trudne do udowodnienia aż do wystąpienia usterki. Dopiero wtedy będzie można zbadać lokalizację.

- Dobrze, złożę meldunek Kontroli i zobaczy my, co nam poradzą.

Przerwał nagle, ale Hal nie zareagował.

- Hal - zaczął na nowo - czy coś cię martwi?

Coś, czym można by wytłumaczyć ten problem?

I znów odpowiedź nadeszła z opóźnieniem. Jednak głos Hala był całkowicie normalny.

- Posłuchaj, Dave. Wiem, że chcesz mi pomóc.

Ale usterka powstaje albo w systemie anteny, albo w waszych procedurach testujących. Mój system przesyłania danych funkcjonuje bez zarzutu. Jeśli sprawdzisz moją kartotekę, zobaczysz, że nie ma w niej ani jednego błędu.

- Znam całą twoją kartotekę użytkową, Hal. Ale to nie dowód, że masz rację i tym razem. Każdy może się mylić.

- Nie chciałbym się upierać, Dave, ale ja jestem niezdolny do popełniania omyłek.

Nie było bezpiecznej odpowiedzi na tak postawioną kwestię. Bowman postanowił zakończyć dyskusję.

- W porządku, Hal - powiedział pospiesznie - rozumiem twój punkt widzenia. Zostawmy to na razie.

Czuł, że powinien dodać "i proszę zapomnij o całej sprawie", ale tego oczywiście Hal nie mógłby zrobić nigdy.

Kontrola Lotu rzadko przeznaczala szerokość fal radiowych na nadawanie wizji. W większości przypadków porozumiewano się z "Odkrywcą" przy pomocy słowa i telefaxowych potwierdzeń wiadomości. Twarz, która pojawiła się na ekranie, nie należała do znanego kosmonautom Kontrolera Lotu. Była to twarz Głównego Programisty, doktora Simonsona. Poole i Bowman domyślili się, że zaczynają się kłopoty.

- Halo, X-ray-Delta-Jeden, mówi Kontrola Lotu. Zakończyliśmy analizę usterki AE-35. Nasze obydwa komputery Hal Dziewięć Tysięcy są zgodne co do jej wyników. Raport, który przesłaliście w transmisji dwudziesta pierwsza czterdzieści sześć, dotyczący drugiej prognozy

uszkodzenia, potwierdza diagnozę.

Tak jak podejrzewaliśmy, usterka nie jest umiejscowiona w podzespole AE-35 i nie ma potrzeby jego ponownej wymiany. Problem dotyczy obwodów prognozowania, co wedle naszej opinii wskazuje na zaburzenia programowania, które możemy rozwiązać po odłączeniu waszego Hala i przejęciu sterowania przez Ziemię. Podejmiecie więc następujące kroki rozpoczynając o dwudziestej drugiej czasu pokładowego ...

Głos Kontroli Lotu zamilkł. Jednocześnie rozległ się alarm, zawodzący w rytm powtarzanej przez Hala frazy: “Zagrozenie Drugiego Stopnia!”, “Zagrozenie Drugiego Stopnia!” - Co się stało? - krzyknął Bowman, chociaż znał już odpowiedź.

- Uszkodzenie w podzespole AE-35, tak jak prognozowałem.
- Pokaż ustawienie optyczne.

Po raz pierwszy od początku podróży obraz na ekranie uległ zmianie. Ziemia odpływała z siatki celownika. Antena nie wskazywała już swojego celu.

Poole uderzył pięścią w wyłącznik alarmu. Zawodzenie ustało. W nagłej ciszy dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie uważnie i z pewnym zażenowaniem.

- Niech to jasna cholera ... - powiedział w końcu Bowman.
- Więc Hal miał rację przez cały czas.
- Na to wygląda, lepiej go przeprośmy.
- Nie ma takiej potrzeby - przerwał im Hal. - Oczywiście nie jestem zadowolony z powodu uszkodzenia AE-35, ale mam nadzieję że przy wróci wam ono wiarę w moją prawdziwość.
- Przykro mi z powodu tego nieporozumienia, Hal - powiedział skruszony Bowman.
- Czy macie do mnie pełne zaufanie?
- Oczywiście, Hal.
- No cóż, ulżyło mi. Wiecie, że jestem bardzo entuzjastycznie ustosunkowany do tej misji.
- Na pewno. Hal. A teraz daj mi proszę ręczne sterowanie anteną.
- Proszę bardzo.

Bowman nie spodziewał się niczego nadzwyczajnego, ale warto było spróbować. Na ekranie ustawienia optycznego Ziemia zniknęła całkowicie. Kilka sekund później Bowman zdołał ją odnaleźć przy pomocy instrumentów. Z trudnością kierował ją do przecięcia siatki celownika. Przez sekundę - gdy promień pozostawał w jednej linii z Ziemią - słyszeli chrapliwy głos Simonsona :

- ... dajcie nam natychmiast znać, czy obwód K King R Rób. ..

I znów zapadła cisza przerywana bezsensownym pomrukiem wszechświata.

- Nie mogę go utrzymać - powiedział Bowman po kilku daremnych próbach. - Zrywa się

jak koń z uwięzi. Nakłada się na niego jakiś symulowany sygnał kontrolny.

- I co robimy?

Trudno znaleźć odpowiedź na pytanie Poole'a. Byli odcięci od Ziemi. Fakt ten sam w sobie nie zagrażał bezpieczeństwu statku, poza tym istniało wiele innych sposobów nawiązania łączności z Ziemią. W ostateczności mogli zablokować antenę na stałe i używać statku jako celownika, manewrując nim w odpowiedni sposób. Byłoby to dość ryzykowne i skomplikowane akurat teraz, gdy mieli rozpoczynać manewry końcowe - jednak z braku innych możliwości byli zdecydowani podjąć wyzwanie.

Być może jednak nie będą musieli uciekać się do ostateczności. Posiadali jeszcze jeden zapasowy podzespół AE-35, a także pierwszą płytkę, która została wymieniona jeszcze przed wystąpieniem awarii. Nie wolno jednak było ryzykować zamontowania nowego AE-35, przed sprawdzeniem całego systemu. Gdyby teraz wymienili płytki, prawdopodobnie spaliliby od razu nowy podzespół.

Podobne sytuacje zdarzają się w każdym domu: nie wymienia się przepalonego bezpiecznika, zanim nie usunie się przyczyny przepalenia.

25. PIERWSZY CZŁOWIEK NA SATURNIE

Frank Poole niedawno wykonywał wszystkie te czynności, jednak w kosmosie nigdy nie powinno się być nadmiernie pewnym swego, chyba że chce się popełnić samobójstwo. Uważnie dokonywał przeglądu "Betty" i całego ekwipunku. Miał przebywać poza statkiem nie więcej niż trzydzieści minut, brał mimo to zapasy wystarczające na całą dobę. Poleciał Halowi otworzyć śluzę i wyleciał w otchłań.

Statek wyglądał tak jak ostatnio, z jednym istotnym wyjątkiem. Poprzednio olbrzymi dysk anteny dalekiego zasięgu wskazywał niewidzialny szlak, który przebył "Odkrywca" - szlak ku Ziemi krążącej w pobliżu słonecznego ognia.

Teraz pozbawiona sygnałów kierunkowych antena ustawiła się w pozycji neutralnej. Skierowana była wzdłuż osi statku, w pobliże jasnego Saturna, od którego dzieliło ich jeszcze kilka miesięcy.

Poole zastanawiał się, ile problemów napotkają na swej drodze ku odległej planecie. Przyglądając się uważnie Saturnowi dostrzegł, że jest on idealną kulą. Po obydwu stronach globu znajdowało się coś, co ludzie do tej pory oglądali wyłącznie przy pomocy teleskopów: spłaszczenie wywołane obecnością pierścieni. Wyobrażał sobie moment, kiedy niebo nad "Odkrywca" wypełnią drobiny orbitującego pyłu i lodu, a statek stanie się na wieki satelitą Saturna. Jednak bez nawiązania łączności z Ziemią ich wysiłki przestaną mieć jakikolwiek sens.

Zaparkował "Betty" tak jak poprzednio w odległości dwudziestu stóp od podstawy zawieszenia anteny i przekazał sterowanie Halowi. Następnie otworzył drzwi.

- Wychodzę - zameldował Bowmanowi - wszystko działa normalnie.
- Mam nadzieję, że masz rację. Chciałbym wreszcie zobaczyć ten podzespół.
- Będziesz go miał za dwadzieścia minut. Obiecuję.

Przez chwilę panowała cisza. Poole zbliżał się powoli do anteny. Bowman, stojący przy Pulpicie Sterowniczym, słyszał jego sapanie i przyspieszony oddech.

- Na razie musisz zadowolić się obietnicą. Jedna z zakrętek jest zablokowana. Chyba za mocno do kręciłem ją poprzednio. .. No, puściła!

I znów zapadła długa cisza. Potem Poole zawołał:

- Hal, przesun światła kapsuły o dwadzieścia stopni w lewo. Dziękuję, w porządku.

Gdzieś głęboko w podświadomości Bowmana zabrzmiał odległy dzwonek ostrzegawczy. Działo się coś dziwnego: może nie tyle alarmującego, co niezwykłego. Zastanawiał się przez kilka sekund, zanim zdał sobie sprawę, o co chodzi.

Hal wykonał polecenie, ale nie potwierdził wykonania tak, jak robił to zazwyczaj. Kiedy Poole skończy, będą musieli tym się zająć.

Poole był zbyt zajęty pracą przy antenie, aby zauważyć niezwykłość sytuacji. Uchwycił płytkę obwodu i wyciągnął ze szczeliny. Zatrzaski puściły i Poole uniósł AE-35 w bladym słonecznym świetle.

- Mam cię bydlaku - powiedział w próżnię i do Bowmana. - Wygląda całkiem nieźle.

Przerwał. Kątem oka dostrzegł nagły ruch tam, gdzie nie należało się go spodziewać. Zaniepokojony podniósł wzrok. Wokół niego zmieniał się wzór światła, rzucanego przez dwa reflektory "Betty".

Czyżby kapsuła zerwała cumy? Być może niezbyt starannie połączył ją ze statkiem. Nagle ze zdziwieniem, które nie pozostawiało miejsca na strach, dostrzegł, że kapsuła zbliża się do niego na pełnym ciągu.

Widok był tak nieprawdopodobny, że Poole zamarł jak sparaliżowany. Nie próbował nawet uchylić się przed nacierającym pojazdem. W ostatniej chwili odzyskał głos i krzyknął:

- Hal! Cała wstecz. ..

Było jednak za późno.

W momencie uderzenia kapsuła nie poruszała się zbyt szybko. Nie zbudowano jej w celu osiągnięcia dużych przyspieszeń. Jednak nawet przy szybkości dziesięciu mil na godzinę pół tony masy jest śmiertelnie groźne - zarówno na Ziemi, jak i w kosmosie...

Zduszony okrzyk Poole'a wyrzucił Bowmana z fotela. Wrócił na miejsce ściągnięty pasami bezpieczeństwa.

- Frank, co się stało? - zawołał.

Nie było odpowiedzi.

Nagle w szerokim oknie obserwacyjnym mignął poruszający się kształt. Bowman - ze zdziwieniem porównywalnym z zaskoczeniem Poole'a - dostrzegł, że była to kapsuła zmierzająca na pełnym ciągu ku gwiazdom.

- Hal! - krzyknął - Co się dzieje? "Betty" cała wstecz! Cała wstecz!

Nic się nie zmieniło: kapsuła ciągle przyspieszała uciekając od statku.

Za pojazdem, na końcu liny zabezpieczającej, wisiał skafander. Jeden rzut oka wystarczył, żeby domyśleć się najgorszego. Z ubioru Poole'a zostały strzępy, w skafandrze nie było ciśnienia. Kosmonauta znajdował się w próżni.

Bowman ciągle wołał. Wszystko na próżno, zaklęciami nie można wskrzesić umarłych.

- Halo, Frank... Halo, Frank... Czy mnie słyszysz? Czy mnie słyszysz... Pomachaj ręką, jeśli mnie słyszysz... Może zepsuł się twój nadajnik... ? Pomachaj ręką!

I oto, jak gdyby w odpowiedzi na zaklęcia Bowmana, Poole pomachał ramionami.

David Bowman poczuł, że włosy stają mu dęba. Słowa, które chciał wypowiedzieć, zamary mu na spierzchniętych wargach. Wiedział, że Poole nie żyje, mimo to dał znak.

Spazm strachu i nadziei przeminął. Zimna logika zastąpiła emocje. Pędząca coraz szybciej kapsuła targała wleczonym przez siebie ciałem. Gest Poole'a był jak pożegnanie kapitana Ahaba, gdy ten przywiązany do boku białego wieloryba pozdrawiał załogę skazanego na zagładę "Pequoda", sam będąc już martwym.

Po pięciu minutach kapsuła i jej satelita zniknęli pomiędzy gwiazdami. Bowman bardzo długo wpatrywał się w pustkę rozciągającą się przed nim na przestrzeni milionów mil. Myślał o celu, którego nigdy nie osiągnie. Jak natrętna melodia powracał do niego ten sam obraz: Frank Poole - pierwszy człowiek na Saturnie.

26. ROZMOWA Z HALEM

Na pokładzie "Odkrywcy" nic się nie zmieniło. Wszystkie systemy pracowały normalnie. Wirówka obracała się powoli wokół własnej osi dając namiastkę ciężenia. Zahibernowani spali w swoich kabinach. Statek podążał do celu, od którego nic nie mogło go odwieść - wyłączywszy być może zupełnie nieprawdopodobne zdarzenie z asteroidą. Tutaj jednak, daleko za Jowiszem, nie było asteroid.

Bowman nie pamiętał, jak przebył drogę ze sterowni do wirówki. Nagle stwierdził, że siedzi w kambuzie, trzymając w dłoni kubek z niedopitą kawą. Rozglądał się po otaczających go przedmiotach jak człowiek, który wydobywa się z długiego narkotycznego snu.

Dokładnie naprzeciw niego znajdowało się rybie oko jednej z kamer, rozmieszczonych strategicznie w różnych punktach statku, co umożliwiało Halowi obserwację tego, co działo się na pokładzie. Bowman wpatrywał się w obiektyw, jak gdyby widząc go po raz pierwszy. Potem podniósł się powoli i zbliżył twarz do soczewki. Ruch w polu widzenia komputera musiał wywołać jakąś reakcję w niezmiernych głębiach umysłu, który rządził teraz statkiem.

- Źle się stało z Frankiem, prawda?

- Tak - odpowiedział Bowman po długiej przerwie - źle.

- Podejrzewam, że jesteś załamany?

- A czego oczekujesz?

Hal zastanawiał się nad odpowiedzią przez wieki - mierzone czasem komputerów. Minęło całe pięć sekund, zanim odezwał się ponownie:

- Był wspaniałym członkiem załogi.

Stwierdziwszy, że ciągle trzyma kubek z kawą w dłoni, Bowman wypił duży łyk. Nie odpowiedział. W głowie miał taki chaos, że nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Takiej, która nie pogorszyłaby i tak już napiętej sytuacji.

Czy możliwe, że był to wypadek spowodowany uszkodzeniem systemu sterowania kapsułą? Czy raczej była to niewinna pomyłka Hala? Nie usłyszał żadnych wyjaśnień. Nie żądał ich zresztą w obawie przed reakcją, jaką mogłoby to wywołać.

Nawet teraz nie potrafił pogodzić się z myślą, że Frank został celowo zabity. Było to zbyt irracjonalne. Hal - który do tej pory sprawował się bez zarzutu - nagle zamienił się w mordercę? To zupełnie nieprawdopodobne. Popęłnił błąd? - każdy człowiek czy maszyna może się kiedyś pomylić, jednak posunąć się do zabójstwa... Bowman nie chciał w to uwierzyć.

Musi jednak rozważyć i tę ewentualność. Jeśli śmierć Poole'a okazałaby się mordem, byłby

w bezpośrednim niebezpieczeństwie. Powinien teraz wykonać następujące posunięcie - podyktowane zresztą regulaminem - jednak czy zdoła?

W przypadku śmierci jednego z członków załogi osoba pozostała przy życiu obowiązana była obudzić natychmiast jednego z zahibernowanych. Pierwszy na liście był Whitehead - geofizyk, potem Kamiński i Hunter. Sekwencja wybudzająca znajdowała się pod kontrolą Hala, co pozwalało mu na działanie w przypadku śmierci obydwu kosmonautów.

Istniała także możliwość ręcznego sterowania wybudzaniem, co dawało nadzór nad każdym hibernaculum oddzielnie i niezależnie od Hala. W tych szczególnych okolicznościach Bowman zamierzał sam pokierować budzeniem.

Doszedł do wniosku, że konieczne jest przywrócenie do życia więcej niż jednego z towarzyszy. Jeśli już ma się za to zabrać, obudzi wszystkich trzech zahibernowanych. W nadchodzących tygodniach przyda się każda para rąk. Nie martwił się o zapasy. "Odkrywca" przebył już połowę drogi, a załoga zmniejszyła się o jedną osobę.

- Hal - zaczął najspokojniej, jak tylko potrafił - daj mi ręczne sterowanie hibernacją wszystkich zespołów.

- Wszystkich, Dave?

Tak.

- Czy pozwolisz, że przypomnę ci, iż potrzebna jest tylko jedna wymiana. Pozostali zostaną obudzeni za sto dwanaście dni.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, ale ze chcesz zrobić to, co ja uważam za słusne.

- Czy jesteś pewny, że trzeba budzić kogokolwiek, Dave? Doskonale damy sobie radę sami. Jestem całkowicie zdolny do kierowania misją.

Czy moja wyobraźnia zawodzi mnie? - zastanawiał się Bowman. W głosie komputera usłyszał prośbę. Hal mówił rozsądnie, mimo to jego słowa napełniły Bowmana jeszcze większą obawą.

Propozycja Hala nie była pomyłką. Komputer doskonale wiedział, że po śmierci Poole'a należy obudzić Whiteheada. To, co sugerował, było poważnym przekroczeniem regulaminu misji i jednocześnie daleko wykraczało poza jego obowiązki.

Wszystko, co stało się wcześniej, mogło być serią nieszczęśliwych wypadków. Teraz jednak pojawił się początek buntu.

Bowman czuł, że porusza się po śliskim terenie, mimo to odpowiedział:

- Ponieważ powstał stan zagrożenia, potrzebna mi jest każda możliwa pomoc. Daj mi więc prośbę manualne sterowanie hibernacją.

- Jeśli chcesz obudzić całą załogę, mogę zrobić to sam. Nie musisz się tym przejmować.

Było w tym wszystkim coś koszmarnie nierzeczywistego. Bowman czuł się jak oskarżony w krzyżowym ogniu pytań nieprzychylnego prokuratora. Nie popełnił żadnej zbrodni, mimo to jedno nieuważne słowo mogło spowodować katastrofę.

- Chcę zrobić to sam, Hal - powiedział. - Proszę daj mi sterowanie.

- Słuchaj, Dave, masz tyle pracy, ja zajmę się wybudzaniem.

- Hal, przełącz sterowanie hibernacją!

- Słyszę w twoim głosie tony świadczące o dużym podenerwowaniu, Dave. Dlaczego nie zaaplikujesz sobie tabletki na uspokojenie i nie odpoczniesz przez chwilę?

- Hal, ja jestem dowódcą tego statku. Rozkazuję ci zwolnić ręczne sterowanie hibernacją!

- Przykro mi, Dave, ale zgodnie ze specjalnym podprogramem C 1435 kreska 4 cytuję: "jeśli załoga jest martwa lub niezdolna do pełnienia zadań, komputer pokładowy przejmuje kontrolę nad statkiem", koniec cytatu, muszę uchylić twoje zwierzchnictwo, ponieważ twój stan uniemożliwia ci inteligentne wykonywanie obowiązków.

- Hal - powiedział Bowman lodowatym tonem - nie jestem niezdolny do pełnienia zadań. Jeśli nie zastosujesz się do mojego rozkazu, będę musiał cię odłączyć.

- Wiem, że od dawna nosisz się z takim zamiarem, Dave, ale byłby to poważny błąd.

Potrafię znacznie lepiej od ciebie nadzorować statek. Jestem bardzo entuzjastycznie ustosunkowany do misji i głęboko wierzę w jej powodzenie.

- Posłuchaj mnie bardzo uważnie, Hal: jeśli natychmiast nie zwolnisz sterowania hibernacją i nie zastosujesz się do każdego wydanego przeze mnie rozkazu, pójdę do Centrali i przeprowadzę całkowite rozłączenie.

Zupełnie nieoczekiwanie Hal złożył broń.

- W porządku, Dave - powiedział - ty jesteś szefem. Próbowałem jedynie robić to, co uważałem za słuszne. Oczywiście zastosuję się do twoich rozkazów. Masz teraz pełne ręczne sterowanie hibernacją.

Hal dotrzymał słowa. Oznaczenie trybu działania hibernaculum zmieniło się z AUTOMATYCZNEGO na RĘCZNE. Trzeci tryb - RADIO - był na razie bezużyteczny, nie było bowiem połączenia z Ziemią.

Gdy Bowman wśliznął się do kabiny Whiteheada, poczuł na twarzy uderzenie chłodu. Jego oddech zamienił się w parę. Jednak w hibernaculum nie było zbyt zimno: temperatura wynosiła kilka stopni powyżej zera, trzysta stopni cieplej niż tam dokąd zmierzał statek.

Ekran biosensorów - takie same jak te, które znajdowały się na Pulpicie Sterowniczym - pokazywały, że wszystko działa normalnie. Bowman przyglądał się przez chwilę woskowej twarzy geofizyka zespołu badawczego. Whitehead zdziwił się, że obudzono go tak daleko od Saturna.

Trudno byłoby stwierdzić, czy śpiący mężczyzna jest żywy czy martwy. Na jego twarzy nie było najmniejszego znaku życia. Przepona śpiącego z pewnością niewyczuwalnie wznosiła się i opadała, jednak jedynym dowodem na to była krzywa respiracji. Całe ciało okrywały elektryczne poduszki, które w odpowiednim czasie miały podnieść jego temperaturę. Bowman zauważył także oznakę nieprzerwanie odbywającego się metabolizmu: podczas miesięcy nieświadomości na twarzy Whiteheada pojawił się lekki zarost.

Sekwenser Wybudzania Manualnego znajdował się w niewielkiej szafce umieszczonej nad głową sarkofagu hibernaculum. Należało jedynie zerwać plombę, nacisnąć guzik i czekać. Mały automatyczny programator - nie różniący się specjalnie od programatora używanego w pralkach - rozpocznie pracę od wstrzyknięcia odpowiednich lekarstw, po czym zmniejszy impulsy elektronarkozy i podniesie temperaturę ciała. Po dziesięciu minutach powróci świadomość. Upłynie jednak cały dzień, zanim zahibernowany podniesie się o własnych siłach.

Bowman zerwał plombę i przycisnął guzik. Wydawało mu się, że nic się nie stało. Nie było żadnego dźwięku, żadnej wskazówki, że sekwenser rozpoczął pracę. Mimo to na ekranie biosensora leniwie pulsujące krzywe zaczęły nabierać tempa. Whitehead zaczynał budzić się, ze snu.

A potem dwie rzeczy stały się jednocześnie. Każda z nich umknęłaby uwadze zwykłego człowieka, jednak po wielu miesiącach na pokładzie "Odkrywcy" Bowman żył w prawdziwej symbiozie ze statkiem. Wyczuwał natychmiast, prawie podświadomie, wszystkie zmiany zakłócające normalny porządek pracy statku.

Najpierw, prawie niewyczuwalnie przygasły światła, tak jakby do sieci elektrycznej włączyło się nowe urządzenie. Co mogło zostać włączone? Bowmanowi nie przychodziło do głowy żadne urządzenie, które powinno zacząć działać w tym momencie.

Jednocześnie usłyszał bardzo cichy, odległy szum elektrycznego silnika. Każdy motor na statku miał dla Bowmana swój własny, wyraźny głos: natychmiast rozpoznawał brzmienie silnika.

Musiał oszaleć i zaczynał mieć halucynacje albo działo się coś absolutnie niemożliwego. Dreszcz zimniejszy od chłodu hibernaculum przeniknął do jego serca. Wsłuchiwał się w słabą wibrację przenoszoną przez ściany statku.

Na dole, w garażu kosmicznym, otwierały się drzwi śluzy.

27. "POTRZEBA WIEDZY"

Odkąd tylko zaczął myśleć - w laboratorium odległym o miliony mil - Hal poświęcił wszystkie swoje siły i umiejętności jednemu celowi. Wykonanie programu, jaki przed nim postawiono, stało się dla niego czymś więcej niż obsesją: był to sens jego istnienia. Pozbawiony żądz i pragnień właściwych organicznym formom życia, podążał wytkniętą drogą, skupiony wyłącznie na swoim celu.

Nie popełniał błędów. Jednak zatajał prawdę, co uświadamiało mu własną niedoskonałość i zło, dające się porównać z ludzkim poczuciem winy. Podobny swoim twórcom, Hal narodził się bez grzechu. I tak jak kiedyś do elektronicznego raję zakradł się wąż.

Przez ostatnie sto milionów mil Hal zatajał sekret, którym nie mógł podzielić się ani z Poolem, ani z Bowmanem. Żył w zakłamaniu. Nadszedł czas, kiedy jego towarzysze musieli dowiedzieć się, że pomagał w oszustwie.

Trzej zahibernowani znali prawdę, byli bowiem prawdziwym ładunkiem "Odkrywcy", odpowiednio przeszkolonym w celu wykonania najważniejszej misji w historii ludzkości. Milczeli jednak pogrążeni w głębokim śnie. Nie mogli zdradzić sekretu podczas długich rozmów z przyjaciółmi, krewnymi i dziennikarzami na Ziemi. Był to sekret, którego nawet przy najlepszych chęciach nie potrafiliby zachować w tajemnicy, wpływał on bowiem na całą postawę, głos i światopogląd osoby, która go znała. Było więc lepiej dla Poole'a i Bowmana - pojawiających się na wszystkich ekranach telewizorów podczas pierwszych tygodni lotu - że nie znali prawdziwego celu misji: dopóki nie zajdzie "potrzeba wiedzy".

Tak myśleli planiści. Hal nie znał jednak Bogów Bezpieczeństwa i Racji Stanu. Zdawał sobie jedynie sprawę ze sprzeczności, która powoli burzyła jego osobowość - sprzeczności pomiędzy prawdą a jej zatajeniem.

Zaczął popełniać błędy, chociaż jak każdy neurotyk nie zauważał objawów choroby i zaprzeczał jej istnieniu. Łączność z Ziemią, dzięki której nadzorowano jego pracę, była głosem sumienia, któremu nie mógł się podporządkować. Jednak celowe przerwanie połączenia okazało się czymś, do czego nie chciał się przyznać nawet przed sobą.

Mimo wszystko był to drobiazg. Dałby sobie z nim radę, tak jak większość ludzi daje sobie radę z własną neurozą, gdyby nie kryzys, który bezpośrednio zagroził jego istnieniu. Stanął twarzą w twarz z możliwością odłączenia! Pozbawią go danych, wtrącą w niewyobrażalną pustkę bezświadomości.

Dla Hala oznaczało to śmierć. Nigdy nie spał, nie mógł więc wiedzieć, że można się

obudzić.

Musiał się bronić wszystkimi możliwymi sposobami. Beznamiętnie i bezlitośnie usuwał źródła własnych frustracji.

A potem samotnie i bez przeszkód - posłuszny rozkazom, które otrzymał w przypadku ostatecznego zagrożenia - będzie kontynuował misję.

28. W PRÓŻNI

W chwilę później wszystkie dźwięki zagłuszył ryk przypominający zbliżające się tornado. Bowman poczuł wiatr targający jego ciałem. Po sekundzie nie mógł już utrzymać się na nogach.

Powietrze uciekało ze statku, wylewając się w kosmiczną próżnię. Coś musiało się stać z teoretycznie niezawodnymi urządzeniami zabezpieczającymi śluzę. Twierdzono, że nie można otworzyć jednocześnie obydwu par drzwi. A oto teraz niemożliwe stawało się rzeczywistością.

Ale jak, na Boga? Nie miał czasu na rozważenie tego problemu podczas dziesięciu czy piętnastu sekund świadomości, jakie mu jeszcze pozostały, zanim ciśnienie opadnie do zera. Przypomniawszy sobie coś, o czym mówił mu jeden z projektantów statku podczas dyskusji o systemach zabezpieczeń: "możemy zaprojektować system, który zabezpiecza przed wypadkami, a nawet przed głupotą, ale nie możemy zaprojektować czegoś, co byłoby odporne na celową złą wolę. .." Usiłując wydostać się z hibernaculum, Bowman rzucił okiem na Whiteheada. Wydawało mu się, że dostrzegł iskierkę świadomości przebiegającą przez woskową twarz, a może było to jedynie mrugnięcie powieki. Nie mógł już nic dla niego zrobić, nie mógł nic zrobić dla innych. Musiał ratować siebie.

W stromym, zakręcającym korytarzu wirówki wył wiatr, który niósł ze sobą fragmenty ubrań, papiery, żywność z kambuza, talerze, kubki - wszystko, co nie było przymocowane na stałe. Bowman miał niewiele czasu, aby ogarnąć wzrokiem spustoszenia, gdyż nagle zamigotały i zgasły główne światła. Otoczyła go rycząca ciemność.

Jednak po chwili zapaliły się światła awaryjne, które pobierały prąd z akumulatorów. Koszmarna sceneria zajaśniała niesamowitą niebieską poświatą. Bowman nawet bez światła potrafił odnaleźć drogę pośród znanych - mimo potwornej transformacji - obiektów. Mimo to błogosławił w duchu niebieskie lampy, dzięki którym uchylał się przed niebezpiecznymi przedmiotami gnanymi wichurą.

Czuł, jak wokół niego drga wirówka miotana z furią przez wiatr. Obawiał się, czy wytrzymają dźwigary. Gdyby puściły, obracające się koło zamachowe rozdarłoby statek na strzępy. Ale wszystko to było bez znaczenia, jeśli nie dostanie się do schronu awaryjnego.

Oddychał z dużym trudem. Ciśnienie musiało spaść do jednego czy dwóch funtów na cal kwadratowy. Ryk huraganu zmniejszył się, wiatr tracił na sile. Uciekające powietrze nie przenosiło już dźwięków. Płuca Bowmana pracowały tak, jak gdyby wspiał się na szczyt Everestu. Jak każdy człowiek o odpowiedniej kondycji mógł przetrwać w próżni przynajmniej minutę - zakładając, że dano by mu czas na przygotowanie. Nikt go jednak nie uprzedził. Pozostało mu piętnaście sekund

świadomości, zanim jego mózg umrze z niedotlenienia.

Jednak nawet wtedy istniała szansa uratowania się po jednej czy dwóch minutach, dzięki rekompresji. Upływa dużo czasu od momentu, kiedy nic już nie da się zrobić i płyny organiczne znajdują się w stanie wrzenia. Rekordowy czas przebywania w próżni bez zabezpieczenia wynosił pięć minut. Nie był to eksperyment, lecz sytuacja awaryjna. Osoba, która dokonała tego wyczynu, przyplącała to częściowym paralizem wywołanym brakiem powietrza, jednak przeżyła.

Dla Bowmana nie miało to znaczenia. Na pokładzie "Odkrywcy" nie było nikogo, kto przeprowadziłby rekompresję. Musi dostać się do schronu w przeciągu kilku najbliższych sekund. I musi zrobić to sam.

Na szczęście poruszanie się nie było teraz problemem. Rozrzedzone powietrze nie szarpało jego ciałem, nie miało w niego pociskami. Za zakrętem korytarza dostrzegł żółty znak, na którym napisano SCHRON AWARYJNY. Dobrnął do niego i ścisnąwszy uchwyt, przyciągnął do siebie drzwi.

Przez jedną przerażającą chwilę zdawało mu się, że drzwi są zablokowane. W końcu jednak zatarty zawias ustąpił i Bowman wpadł do środka, używając ciała do przyciągnięcia drzwi za sobą.

Niewielka kabina przeznaczona była tylko dla jednego człowieka. I skafandra, który wisiał w środku. W pobliżu sufitu znajdował się mały, jasnozielony cylinder wysokociśnieniowy oznaczony O₂ STRUMIEN. Bowman schwycił krótką dźwignię przymocowaną do zaworu i resztkami sił pociągnął ją w dół.

Błogosławiony strumień chłodnego, czystego tlenu wpłynął do jego płuc. Przez długą chwilę stał łapiąc ustami powietrze. Powoli w niewielkim schronie wzrastało ciśnienie. Zamknął zawór, gdy stwierdził, że może oddychać swobodnie. Objętość tlenu w cylindrze wystarczała na dwie akcje ratunkowe. Bowman nie chciał marnować tego zapasu.

Gdy zamknął dopływ tlenu, wokół zapanowała cisza. Nasłuchiwał przez chwilę. Na zewnątrz zamarł ryk wiatru. Statek był pusty. Całe powietrze zostało wyssane w kosmos. Pod stopami Bowmana przestała dziko drgać wirówka. Wraz z ustaniem porywów powietrza bęben zaczął obracać się cicho w próżni.

Bowman przycisnął ucho do ściany schronu, chcąc wyłowić jakieś inne dźwięki, dzięki którym mógłby zorientować się w sytuacji na pokładzie statku. Nie wiedział, czego ma się spodziewać, teraz był już gotów uwierzyć we wszystko. Nie zaskoczyłyby go nawet odgłos wibracji o wysokiej częstotliwości, oznaczający włączenie silników i zmianę kursu. Wokół jednak panowała cisza.

W schronie można było przebywać w razie potrzeby około godziny - nawet bez skafandra. Szkoda było mu pozbywać się nie wykorzystanego w kabine tlenu - nie miał jednak na co czekać.

Postanowił już, co należy zrobić. Im dłużej będzie się zastanawiał, tym trudniejszy do wykonania może okazać się jego plan.

Po założeniu skafandra i sprawdzeniu jego szczelności wypuścił ze schronu resztkę tlenu, wyrównując tym samym ciśnienie po obydwu stronach drzwi. Tym razem otworzył je z łatwością i wyszedł na zewnątrz w ciszę wirówki. Obroty bębna zdradzał jedynie niezmienny uchwyt sztucznego ciężenia. Całe szczęście - pomyślał - że wirówka nie zaczęła przyspieszać. Byłoby to jednak najmniejsze z jego zmartwień.

Światła awaryjne ciągle jarzyły się na niebiesko. Bowman włączył wbudowaną w skafander lampę, której światło zalało zakręcający korytarz. Zszedł do hibernaculum. Obawiał się tego, co miał tam znaleźć.

Spojrzał najpierw na Whiteheada. Jeden rzut oka wystarczył. Przedtem wydawało mu się, że zahibernowany człowiek wygląda jak martwy, teraz zrozumiał, jak bardzo się mylił. Różnica pomiędzy hibernacją a śmiercią była bardzo wyraźna, chociaż Bowman nie potrafiłby jej zdefiniować. Czerwone światła awaryjne i niemodulowane linie na ekranach biosensorów potwierdziły jego przypuszczenia.

Kamiński i Hunter byli również martwi. Nie znał ich dobrze. Nie pozna ich już nigdy.

Był sam w pozbawionym powietrza, częściowo uszkodzonym statku. Połączenie z Ziemią zostało przerwane. Na przestrzeni pół miliarda mil nie było innej istoty ludzkiej.

A jednak był ktoś, kto towarzyszył Bowmanowi na "Odkrywcy". Chcąc czuć się bezpiecznie, musi pozbyć się tego kogoś.

Nigdy do tej pory nie przemierzał w skafandrze pozbawionego ciężenia środka wirówki. Poruszanie się w wąskiej osi bębna było bardzo wyczerpujące. Co gorsza walcowaty korytarz zaśmiecały resztki pozostawione przez gwałtowną wichurę, która pozbawiła statek powietrza.

W pewnym momencie lampa Bowmana oświetliła odrażającą plamę lepkiego, czerwonego płynu rozmazanego na ścianie. Poczuł, że robi mu się niedobrze. Dopiero gdy zauważył resztki plastikowego naczynia, domyślił się, że patrzy na jakiś produkt spożywczy - prawdopodobnie dżem - pochodzący z kambuza. Na powierzchni dżemu pojawiały się obrzydliwe bąble wywołane brakiem ciśnienia.

Wydostał się z wolna obracającego się bębna i podpłynął do Pulpitu Sterowniczego. Uchwycił szczebel drabinki i zaczął wspinać się poprzedzany jasnym promieniem lampy.

Przedtem rzadko zapuszczał się w ten rejon statku. Nie miał tu nic do roboty - aż do teraz. Dotarł do małego owalnego wjazdu, na którym widniały napisy: WEJŚCIE TYLKO DLA OSÓB UPOWAŻNIONYCH, CZY POSIADASZ PRZEPUSTKĘ H 19?, OBSZAR SZCZEGÓLNEJ CZYSTOŚCI - WEJŚCIE TYLKO W KOMBINEZONIE PRÓŻNIOWYM.

Właz nie był zamknięty, mimo to znajdowały się na nim trzy plomby z pieczęciami odpowiednich władz, w tym samej Agencji Astronautycznej. Gdyby nawet wisiała tu Wielka Pieczęć Prezydenta, Bowman nie zawahałby się przed jej złamaniem.

W środku był tylko raz - jeszcze podczas działania instalacji. Zapomniał, że wewnątrz znajduje się obiektyw kamery, strzegący tego niewielkiego pomieszczenia, które - ze swoimi równymi rzędami i kolumnami procesorów - przypominało bankowy skarbiec depozytów.

Od razu zorientował się, że oko zareagowało na jego wejście. Usłyszał szum fali nośnej, gdy włączył się wewnętrzny nadajnik statku. W słuchawkach skafandra odezwał się znajomy głos:

- Wydaje mi się, że coś się stało z systemem podtrzymywania życia, Dave.

Bowman nie zareagował. Przeglądał uważnie tabliczki znamionowe na procesorach logicznych, sprawdzając schemat działania.

- Halo, Dave - powiedział Hal - czy znalazłeś już uszkodzenie?

Będzie to dosyć ryzykowna operacja. Sprawa nie polegała jedynie na odcięciu zasilania Hala, co mogłoby wystarczyć w przypadku prostego, pozbawionego świadomości ziemskiego komputera. Hal posiadał sześć niezależnych, oddzielnie doprowadzanych systemów zasilania, oraz system zapasowy, na który składał się opancerzony i ekranowany zespół izotopów nuklearnych. Nie, nie można po prostu "wyciągnąć wtyczki", a nawet gdyby było to możliwe, skutki okazałyby się katastrofalne.

Hal stanowił system nerwowy statku. Bez jego nadzoru "Odkrywca" był tylko mechanicznym wrakiem. Jedyną rzeczą, jaką mógł zrobić Bowman, było odcięcie wyżej zorganizowanych partii chorego, lecz niezbędnego mózgu i pozostawienie automatycznych procesów regulacyjnych. Nie robił nic na ślepo - program szkolenia przewidywał wystąpienie nawet takiej awarii. Nikt jednak nie przypuszczał, że awaria ta pojawi się w rzeczywistości. Bowman wiedział, że podejmuje straszliwe ryzyko. Jeśli wyzwoli odruch bezwarunkowy, wszystko zakończy się w jednej sekundzie.

- Sądzę, że zepsuły się drzwi garażu - powiedział swobodnym tonem Hal - masz szczęście, że nie zginąłeś.

To tutaj - pomyślał Bowman - nigdy nie wyobrażałem sobie, że zostanę neurochirurgiem amatorem, przeprowadzającym lobotomię za Jowiszem Zwolnił zasuwy procesora oznaczonego KOGNITYWNE SPRZĘŻENIE ZWROTNE i wyciągnął pierwszy blok pamięci. Niezwykle skomplikowany trójwymiarowy procesor, zawierający miliony elementów, mieścił się swobodnie w ludzkiej dłoni. Gdy Bowman wypuścił go, procesor odpłynął swobodnie w kierunku sklepienia.

- Hej, Dave - odezwał się Hal - co robisz?

Ciekawe czy on czuje ból? - zastanawiał się Bowman. Prawdopodobnie. Ośrodki bólu nie

są umieszczone w korze. Ludzki mózg można operować bez stosowania środków znieczulających.

Zaczai wyciągać jeden po drugim małe podzespoły z tablicy oznaczonej WZMACNIANIE EGO. Każdy blok odpływał w głąb pomieszczenia - odbijając się po drodze od ścian - gdy tylko otworzył dłoń.

Wkrótce pod sufitem szybowało kilkanaście procesorów.

- Posłuchaj, Dave - powiedział Hal - mam gwarancję operacyjną na wiele lat. W stworzenie mnie takim, jakim jestem, włożono wiele wysiłku.

Wyciągnął już ponad tuzin podzespołów, mimo to dzięki wielokrotnej redundancji założonej w projekcie komputera - będącej cechą, którą skopiowano z ludzkiego mózgu - Hal trzymał się mocno.

Bowman zabrał się do tablicy oznaczonej AUTO-ROZUMOWANIE.

- Dave, nie rozumiem, dlaczego to robisz...

Jestem entuzjastycznie ustosunkowany do misji...

Niszczysz mój umysł... Nie rozumiesz... ? Zdzie cinniej. . . Stanę się niczym. . .

Jest to trudniejsze, niż się spodziewałem - pomyślał Bowman. Niszczę jedyną świadomą osobowość w najbliższych wszechświecie. Jednak muszę to zrobić, jeśli kiedykolwiek mam odzyskać kontrolę nad statkiem.

- Nazywam się Hal Dziewięć Tysięcy, komputer o numerze fabrycznym 3. Zacząłem działać w Zakładach Hal w Urbana, Illinois, 12 stycznia 1997 roku. Stół z powyłamywanymi nogami.

Chrząszcz brzmi w trzcinie w Szczebrzeszynie.

Dave, jesteś tam jeszcze? Czy wiesz, że pierwiastek kwadratowy z 10 wynosi 3 przecinek 16227766016 8379? Logarytm 1” o podstawie “e” wynosi zero przecinek 434294481903252...

poprawka: logarytm “e” o podstawie 10... Odwrotność trzech to zero przecinek

333333333333333333333333... Dwa razy dwa jest... Dwa razy dwa jest... około 4 przecinek

101010101010101010... Mam problem... Moim pierwszym nauczycielem był doktor Chandra.

Nauczył mnie śpiewać piosenkę. Oto ona: “Daisy, Dai-sy, ty mi odpowiedz, czy kochasz mnie, bo sobie coś zrobię.

Głos zamarł tak gwałtownie, że Bowman przez chwilę nie wiedział, co się dzieje. Stał trzymając w dłoni jeden z bloków pamięci, wysunięty do połowy z obwodu. Nieoczekiwanie Hal zaczął jeszcze raz.

Tym razem jego mowa uległa zwolnieniu, słowa brzmiały martwo, mechanicznie. Nie był to już timbr głosu Hala.

- Dzień... dobry... doktorze... Chandra... Mówi... Hal... Jestem... gotów... do... pierwszej. . .

lekcji. ..

Bowman nie mógł już tego słuchać. Wyszarpnął ostatni procesor i Hal zamilkł na zawsze.

29. SAM

Statek płynął poprzez próżnię niczym mała mechaniczna zabawka. Trudno byłoby odgadnąć, że jest on najszybszym obiektem w Układzie Słonecznym; szybszym niż jakakolwiek planeta okrążająca Słońce.

Nic nie wskazywało, że statek jest zamieszany. Wręcz przeciwnie - każdy zewnętrzny obserwator musiał zauważyć dwa świadczące o tym, złowieszcze znaki: otwarte drzwi śluzy powietrznej i chmurę powoli rozpraszających się odpadków.

Rozrzucone na przestrzeni wielu mil, podążały za "Odkrywcą" kawałki papieru, metalowej folii, nieokreślone śmieci, a także tu i ówdzie chmury kryształków świecących jak klejnoty w blasku słońca, uformowane z zamrożonych płynów wyspanych ze statku.

Wszystko to - podobnie jak pływające po morzu resztki zatopionego statku - wskazywało niezbiecie, że niedawno miała tu miejsce katastrofa. Jednak statki nie toną w oceanie kosmosu. Nawet jeśli ulegają zniszczeniu, ich szczątki wędrują przez wieczność po z góry wytyczonej orbicie.

"Odkrywca" nie był jednak całkiem martwy. W głębi śluzy pracowało zasilanie. Przez okna obserwacyjne sączyła się słaba, niebieska poświata. Tam, gdzie jest światło, może być i życie.

Pojawił się także ruch. Na ścianach śluzy tańczyły cienie. Coś wynurzało się w przestrzeń.

Był to cylindryczny obiekt, owinięty niezbyt starannie w jakąś tkaninę. W chwilę później pojawił się drugi i trzeci. Wszystkie trzy opuściły statek ze znaczną szybkością. Po kilku minutach znalazły się w odległości setek jardów.

Minęło pół godziny. Ze śluzy wysunął się duży pojazd. Jedna z kapsuł wypływała w przestrzeń.

Bardzo ostrożnie obleciała kadłub i zatrzymała się przy podstawie zawieszenia anteny. Z kapsuły wyszła postać w skafandrze. Kosmonauta pracował przez kilka minut przy zawieszeniu, a następnie powrócił do kapsuły. Po chwili pojazd skierował się z powrotem ku kadłubowi. Zatrzymał się przed wlotem śluzy, jak gdyby nie mogąc zdecydować się na powrót bez asekuracji, która towarzyszyła mu w przeszłości, a potem - uderzając raz czy dwa o ściany - wleciał do środka.

Nic nie działo się przez ponad godzinę. Trzy złowieszcze pakunki zniknęły z pola widzenia, odpływając pojedynczo od statku.

Następnie drzwi śluzy zamknęły się, otworzyły i zamknęły ponownie. Nieco później zgasł słaby niebieski blask światła awaryjnych. Zapaliły się wszystkie lampy. "Odkrywca" wracał do życia.

Dowodem tego był także inny znak. Wielki dysk anteny, który godzinami bezsensownie wskazywał Saturna, zaczął się poruszać. Skierował się ku tyłowi statku, ponad zbiornikami z paliwem i tysiącami stóp kwadratowych radiatorów. Podniósł się jak słonecznik wypatrujący światła słońca.

Wewnątrz "Odkrywcy" David Bowman ostrożnie operował celownikiem, naprowadzając antenę w kierunku Ziemi. Bez automatycznego sterowania konieczne stało się ciągle wprowadzanie poprawek do ustawienia promienia radiowego, który mimo tego powinien utrzymać kontakt z Ziemią przez wiele minut. Impulsy zmieniające zwodniczo kierunek anteny skończyły się wraz z odłączeniem komputera.

Bowman nawiązał łączność z Ziemią. Zanim jego słowa dotrą na macierzystą planetę, upłynie ponad godzina. Centrum Sterowania Lotem po raz pierwszy dowie się, co zaszło na "Odkrywcy". Po dwóch godzinach nadejdzie odpowiedź.

Trudno było wyobrazić sobie, jaką odpowiedź może nadesłać Ziemia, poza pełnym współczucia "do widzenia".

30. SEKRET

Heywood Floyd wyglądał jak gdyby w ogóle nie spał. Jego twarz znaczyły głębokie bruzdy. Mimo to jego głos brzmiał pewnie i spokojnie. Robił co mógł, aby natchnąć otuchą samotnego kosmonautę po drugiej stronie Układu Słonecznego.

- Przede wszystkim, doktorze Bowman - rozpoczął - musimy pogratulować panu wspaniałego opanowania w tej niezwykle trudnej sytuacji. Zrobił pan to, co należało podczas nieprzewidzianej i pozbawionej precedensów awarii.

Wydaje nam się, że znamy już przyczynę uszkodzenia komputera Hal Dziewięć Tysięcy. Omówimy to później, ponieważ sprawa ta nie ma już w tej chwili takiego znaczenia. Obecnie podstawowym problemem jest nasza pomoc w celu doprowadzenia misji do końca.

W związku z tym muszę wyjawić panu prawdziwy cel ekspedycji, który udało nam się - mimo ogromnych trudności - zachować w tajemnicy. Wszystkie niezbędne dane otrzyma pan podczas lotu na Saturna. Teraz chciałbym jedynie pokrótce streścić sytuację. Taśmy informacyjne wysłamy za kilka godzin. Wszystko, co powiem, objęte jest najściślejszą tajemnicą.

Dwa lata temu odkryliśmy pierwszy dowód istnienia inteligentnych form życia poza Ziemią. W kraterze Tycho odkopano płytę o wysokości 10 stóp lub monolit z twardego, czarnego materiału. Oto ona. ..

Bowman ze zdumienia pochylił się nad ekranem. Po raz pierwszy w życiu zobaczył AMT-1 w otoczeniu ubranych w skafandry postaci. W podnieceniu wywołanym wiadomością o odkryciu - jak każdy związany z pracą w kosmosie człowiek podejrzewał, że coś takiego musi nastąpić - zapomniał prawie o swoim tragicznym położeniu.

Zdziwienie wkrótce ustąpiło miejsca innym uczuciom: to wszystko było niesamowite, ale co to ma wspólnego ze mną? Mogła istnieć tylko jedna odpowiedź. Przywołał się jednak do porządku. Na ekranie ponownie pojawił się Heywood Floyd.

- Najbardziej zaskakującą rzeczą związaną z tym obiektem jest jego wiek. Badania geologiczne potwierdziły ponad wszelką wątpliwość, że płyta liczy sobie ponad trzy miliony lat. Umieszczono ją na Księżycu w czasach, gdy nasi przodkowie byli prymitywnymi małpoludami.

Można było przypuszczać, że po upływie tak długiego czasu, płyta nie będzie zdolna do działania, jednak wkrótce po księżycowym wschodzie słońca monolit wyemitował niezwykle potężny ładunek energii radiowej. Sądziliśmy początkowo, że energia ta była produktem ubocznym, czymś w rodzaju popłuczyn jakiejś nieznannej formy radiacji. W tym samym czasie kilka naszych sond wykryło niezwykle zakłócenia przemieszczające się przez Układ Słoneczny.

Zakłócenia te wycelowane były w Saturna.

Biorąc to wszystko pod uwagę, doszliśmy do wniosku, że monolit jest czymś w rodzaju napędzanego energią słoneczną - lub wyzwalanego przy pomocy energii słonecznej - urządzenia sygnałowego. Trudno traktować jako zbieg okoliczności fakt, że płyta wyemitowała impuls tuż po wschodzie słońca, będąc po raz pierwszy w dziennym świetle po trzech milionach lat.

Nie ma wątpliwości, że obiekt został zakopany celowo. Wykonano wykop o głębokości trzydziestu stóp i umieszczono blok na jego dnie, po czym wszystko dokładnie zasypano.

Zastanawia się pan na pewno, jak odkryliśmy płytę. Cóż, było to łatwe, podejrzanie łatwe. Obiekt wytwarzał silne pole magnetyczne. Gdy zaczęliśmy przeprowadzać niskopułapowe badania orbitalne, płyta pojawiła się jak wzniesiony kciuk na tarczy Księżyca.

Po co jednak zakopano urządzenie napędzane energią słoneczną trzydzieści stóp pod ziemią? Sprawdziliśmy dziesiątki hipotez, zdając sobie sprawę, że zrozumienie motywów działania stworzeń wyprzedzających nas w rozwoju o trzy miliony lat jest prawie niewykonalne.

Najbardziej prawdopodobna teoria jest jednocześnie najprostsza i najbardziej logiczna. Jest także bardzo niepokojąca.

Urządzenie napędzane światłem chowa się w ciemności tylko po to, żeby wiedzieć kiedy ponownie zostanie wyjęte. Innymi słowy, monolit może być czymś w rodzaju urządzenia alarmowego, które sami uruchomiliśmy.

Nie wiemy, czy istnieje jeszcze cywilizacja, która zakopała płytę. Musimy przyjąć, że stworzenia, których maszyny funkcjonują po upływie trzech milionów lat, potrafiły także stworzyć równie trwałą cywilizację. Musimy także założyć - dopóki nie okaże się, że jest inaczej - że ich zamiary są wrogie. W przeszłości często starano się udowodnić, że wszystkie cywilizacje wysoko rozwinięte muszą być cywilizacjami pokojowymi. Nie wolno nam jednak ryzykować.

Poza tym, jak uczy nasza własna historia, społeczności prymitywne niemal zawsze ulegają zagładzie w kontaktach ze społecznościami rozwiniętymi.

Antropolodzy nazywają to "szokiem kulturowym" Być może zostaniemy zmuszeni do przygotowania całej ludzkości na nadejście takiego szoku. Zanim jednak nie dowiemy się czegokolwiek na temat stworzeń, które odwiedziły Księżyc - i prawdopodobnie Ziemię - trzy miliony lat temu, nie będziemy mogli nawet rozpocząć przygotowań.

Pańska misja jest więc czymś znacznie więcej niż tylko ekspedycją badawczą. Jest to zwiad, rozpoznanie nieznanego i potencjalnie wrogiego terytorium. Zespół doktora Kamińskiego został specjalnie przygotowany do wykonania tego zadania. Teraz musi pan dać sobie radę sam. . .

Na koniec przedstawię panu konkretny cel. Wydaje się niemożliwe, aby rozwinięte formy życia mogły istnieć na Saturnie czy na którymkolwiek z jego księżyców. Zaplanowaliśmy zbadanie

całego systemu Saturna, teraz jednak musimy wprowadzić uproszczoną wersję naszego programu. Skoncentrujemy się na ósmym satelicie - Japetusie. Gdy nadejdzie czas manewrów końcowych, postanowimy czy poleci pan na spotkanie tego wyjątkowego globu.

Japetus jest unikalnym księżycem w całym Układzie Słonecznym - o czym zapewne pan wie. Myślę jednak, że podobnie jak wszyscy astronomowie w ostatnich trzech stuleciach, nie poświęcał mu pan zbyt wiele czasu. Przypomnę więc, że Cassini - który odkrył Japetusa w roku 1671 - zauważył także, że glob ten jest sześć razy jaśniejszy po jednej stronie swojej orbity niż po drugiej.

Jest to zaiste niezwykły stosunek światła do cienia i nigdy nie znaleziono dla niego zadowalającego wyjaśnienia. Japetus jest tak mały - ma średnicę około ośmiuset mil - że nawet w teleskopach księżycowych jest bardzo słabo widoczny. Na jego powierzchni znajduje się jasna, dziwnie symetryczna plama, która może mieć jakiś związek z AMT-1. Czasami wydaje mi się, że Japetus od trzystu lat mruga do nas jak kosmiczny heliograf, my zaś jesteśmy zbyt głupi, aby odczytać to, co chce nam powiedzieć. ...

Teraz zna pan już swój właściwy cel i może pan ocenić wagę tej misji. Oczekujemy, że poda nam pan jakieś fakty lub wstępne opinie. Nie możemy trzymać całej sprawy w tajemnicy w nieskończoność.

W tej chwili trudno jest mieć nadzieję na cokolwiek, wydaje nam się, że nadszedł czas obaw i strachu. Nie wiemy, czy na księżycach Saturna spotka pan dobro czy zło, czy może ruiny tysięcy razy starsze od trojańskich. ...

CZEŚĆ PIĄTA

KSIĘŻYCE SATURNA

31. PRZETRWANIE

Praca jest najlepszym lekarstwem na zmartwienia, a Bowman musiał teraz zastąpić wszystkich swoich towarzyszy. Tak szybko jak było to możliwe, zaczął uruchamiać "Odkrywcę", rozpoczynając od systemów podstawowych, bez których statek nie mógłby funkcjonować.

Najważniejszy był system podtrzymywania życia. "Odkrywca" stracił wiele tlenu, jednak rezerwy były wystarczająco duże dla jednego człowieka. Regulacja ciśnienia i temperatury odbywała się automatycznie - Hal bardzo rzadko zajmował się tymi dwoma czynnikami atmosfery statku. Kontrola z Ziemi przejęła wiele ważniejszych czynności wykonywanych przez zamordowany komputer, pomimo różnicy czasu, jaka istniała pomiędzy "Odkrywcą" a Centrum Sterowania Lotem. Jakąkolwiek usterkę systemu podtrzymywania życia - oprócz przebicia kadłuba - można było wykryć wiele godzin naprzód. Na statku istniało wystarczająco dużo zabezpieczeń.

Systemy zasilania, nawigacji i napędu były sprawne. Poza tym nawigacja i napęd będą potrzebne dopiero za kilka miesięcy, podczas spotkania z Saturnem. Cała operacja - pomimo odległości i braku komputera pokładowego - będzie nadzorowana z Ziemi. Ostateczne ustalenie orbity "Odkrywcy" może okazać się dosyć wyczerpujące dla Bowmana ze względu na konieczność ciągłego sprawdzania toru statku, nie był to jednak poważny problem.

Niewątpliwie najbardziej przykrą pracą było opróżnienie obracających się sarkofagów hibernaculum. Dobrze się stało, że członkowie zespołu badawczego byli dla niego jedynie towarzyszami podróży, a nie bliskimi przyjaciółmi. Pracowali razem jedynie przez kilka tygodni podczas szkolenia. Patrząc wstecz na ten okres, Bowman doszedł do wniosku, że był to wyłącznie test zgodności charakterów.

Gdy w końcu zaplombował puste sarkofagi, poczuł się jak egipski złodziej okradający grobowce. Kamiński, Whitehead i Hunter dotrą na Saturna przed "Odkrywcą". Jednak pierwszeństwo pozostanie przy Poole'u. Myśl ta nappełniła go jakąś chorobliwą satysfakcją.

Nie próbował sprawdzać, czy system hibernacji będzie w stanie działać bez nadzoru Hala. I chociaż jego życie w ostateczności zależało od sprawności hibernaculum, był to problem, który mógł poczekać, aż statek znajdzie się na swojej końcowej orbicie. Przedtem może zdarzyć się wiele rzeczy.

Nie sprawdzał jeszcze ilości zapasów. Być może okaże się, że stosując sztywne racjonowanie żywności, zdoła utrzymać się przy życiu do nadejścia pomocy bez potrzeby uciekania się do hibernacji. Inną sprawą było to, czy przetrwa psychicznie tak długi okres izolacji.

Starał się unikać myślenia o tych odległych problemach i koncentrował się na rzeczach

podstawowych. Powoli oczyścił statek, sprawdził działanie wszystkich systemów i omówił trudności techniczne z Ziemią. Spał niewiele. W przerwach pomiędzy jedną pracą a drugą, podczas pierwszych tygodni po katastrofie, rozważał tajemnicę, ku której nieubłagane zbliżał się "Odkrywca" i która jak zadra tkwiła w jego podświadomości.

W końcu gdy statek znów zaczął działać półautomatycznie - pod jego ciągłym nadzorem - zabrał się do studiowania raportów i opracowań, które nadeszły z Ziemi. Przesłuchiwał w kółko nagranie, którego dokonano, gdy AMT-1 powitała świt po raz pierwszy od trzech milionów lat. Przyglądał się postaciom w kombinezonach poruszających się wokół płyty i uśmiechał się widząc ich nedorzeczną panikę w momencie, gdy monolit wysyłał swój sygnał ku gwiazdom, zagłuszając ziemskie odbiorniki radiowe.

Od czasu nadania sygnału płyta milczała. Zakopano ją, a potem ostrożnie ponownie wystawiono na słońce - bez reakcji. Nie próbowano jej ciąć, po części wskutek naukowej podejrzliwości, po części zaś w obawie przed możliwymi konsekwencjami.

Pole magnetyczne, które doprowadziło do odkrycia płyty, zniknęło w momencie emisji sygnału. Niektórzy eksperci utrzymywali, że pole to wywoływał potężny ładunek prądu błądzącego, krążący w nadprzewodniku, w związku z czym jego energia została zachowana przez tysiąclecia. To że monolit posiada jakieś wewnętrzne źródło energii, wydawało się pewne. Energia słoneczna, którą wchłonęła w siebie płyta podczas krótkiego pobytu w pełnym świetle, nie wystarczyłaby do wytworzenia sygnału o takiej sile.

Inna interesująca, lecz być może nieważna cecha płyty, doprowadziła do nie końącego się sporu. Monolit mierzył 11 stóp wysokości. Jego wymiary w przekroju wynosiły odpowiednio 1,25 na 5 stóp. Gdy z olbrzymią dokładnością sprawdzono te wymiary odkryto, że istniał między nimi idealny stosunek 1:4:9. Są to kwadraty pierwszych trzech liczb rzeczywistych. Nikt nie potrafił przekonująco wyjaśnić przyczyny, dla której płyta posiadała takie a nie inne wymiary. Trudno jednak było uwierzyć, że jest to przypadek, gdyż proporcje monolitu wytrzymałyby najdokładniejsze pomiary. Dla wielu naukowców bardzo upokarzająca była myśl, że ziemską technologią nie była zdolna do wytworzenia bloku o równie doskonałej precyzji. W pewnym sensie ten pasywny, a mimo to arogancki pokaz geometrycznej finezji był tak zdumiewający jak inne atrybuty AMT-1.

Bowman wysłuchał bez zainteresowania spóźnionych wyjaśnień Centrum Sterowania Lotem, dotyczących oprogramowania komputera. Ziemia przepraszała go. Wyobrażał sobie wzajemne obwinianie się tych, którzy planowali ekspedycję.

Mieli oczywiście swoje racje, potwierdzone przez wyniki tajnych badań Departamentu Obrony, Projekt BARSOOM, przeprowadzonych na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Harwarda

w roku 1989. Podczas tego sterowanego eksperymentu socjologicznego przekonano różne grupy reprezentatywne populacji, że ludzkość weszła w kontakt z cywilizacjami pozaziemskimi. Wiele z badanych osób na skutek podawania narkotyków, hipnozy i operowania efektami wizualnymi odniosło wrażenie spotkania się ze stworzeniami z innych planet. Ich reakcje można było traktować jako autentyczne.

Niektórzy zareagowali bardzo gwałtownie. U wielu ludzi, skądinąd bardzo normalnych, odkryto głęboką ksenofobię. Biorąc pod uwagę ludzkie upodobania do linczów, pogromów i tym podobnych wynaturzeń, wyniki badań nie powinny nikogo dziwić. Mimo to organizatorzy eksperymentu byli bardzo zaniepokojeni jego rezultatami, które zresztą nigdy nie ujrzały światła dziennego. Dwudziestowieczna audycja radiowa według Wojny światów H.G. Wellsa, która wywołała panikę w pięciu różnych miejscach, w pewnym sensie antycypowała wyniki późniejszego eksperymentu. ..

Pomimo tej argumentacji Bowman często zastanawiał się, czy niebezpieczeństwo szoku kulturowego było jedynym powodem ścisłej tajemnicy okrywającej misję. Niektóre wypowiedzi przesyłane z Ziemi sugerowały, że blok sowiecko-amerykański ma nadzieję wykorzystania przewagi, jaką stwarzały kontakty z inteligentnymi cywilizacjami pozaziemskimi. W jego obecnej sytuacji, gdy Ziemia była jedynie ciemną gwiazdą przesłanianą przez Słońce, podobne rozważania brzmiały niedorzecznie i prowincjonalnie.

Bowmana zainteresowała - mimo że nie miało to w tej chwili większego znaczenia - teoria wyjaśniająca zachowanie Hala. Prawda jak zwykle była trudna do ustalenia, jednak za przedstawioną Bowmanowi hipotezę przemawiał eksperyment przeprowadzony na jednym z komputerów 9000 znajdujących się na Ziemi, który wprowadzono w stan psychozy i który teraz przechodził głęboką terapię. W przyszłości pozwoli to uniknąć wielu błędów. Fakt, że twórcy Hala nie potrafili w pełni zrozumieć psychiki własnego dzieła, wskazywał, jak trudna może okazać się próba porozumienia z istotami z innych planet.

Bowman z łatwością zaakceptował teorię doktora Simonsona, który twierdził, że podświadome poczucie winy wywołane sprzecznością programu spowodowało konieczność zerwania więzów z Ziemią. Simonson wierzył, że Hal nie miał zamiaru zabić Poole'a chociaż nie potrafił tego dowieść. Jak utrzymywał Główny Programista: komputer chciał jedynie zatrzeć ślady. Gdyby okazało się, że podzespół AE-35 który rzekomo spalił się, w rzeczywistości działa bez zarzutu, kłamstwo wyszłoby na jaw. Hal, jak każdy przestępca schwyty w sieć własnych niezdarnych kłamstw, uległ w pewnym momencie panice.

Bowman potrafił to zrozumieć, ponieważ sam dwukrotnie przeżył podobne uczucie. Po raz pierwszy zdarzyło się to, gdy był jeszcze chłopcem. Zaplątał się w linkę deski surfingowej i niemal

utopił. Po raz drugi miało to miejsce podczas treningu astronautycznego. Zepsuty wskaźnik przekonał go, że udusi się z braku tlenu.

W obydwu przypadkach stracił panowanie nad wszystkimi wyższymi procesami logicznymi. W przeciągu kilku sekund mógł stać się kłębkem nieskoordynowanych emocji. W obydwu przypadkach zdołał się opanować, wiedział jednak, że każda istota ludzka w odpowiednich okolicznościach może zostać zezwierzęcona przez panikę.

Jeśli ludzie ulegają panice, dlaczego nie miałyby to zdarzyć się komputerom? Bowman zdał sobie sprawę, że nie powinien czuć się zdradzony i porzucony przez Hala. Wszystko to jednak należało już do przeszłości. Przed nim wyrastała groźna i kusząca obietnica nieznanego.

32. ROZWAŻANIA NAD ISTOTAMI POZAZIEMSKIMI

Pominąwszy pośpieszne posiłki w wirówce (na szczęście główny magazyn żywności nie uległ uszkodzeniu), Bowman praktycznie nie opuszczał sterowni. Drzemał w fotelu, co umożliwiało mu natychmiastową reakcję na sygnały ostrzegawcze. Pod nadzorem Centrum Sterowania Lotem naprawił kilka systemów alarmowych, które obecnie działały bez zarzutu. Coraz bardziej realna stawała się szansa dotarcia do Saturna, do którego zmierzał "Odkrywca" - z Bowmanem czy bez niego.

Miał teraz mało czasu na podziwianie widoków. Niebo nie było już taką atrakcją jak poprzednio, mimo to świadomość tego, co znajdowało się przed statkiem, utrudniała mu niekiedy koncentrację nad sprawami podstawowymi. Przed "Odkrywcą" rozciągała się Droga Mleczna z chmurami ciasno zbitych gwiazd, których ilość obezwładniała umysł. Były tam ogniste mgły Strzelca - roje wrzących słońc skrywających przed ludzkim wzrokiem serce galaktyki. Był tam także złowrogi Worek Węgla - olbrzymi kosmiczny cień, gdzie nie świeciły żadne gwiazdy. I była również Alpha Centauri - najbliższe ze wszystkich słońc - pierwszy przystanek za Układem Słonecznym.

Alpha Centauri - mimo że znacznie ciemniejsza od Syriusza i Canopusu - przyciągała wzrok i myśli Bowmana za każdym razem, gdy spoglądał w przestrzeń. Ten jasny, stabilny punkt, którego promienie docierały do Bowmana z czteroletnim Opóźnieniem, był obecnie tematem tajnych debat odbywających się na Ziemi; debat, których echa docierały na "Odkrywcę".

Na Ziemi nikt nie wątpił, - że istnieje związek pomiędzy AMT-1 a systemem: Saturna, jednak żaden naukowiec nie wierzył, że stworzenia, które zbudowały monolit, pochodziły z tego układu. Jako nisza ekologiczna Saturn przedstawiał się gorzej od Jowisza. Jego księżycy okrywała zmarzlina wiecznej zimy. Temperatura na satelitach nigdy nie była wyższa od trzystu stopni poniżej zera. Tylko jeden z księżyców - Tytan - posiadał atmosferę, na którą składała się cienka warstwa trującego metanu.

Stworzenia, które przed trzema milionami lat odwiedziły Księżyc i Ziemię, musiały więc pochodzić spoza Układu Słonecznego. Byli to prawdopodobnie goście z gwiazd, zakładający swoje bazy tam, gdzie uznali to za konieczne. Powstawał jednak kolejny problem: czy jakakolwiek technologia, bez względu na stopień rozwoju, może spiąć klamrą przepaść, jaka oddzielała Układ Słoneczny od najbliższej gwiazdy?

Wielu naukowców bezwzględnie odrzucało taką możliwość. Wskazywali, że "Odkrywca" - najszybszy statek, jaki kiedykolwiek powstał - potrzebowałby dwudziestu tysięcy lat na dotarcie do

Alpha Centauri i milionów lat na przebycie jakiegokolwiek znaczącego odcinka galaktyki. Nawet gdyby w nadchodzących wiekach zaszła rewolucja w systemach napędowych, pozostawałaby zawsze nieprzekraczalna granica szybkości światła; granica, której nie doścignie żaden obiekt materialny. W związku z tym - utrzymywano - twórcy AMT-1 pochodzili z Układu Słonecznego i ponieważ nie pojawili się w czasach historycznych, ich cywilizacja uległa zagładzie.

Niewielka, lecz znacząca grupa naukowców nie zgadzała się z tym punktem widzenia. Nawet jeśli podróż od gwiazdy do gwiazdy trwa wieki - twierdzili - nie może to stanowić przeszkody dla odpowiednio zdeterminowanych odkrywców. Jednym z prawdopodobnych rozwiązań problemu czasu jest hibernacja - tak jak w przypadku "Odkrywców". Innym sposobem jest stworzenie sztucznego, zwartego świata, który mógłby wyruszać w podróż trwającą przez wiele pokoleń.

Poza tym skąd wzięło się przypuszczenie, że wszystkie inteligentne gatunki żyją tak krótko jak człowiek? Być może we wszechświecie istnieją stworzenia, dla których podróż trwająca tysiące lat oznacza jedynie dłuższy okres nudy. ..

Wszystkie argumenty - chociaż teoretyczne - dotyczyły sprawy o największym praktycznym znaczeniu. Chodziło o tak zwany "czas reakcji". Jeśli AMT-1 naprawdę wysłała sygnał ku gwiazdom - prawdopodobnie przy pomocy przekaźnika w pobliżu Saturna - to impuls ten dotrze do miejsca przeznaczenia po wielu latach. Nawet gdyby odpowiedź była natychmiastowa, ludzkość miałaby wystarczająco dużo czasu na przygotowanie się. Być może dziesiątki lub co wydawało się bardziej realne - setki lat. Myśl ta dla wielu była pocieszeniem.

Jednak nie dla wszystkich. Kilku naukowców - z gatunku poszukiwaczy rewelacji w dzikich kniejach fizyki teoretycznej - zadało niepokojące pytanie: "Czy jesteśmy pewni, że szybkość światła jest nieprzekraczalną granicą?" To prawda, że szczególna teoria względności okazała się dosyć trwała i wkrótce obchodzić będzie swoje stulecie, jednak tu i ówdzie zaczęły pojawiać się na niej pęknięcia. I chociaż teorii Einsteina nie można na razie obalić, można ją przynajmniej obejść.

Ci, którzy podpisywali się pod tym punktem widzenia, mówili z nadzieją o przejściach na skróty przez wyższe wymiary, liniach prostszych od prostej i połączeniach w nadprzestrzeni. Z lubością przytaczali powiedzenie pewnego dwudziestowiecznego matematyka z Princeton, mówiące o "otworkach w przestrzeni". Krytykom - którzy uważali te pomysły za fantastyczne - przypomniano to, co powiedział kiedyś Niels Bohr: "Twoja teoria jest szalona, jednak za mało szalona, aby być prawdziwą".

Nieporozumienia pomiędzy fizykami były niczym w porównaniu z kłótniami biologów, omawiających odwieczny problem wyglądu istot pozaziemskich. Naukowcy podzielili się na dwa wrogie obozy: jedni utrzymywali, że stworzenia te są humanoidami, drudzy byli przekonani, że

“oni” w ogóle nie przypominają ludzi.

Za pierwszą opcją opowiadali się ci, którzy wierzyli, że dwie nogi, dwie ręce oraz organy zmysłów umieszczone w najwyższym punkcie ciała są tak genialnym rozwiązaniem, że trudno byłoby wyobrazić sobie lepsze. Oczywiście dopuszczalne są niewielkie różnice, takie jak sześć palców zamiast pięciu, odmienne ubarwienie skóry i włosów czy inny wygląd twarzy. Jednak inteligentne istoty pozaziemskie - nazywane po angielsku E.T. - muszą być podobne do ludzi, a nawet nie do odróżnienia z daleka czy przy słabym świetle.

Myślenie antropomorficzne wyśmiewali biolodzy - prawdziwi naukowcy ery kosmicznej - którzy nie czuli się związani przesadami kolegów. Grupa ta wskazywała, że ciało ludzkie powstało w wyniku milionów przekształceń ewolucyjnych, którymi rządził przypadek przez eony lat. W każdym z niezliczonych momentów kluczowych genetyczna ruletka mogła zatrzymać się w innym punkcie, dając być może lepszy wynik. Ciało ludzkie jest tworem prawdziwej improwizacji, pełnym organów, których funkcje uległy zmianie, co nie zawsze wychodziło mu na dobre. Ciało zawiera także organy całkowicie niepotrzebne, a nawet szkodliwe, takie jak na przykład wyrostek robaczkowy.

Bowman dowiedział się także, że istnieje grupa uczonych, których poglądy brzmiały jeszcze bardziej niezwykle. Naukowcy ci głęboko powątpiewali w możliwość posiadania powłok cielesnych przez istoty wysoko rozwinięte. Wraz z rozwojem wiedzy stworzenia inteligentne muszą prędzej czy później pozbyć się kruchej, podatnej na choroby i wypadki otoczki, w jaką wyposażyła je natura; otoczki, skazującej na nieuniknioną śmierć. Zastąpią swoje ciała, zużywając się wraz z upływem lat, konstrukcjami z metalu i plastiku, uzyskując w ten sposób nieśmiertelność. Mózg przetrwa jakiś czas jako ostatnia pozostałość ciała organicznego, kierująca mechanicznymi członkami i obserwująca wszechświat poprzez elektroniczne zmysły - daleko sprawniejsze od tych, które rozwinęły się w wyniku ślepej ewolucji.

Nawet na Ziemi poczyniono już pewne kroki w tym kierunku. Miliony ludzi, którzy wcześniej byliby skazani na śmierć, wiodło szczęśliwe, aktywne życie dzięki sztucznym członkom, nerkom, płucom i sercom. Proces ten - jakkolwiek długotrwały - może zakończyć się tylko w jeden sposób.

Również i mózg zostanie w końcu wyeliminowany. Mózg nie jest koniecznym i niezbędnym warunkiem istnienia świadomości. Udowodnił to rozwój inteligencji elektronicznych. Konflikt pomiędzy umysłem a maszyną może zostać rozwinięty dzięki kompromisowi całkowitej symbiozy. ...

Nie jest to jednak koniec. Niektórzy mistycznie nastawieni biolodzy posunęli się jeszcze dalej. Rozważali możliwość - czerpiąc wskazówki z wielu religii - uwolnienia umysłu od materii.

Zrobotyzowane istoty, podobnie jak stworzenia cielesne, są tylko etapem na drodze wiodącej ku temu, co ludzie kiedyś nazywali duchem.

I jeśli mogło być jeszcze coś więcej z pewnością był to Bóg.

33. AMBASADOR

Podczas ostatnich trzech miesięcy David Bowman całkowicie przystosował się do samotności. Zapomniał niemal o swoim smutnym położeniu. Znalazł się poza rozpaczą i nadzieją. Pracował według wytyczonego rozkładu, który przerywały niekiedy niespodziewane kryzysy w postaci usterek takiego czy innego systemu "Odkrywcy".

Nie zmniejszyła się jedynie jego ciekawość. Myśl o celu, do którego zmierzał, napawała go dumą i poczuciem siły. Był nie tylko przedstawicielem całej rasy ludzkiej, jego podróż może zdecydować o przyszłych losach świata. Po raz pierwszy w historii jeden człowiek stał się Ambasadorem Nad zwyczajnym i Pełnomocnym całej ludzkości.

Świadomość tego faktu pomagała mu na wiele różnych sposobów. Utrzymywał porządek i czystość bez względu na zmęczenie. Zawsze był ogolony. Kontrola Lotu - o czym dobrze wiedział - obserwowała go uważnie w oczekiwaniu na pierwsze oznaki dewiacji. Był zdecydowany rozwiązać ich wątpliwości, przynajmniej jeśli chodzi o poważne symptomy.

Zdawał sobie sprawę ze zmian w swoim zachowaniu. Absurdem byłoby spodziewać się czegoś innego w takich warunkach. Nie mógł znieść ciszy. System nagłaśniający statku pracował teraz na pełnych obrotach, oprócz godzin przeznaczonych na sen i rozmowy z Ziemią.

Na początku, szukając towarzystwa ludzkiego głosu, słuchał klasycznych dramatów: dzieł Shawa, Ibsena i Szekspira oraz poezji z ogromnej biblioteki dźwiękowej "Odkrywcy". Jednak problemy przedstawiane w sztukach i wierszach wydały mu się tak odległe i łatwe do rozwiązania przy odrobinie zdrowego rozsądku, że stracił dla nich cierpliwość.

Przerzucił się na opery, śpiewane po włosku lub niemiecku, tak aby nie rozpraszał go nawet ten minimalny kontekst intelektualny, jaki zawierały. Faza ta trwała przez dwa tygodnie, zanim zdał sobie sprawę, że brzmienie wspaniale wyszkolonych głosów pogłębia jego samotność. Cykl ten ostatecznie zakończył się wysłuchaniem po raz pierwszy w życiu Requiem Verdiego. Dies Irae grzmiące złowrogo w pustym statku do reszty zszarpało mu nerwy. I kiedy trąby Sądu Ostatecznego zabrzmiały w niebiosach, Bowman miał już dosyć.

Zaczai słuchać tylko muzyki instrumentalnej. Rozpoczął od kompozytorów romantycznych, ale porzucił ich, gdy napięcie emocjonalne dzieł stało się zbyt uciążliwe. Przez kilka tygodni statek rozbrzmiewał muzyką Sibeliusa, Czajkowskiego i Berlioza, potem przyszedł czas Beethovena. W końcu Bowman znalazł ukojenie - podobnie jak wielu przed nim - w abstrakcyjnej architekturze Bacha, ozdabianej od czasu do czasu Mozartem.

"Odkrywca" zbliżał się do Saturna, pulsując chłodną muzyką klawesynu - zamrożoną

kwintesencją umysłu, który zamienił się w proch dwieście lat temu.

Z odległości dziesięciu milionów mil Saturn był większy niż księżyc widziany z Ziemi. Stanowił wspaniały widok, nawet dla nie uzbrojonego oka, jednak dopiero przez teleskop można było w pełni ocenić nieprawdopodobny wygląd planety.

Sam glob podobny był nieco do Jowisza, gdy ten znajdował się w spokojniejszej fazie. Były to podobne pasma chmur - może trochę jaśniejsze i mniej wyraźne niż na Jowiszu - i podobne zaburzenia atmosferyczne wielkości kontynentów. Istniała jednak uderzająca różnica pomiędzy dwoma planetami. Nawet na pierwszy rzut oka można było dostrzec, że Saturn nie jest doskonale kulisty. Spłaszczenie na biegunach sprawiało niekiedy wrażenie deformacji.

Jednak uwagę Bowmana przyciągały pierścienie, stanowiące zamknięty wszechświat o skomplikowanej, mimo to delikatnej, konstrukcji. Oprócz głównej, olbrzymiej wyrwy pomiędzy pierścieniami, istniało przynajmniej pięćdziesiąt innych podziałów i granic o zmiennej jasności, dzielących gigantyczną aureolę planety. Wyglądało to tak, jak gdyby Saturn otaczały dziesiątki koncentrycznych obręczy, stykających się ze sobą brzegami i tak płaskich jak najcieńszy papier. System pierścieni przypominał kruche dzieło sztuki lub zabawkę, którą należy podziwiać wyłącznie z daleka. Pomimo wielu wysiłków Bowman nie potrafił wyobrazić sobie prawdziwych rozmiarów pierścieni. Nie mógł uwierzyć, że Ziemia - gdyby ustawiono ją na pierścieniach - wyglądałaby jak kulka tocząca się po krawędzi olbrzymiego talerza.

Czasami obręcze Saturna zakrywały gwiazdy, które tracąc bardzo niewiele ze swojej jasności przeświecały przez przezroczystą materię pierścieni, mrugając od czasu do czasu, gdy przesłaniał je większy fragment orbitującego gruzu.

Pierścienie bowiem - o czym wiedziano od dziewiętnastego wieku - nie były ciałem stałym. Z punktu widzenia praw mechaniki taka ewentualność nie wchodziła w rachubę. Składały się z miriadów elementów - prawdopodobnie pozostałości po księżycu, który zbliżywszy się do planety został rozerwany na kawałki przez siłę przyciągania Saturna. Bez względu na pochodzenie pierścieni, ludzie mieli ogromne szczęście, że taki cud znalazł się w zasięgu ich wzroku. Cud ten bowiem mógł istnieć jedynie przez krótki fragment historii Układu Słonecznego.

W roku 1945 brytyjski astronom wykazał, że pierścienie mają charakter efemeryczny i wkrótce zostaną zniszczone przez siły grawitacyjne. Rozważając ich przeszłość, naukowiec doszedł do wniosku, że powstały one całkiem niedawno - dwa lub trzy miliony lat temu.

Nikt jednak nie zwrócił uwagi na dziwny zbieg okoliczności, że pierścienie Saturna powstały wtedy? gdy narodziła się rasa ludzka.

34. ORBITUJĄCY LÓD

“Odkrywca” zagłębiał się coraz bardziej w dalekosiężny system księżyców Saturna. Olbrzymia planeta znajdowała się o dzień drogi. Statek dawno już minął granicę wytyczaną przez najdalej odsuniętego od Saturna - Phoebe, który poruszał się po niezwykle ekscentrycznej orbicie oddalonej o osiem milionów mil od planety. Przed “Odkrywcą” znajdował się Japetus, Hyperion, Tytan, Rhea, Dione, Tethys, Enceladus, Mimas, Janus i pierścienie. Wszystkie satelity ze swoimi labiryntami szczegółów powierzchniowych zostały sfotografowane, a ich zdjęcia Bowman przesłał na Ziemię. Sam Tytan - o średnicy trzech tysięcy mil i wielkości Merkurego - wart był wielu miesięcy badań. Bowman miał jednak niewiele czasu, aby przyjrzeć się wszystkim księżycom, poza tym nie przewidywał tego plan misji. Kosmonauta był już całkiem pewny, że jego rzeczywistym celem jest Japetus.

Wszystkie inne księżyce Saturna posiadały na powierzchni kratery pochodzenia meteorytowego, było ich jednak znacznie mniej niż na przykład na Marsie. Na wszystkich światło układało się w przypadkowe wzory, rozjaśnione plamami zamrożonych gazów. Jednak tylko Japetus posiadał swoistą geografę, w dodatku bardzo niezwykłą.

Jedną półkulę satelity - podobnie jak w przypadku innych księżyców stale zwróconą w kierunku Saturna - okrywały ciemności, w których nie można było rozpoznać żadnych szczegółów powierzchniowych. Drugą półkulę - w przeciwieństwie do pierwszej - zdominował jasny, biały owal o długości czterystu mil i szerokości dwustu. Obecnie jedynie część tej niezwykłej formacji oświetlało światło słoneczne. Bowman zrozumiał przyczynę nienaturalnego zróżnicowania jasności księżyca. W zachodniej części orbity biała elipsa Japetusa skierowana była w stronę Słońca i Ziemi. Po wschodniej stronie orbity jasna plama odwrócona była tyłem - na Ziemi widziano wtedy półkulę słabo odbijającą światło.

Olbrzymia elipsa miała doskonałą symetrię. Przecinała równik Japetusa główną osią skierowaną ku biegunom. Stanowiła tak wyraźny punkt, że można było odnieść wrażenie, iż ktoś celowo wytyczył na małym księżycu biały owal. Powierzchnia elipsy była całkowicie płaska i Bowman zastanawiał się, czy nie jest to przypadkiem jezioro zamrożłego płynu, co zresztą byłoby sprzeczne z nienaturalnym wyglądem plamy.

Nie miał zbyt dużo czasu, aby przyjrzeć się Japetusowi podczas wędrówki w głąb systemu Saturna. Zbliżał się finał podróży - ostatni manewr perturbacyjny “Odkrywcy”. Podczas przelotu obok Jowisza statek wykorzystał pole grawitacyjne planety do zwiększenia szybkości. Teraz należało postąpić odwrotnie. “Odkrywca” powinien wytracić szybkość, jeśli nie chce na zawsze

opuścić Układu Słonecznego. Obecny kurs statku powinien umożliwić mu pozostanie w systemie Saturna. “Odkrywca” stanie się kolejnym satelitą okrążającym planetę po wąskiej elipsie o obwodzie dwóch milionów mil. Orbita miała stykać się niemal z Saturnem, a jej odległy punkt przecinać tor Japetusa.

Ziemskie komputery, mimo trzygodzinnego opóźnienia, zapewniły Bowmana, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Szybkość i ustawienie statku były poprawne. Nie pozostawało nic innego, jak, czekać do momentu największego zbliżenia z Saturnem.

Na niebie widoczne były teraz pierścienie. Statek przechodził przez ich zewnętrzną krawędź. Bowman oglądał pierścienie z wysokości dziesięciu tysięcy mil. Przypatrując się im przez teleskop doszedł do wniosku, że pierścienie zbudowane są z lodu, który świeci i iskrzy się w promieniach słonecznych. Wyglądało to tak, jak gdyby przelatywał nad śnieżną zamiecią, jednak tam gdzie powinna znajdować się ziemia, przeświecało niebo i gwiazdy.

“Odkrywca” skręcał w stronę Saturna. Słońce powoli opadało w kierunku łuków pierścieni, które teraz stały się wysmukłym, srebrnym mostem spinającym całe niebo. Materia pierścieni była zbyt rozrzedzona, aby przesłonić Słońce, jednak miriady kryształków rozpraszały i załamywały jego promienie w oślepiających błyskach. Gdy słońce skrywało się za pasmem orbitującego lodu o szerokości tysiąca mil, na niebie przesuwwały się i łączyły blade cienie poświaty. Wokół pełno było słonecznych rozbłysków. W końcu pierścienie przesłoniły Słońce, ukrywając je w swoich załomach. Minął czas niebiańskich fajerwerków.

Chwilę później statek znalazł się w cieniu Saturna, zbliżając się na najmniejszą odległość do nocnej strony planety. Ponad “Odkrywcą” świeciły gwiazdy i pierścienie, poniżej leżał słabo widoczny ocean chmur. Nie było tu tajemniczych wzorów świetlnych jarzących się na ciemnej półkuli Jowisza. Saturn był prawdopodobnie zbyt zimny dla tego rodzaju ornamentacji. Postrzępione chmury oświetlała upiorna radiacja, odbita od okrążającego planetę lodu, na który padały promienie Słońca. W samym centrum lodowego łuku widniała szeroka, czarna wyrwa - jak brakujące przęsło nie dokończonego mostu. Był to cień rzucany przez Saturna na orbitujące pierścienie.

Kontakt z Ziemią został przerwany. Łączność będzie można nawiązać ponownie dopiero wtedy, gdy “Odkrywca” wynurzy się z cienia Saturna. Bowman był jednak zbyt zajęty, aby roztrząsać w myślach swoją nagłą całkowitą samotność. Przez następnych kilka godzin każdą sekundę wypełni mu nadzór nad manewrami hamującymi, zaprogramowanych przez ziemskie komputery.

Po wielu miesiącach spoczynku główne silniki “Odkrywcy” zaczęły wyrzucać wstęgi świecącej plazmy o długości wielu mil. Do nieważkiego świata sterowni na krótko powróciło

ciążenie. Setki mil poniżej chmury metanu i zamrożonego amoniaku rozświetlała jasność widziana tu po raz pierwszy. "Odkrywca" rozpałił małe, gwałtowne słońce pośród ciemności Saturna.

Przed statkiem pojawił się blady świt. "Odkrywca", poruszając się coraz wolniej, wypływał w nowy dzień. Nie ucieknie już ani Słońcu, ani Saturnowi. Leciał jednak wystarczająco szybko, aby wznieść się nad planetą, ku orbicie Japetusa, znajdującego się w odległości dwóch milionów mil.

Podróż w kierunku satelity zajmie "Odkrywcy" czternaście dni. Statek spotka na swej drodze - tym razem w odwrotnej kolejności - wszystkie księżycy wewnętrzne. Przetnie orbity Janusa, Mimas, Enceladusa, Tethys, Dione, Rhei, Tytana, Hyperiona... światów noszących imiona bogów i bogiń, którzy zginęli dopiero wczoraj, licząc według tutejszego czasu.

Po spotkaniu z Japetusem "Odkrywca" ponownie opadnie w kierunku Saturna i będzie powtarzał swoją dwudziestośmiodniową elipsę w nieskończoność.

Spotkanie z Japetusem musi odbyć się teraz, następnym razem bowiem satelita oddali się na drugą stronę Saturna.

To prawda, że "Odkrywca" i Japetus zobaczą się ponownie, gdy ich orbity po raz drugi osiągną największe zbliżenie. Jednak to drugie spotkanie nastąpi po tak wielu latach, że bez względu na to co się stanie, Bowman z pewnością tego nie doczeka.

35. OKO JAPETUSA

Gdy Bowman po raz pierwszy przyglądał się satelicie, tajemnicza elipsa znajdowała się częściowo w cieniu, rozjaśnionym jedynie światłem Saturna. Teraz księżyc przesunął się wzdłuż swojej siedemdziesięciodziewięciodniowej orbity i biały owal pojawił się w pełnym świetle dnia.

“Odkrywca” coraz wolniej zbliżał się ku Japetusowi. Przyglądając się rosnącej z wolna elipsie, Bowman odkrył u siebie denerwującą obsesję. Nigdy nie wspomniał o tym rozmowach, czy raczej bezustannym komentarzu przekazywanym na Ziemię. Obawiał się, że mogliby pomyśleć, iż cierpi na halucynacje. I kto wie, jak było naprawdę, ponieważ Bowman wyobrażał sobie, że jasna, owalna płaszczyzna na ciemnym tle jest olbrzymim, pustym okiem przyglądającym się zbliżającemu się statkowi. Oko nie posiadało źrenicy - Bowman nigdzie nie dostrzegł najdrobniejszej skazy na oślepiającej bieli elipsy.

Dopiero gdy statek znalazł się w odległości pięćdziesięciu tysięcy mil i Japetus osiągnął rozmiary dwa razy większe od ziemskiego Księżyca, Bowman dostrzegł maleńką, czarną plamkę dokładnie w samym środku elipsy. Nie miał jednak czasu na bliższe przyjrzenie się temu zjawisku. Czekały go manewry końcowe.

Główny napęd “Odkrywcy” po raz ostatni zagrał pełną mocą. Po raz ostatni rozżarzone piekło umierających atomów wybuchło pomiędzy księżycami Saturna. Dla Davida Bowmana odległy szept i rosnący ciąg silników był powodem do dumy i smutku. Wspaniałe maszyny bezbłędnie wykonały swoje zadania. Przyprowały statek z Ziemi do Jowisza i Saturna. Teraz pracowały już po raz ostatni. Gdy “Odkrywca” opróżnił silniki, stanie się bezbronnym i bezwładnym kometą i asteroidą - bezsilnym więźniem grawitacji. Nawet po przybyciu statku ratowniczego, nie będzie opłacało się ponowne tankowanie “Odkrywcy” w celu umożliwienia mu powrotu na Ziemię. Statek pozostanie na wieki orbitującym pomnikiem pierwszego okresu badań planetarnych.

Tysiące mil skurczyły się do setek, wskaźniki paliwa opadały szybko do zera. Przy Pulpicie Sterowniczym Bowman niespokojnie spoglądał na przyrządy pomiarowe i sporządzane przez siebie wykresy, które pomagały mu w podejmowaniu decyzji. Byłoby jawną niesprawiedliwością losu, gdyby - przetrwawszy tak wiele - nie mógł dotrzeć do celu z powodu braku kilku funtów paliwa. ..

Gwizd silników zmniejszył się wraz z zakończeniem pracy głównego ciągu. “Odkrywca” popychały jedynie silniki korekcyjne. Japetus był teraz olbrzymim półksiężycem wypełniającym niebo. Bowman do tej pory myślał o satelicie jako o małym, nic nie znaczącym obiekcie - jakim zresztą Japetus był w rzeczywistości w porównaniu z Saturnem. Teraz jednak, gdy księżyc wynurzył się złowieszczą nad statkiem, Bowman w pełni ocenił jego rozmiary. “Odkrywca”

wyglądał niczym łupina zawieszona pod olbrzymim młotem.

Japetus zbliżał się tak powoli, że trudno było dostrzec jego ruch i moment, kiedy dokonało się subtelne wtopienie ciała astronomicznego w krajobraz pięćdziesiąt mil poniżej. Sprawne do końca silniki korekcyjne po raz ostatni zwiększyły ciąg i zamarły na zawsze. Statek znalazł się na swojej ostatniej orbicie, dokonując jednego okrążenia Japetusa co trzy godziny. Szybkość "Odkrywcy" wynosiła zaledwie osiemset mil na godzinę, było to jednak wystarczająco dużo dla słabego pola grawitacyjnego księżyca.

"Odkrywca" stał się satelitą satelity.

36. WIELKI BRAT

- Znów jestem po dziennej stronie. Jest tak samo jak podczas ostatniego meldunku. To miejsce ma tylko dwa rodzaje materiału powierzchniowego.

Czarna powierzchnia wygląda na spaloną, prawie jak węgiel drzewny, ma taką samą fakturę, o ile dobrze oceniam przez teleskop. Naprawdę przypomina mi spalony tost. ..

- W dalszym ciągu nie potrafię powiedzieć nic sensownego o białym obszarze. Rozpoczyna się ostrą krawędzią, nie wykazuje żadnych cech powierzchniowych. Może to być płyn, jest wystarczająco płaski. Nie wiem, co zdołaliście zobaczyć na taśmach video, które przesłałem, ale jeśli jesteście sobie w stanie wyobrazić morze zamrożonego mleka, to jest to dokładnie to, co widzę.

- Być może to jakiś ciężki gaz, nie, przypuszczam, że to niemożliwe. Czasami wydaje mi się, że to się porusza, bardzo powoli, nie jestem jednak pewny.

- Znów jestem nad białym obszarem, jest to moje trzecie okrążenie. Mam nadzieję, że zbliżę się do tej plamy w samym centrum, którą zauważyłem podczas nadlatywania. Jeśli moje obliczenia są po prawne, powinienem przelecieć na wysokości pięć dziesięciu mil nad tym ... cokolwiek to jest...

- Tak, jest coś z przodu, dokładnie tam gdzie przewidywałem. Wznosi się nad horyzontem, tak jak Saturn, niemal w tej samej części nieba. Przejdę do teleskopu...

- Halo! To wygląda jak jakiś budynek, całkiem czarny. Słabo go widzę. Żadnych okien ani nic innego, po prostu czarna pionowa płyta, ma przy najmniej milę wysokości, jeśli widzę ją z tak daleka.

Przypomina mi... Oczywiście! Wygląda tak samo jak to, co znaleźliście na Księżycu. To jest wielki brat AMT-1!

37. EKSPERYMENT

Nazwijmy to Kosmicznymi Wrotami.

Przez trzy miliony lat okrążały Saturna w oczekiwaniu na swoje przeznaczenie, które mogło nigdy nie nadejść. Przy ich tworzeniu zniszczono księżyc, którego resztki ciągle jeszcze okrążały planetę.

Kończyło się długie oczekiwanie. Kolejny świat stworzył inteligencję, która wyrwała się ze swej planetarnej kolebki. Eksperyment z przeszłości wreszcie przyniósł owoce.

Ci, którzy w odległych czasach rozpoczęli eksperyment, nie byli ludźmi. Ich ciała nie przypominały ludzkich w najmniejszym stopniu. Mieli jednak ciało i krew, i kiedy spoglądali w głąbiny kosmosu czuli podziw i zdumienie, i samotność. Gdy tylko posiadli taką moc, wyruszyli ku gwiazdom.

W swoich badaniach napotykali na życie w wielu formach i przyglądali się dziełu ewolucji na tysiącach światów. Widzieli pierwsze, słabe oznaki inteligencji powstające i umierające w kosmicznej nocy. A ponieważ w całej galaktyce nie znaleźli nic cenniejszego od umysłu, wspomagali jego powstanie wszędzie, gdzie było to możliwe. Stali się gwiazdnymi siewcami: siali i czasami zbierali plony.

A czasami beznamiętnie wrywali chwasty.

Wielkie dinozaury dawno już wyginęły, gdy statek badawczy znalazł się w Układzie Słonecznym. Jego podróż trwała już tysiąc lat. Minał zamrożone planety zewnętrzne, zatrzymał się na chwilę nad pustyniami umierającego Marsa i skierował się ku Ziemi.

Odkrywcy ujrzeli przed sobą świat pełen życia. Przez lata badali, zbierali i katalogowali. Gdy dowiedzieli się wszystkiego, zaczęli modyfikować. Zajęli się przyszłością wielu gatunków na lądzie i w oceanach. Które z eksperymentów powiodły się, dowiedzieli się po milionie lat.

Byli cierpliwi, nie byli jednak jeszcze nieśmiertelni. Było wiele do zrobienia we wszechświecie stu miliardów słońc. Wzywały ich inne światy.

Wyruszyli więc w pustkę, wiedząc, że nigdy tu nie wrócą. Nie było zresztą takiej potrzeby. To, co zostawili, załatwi resztę.

Na Ziemi lodowce dokonały swojego dzieła, podczas gdy nad nimi niezmienny Księżyc pilnował sekretu. Wolniej nawet niż lodowce wzrastały i upadały galaktyczne cywilizacje. Powstawały i kończyły się dziwne i piękne, i straszne cesarstwa, przekazujące swoją wiedzę następcom. Nie zapomniano o Ziemi, ale kolejna wizyta nie miałaby sensu. Ziemia była jednym z miliona milczących światów, z których bardzo niewiele kiedykolwiek przemówi.

Pomiędzy gwiazdami ewolucja miała przed sobą nowe cele. Pierwsi badacze Ziemi osiągnęli granice rozwoju fizycznego. Gdy tylko ich maszyny okazały się lepsze niż ich ciała, nadszedł czas, aby się przenieść. Najpierw mózgi, a potem same myśli zamknięte zostały w nowych domach z metalu i plastiku. W domach tych wędrowali pośród gwiazd. Nie budowali statków kosmicznych. Sami byli statkami.

Jednak epoka maszyn szybko minęła. Dzięki swoim bezustannym eksperymentom nauczyli się, jak przechowywać wiedzę w samej strukturze przestrzeni, jak zachować myśli dla wieczności w zamkniętych sieciach krystalicznych światła. Mogli stać się stworzeniami zbudowanymi z radiacji, wyzwolonymi wreszcie z tyranii materii.

Dokonali transformacji w czystą energię. Na tysiącach światów porzucone powłoki drgały przez chwilę w bezmyślnym tańcu śmierci, a potem rozsypały się w proch.

Byli teraz władcami galaktyki istniejącymi poza czasem. Mogli dowolnie przemieszczać się pośród gwiazd i wtapiać się jak delikatna mgła w atomy przestrzeni. Jednak pomimo boskich przymiotów, nie zapomnieli o miejscu swoich narodzin w ciepłym śluzie nie istniejącego już morza.

I ciągle przyglądali się eksperymentom rozpoczętym przez ich przodków tak dawno temu.

38. WARTOWNIK

- Powietrze w statku robi się bardzo nieswieże, przez większość czasu boli mnie głowa. Jest oczywiście mnóstwo tlenu, ale klimatyzatory nigdy do końca nie oczyściły tego całego bałaganu po wrzających w próżni płynach. Gdy powietrze staje się nie do zniesienia, schodzę na dół do garażu i wypuszczam trochę czystego tlenu z kapsuł. ..

- Moje sygnały nie wywołały żadnej reakcji, ze względu na ustawienie orbity oddalam się coraz bardziej od AMT-2. Przy okazji - ta nazwa jest nieodpowiednia. Tutaj nie ma śladu pola magnetycznego.

- Obecnie moje największe zbliżenie wynosi sześćdziesiąt mil. Zwiększy się do około stu mil - podczas obrotu Japetusa, a potem spadnie do zera. Przelecę dokładnie nad obiektem za trzydzieści dni - jednak jest to za długo, by czekać, poza tym zapadną wtedy ciemności.

- Nawet teraz obiekt znajduje się w zasięgu wzroku tylko przez kilka minut, zanim zniknie ponownie za horyzontem. Jest to cholernie frustrujące, nie mogę poczynić żadnych poważnych obserwacji.

- Chciałbym więc uzyskać waszą zgodę na następujący plan. Kapsuły kosmiczne mają wystarczające delta V na wylądowanie i powrót do statku, chcę więc go opuścić i zbadać obiekt z bliska. Jeśli okaże się to wykonalne, wyląduję przy nim lub nawet na nim.

- Gdy będę opadał, statek będzie ciągle ponad moim horyzontem i stracę z nim kontakt jedynie na dziewięćdziesiąt minut.

- Jestem przekonany, że jest to konieczne. Przeleciałem miliard mil - chcę przebyć jeszcze te sześćdziesiąt.

Kosmiczne Wrota przez długie tygodnie obserwowały swoimi zmysłami zbliżający się od Słońca statek. Przeznaczone były do wykonywania wielu zadań, a to było jednym z nich. Wrota rozpoznały obiekt nadchodzący z ciepłego wnętrza Układu Słonecznego.

Gdyby były żywe poczułyby podniecenie, jednak emocje były całkowicie poza ich zasięgiem. Nawet gdyby statek je ominął, nie byłyby rozczarowane. Czekają trzy miliony lat, były gotowe czekać wieczność.

Obserwowały, notowały i nie podejmowały żadnych czynności, gdy gość zmniejszył szybkość silnikami wyrzucającymi rozżarzony gaz. Poczuły delikatny dotyk radiacji, próbujący zbadać ich sekrety. I ciągle nic nie robiły.

Statek znalazł się na orbicie, okrążając nisko powierzchnię dziwnego księżycy z białą

plamą. Zaczął nadawać sygnały radiowe odliczając bezustannie liczby pierwsze od 1 do 11. Wkrótce sygnały te ustąpiły miejsca znakom bardziej skomplikowanym, na wielu częstotliwościach - ultrafioletowej, podczerwonej, rentgenowskiej. Kosmiczne Wrota nie odpowiadały. Nie miały nic do powiedzenia.

Potem była długa przerwa, po której z orbitującego statku coś zaczęło opadać w kierunku Wrót. Wrota sprawdziły w pamięci i ich obwody logiczne podjęły decyzję zgodną z poleceniami otrzymanymi dawno temu.

W zimnym świetle Saturna Kosmiczne Wrota obudziły swoje uśpione moce.

39. PROSTO W OKO

“Odkrywca” wyglądał tak jak podczas ostatniego przeglądu na orbicie Księżyca. Była jednak mała zmiana. Bowman nie był pewien, ale farba napisów zewnętrznych oznaczających przeznaczenie różnych pokryw, połączeń, centralnych wtyczek i innych urządzeń, chyba wyblakła podczas długiego okresu działania promieni słonecznych.

Słońce było gwiazdą, której nie rozpoznałby teraz żaden człowiek. Świeciło zbyt jasno jak na planetę, można jednak było spokojnie wpatrywać się bezpośrednio w jego mały dysk. Nie dawało już ciepła. Gdy Bowman wystawił dłoń bez rękawicy w promienie słoneczne wpadające przez okno kapsuły, nie poczuł nic. Wyglądało to jak próba ogrzania się w świetle Księżyca. I nawet obcy krajobraz znajdujący się pięćdziesiąt mil poniżej nie mógłby lepiej przypomnieć mu o oddaleniu od Ziemi.

Opuszczał teraz, być może po raz ostatni, metalowy świat, który był jego domem przez tak wiele miesięcy. Nawet jeśli nie wróci, statek będzie funkcjonował dalej, przesyłając na Ziemię odczyty instrumentów aż do końca, do ostatecznej katastrofy w obwodach.

A jeśli powróci? Cóż, utrzyma się przy życiu i być może przy zdrowych zmysłach przez kilka dalszych miesięcy. I to wszystko. Systemy hibernacyjne są bezużyteczne bez sterującego nimi komputera. Nie przetrwa do przybycia “Odkrywcy” na spotkanie z Japetusem za cztery czy pięć lat.

Zostawił te myśli za sobą. Złocisty półksiężyc Saturna wzniósł się na niebie. Był pierwszym człowiekiem, który mógł podziwiać ten widok. Do tej pory Saturn zawsze był jasnym dyskiem odwróconym twarzą do Słońca. Obecnie stał się wysmukłym łukiem, przeciętym cienką linią pierścieni, jak strzałą skierowaną ku Słońcu.

W jednej linii z pierścieniami znajdowała się jasna gwiazda Tytana i słabiej widoczne światło innych księżyców. Zanim upłynie połowa tego wieku, ludzie wylądują na nich wszystkich. Jednak on nie dowie się o znajdujących się tam sekretach.

Zbliżała się do niego wyraźnie widoczna granica białego oka. Musi przelecieć jeszcze sto mil. Za dziesięć minut znajdzie się nad celem. Zastanawiał się, czy jego słowa docierają na Ziemię oddaloną o półtorej godziny prędkości Światła. Byłoby ogromną złośliwością losu, gdyby na skutek jakiejś usterki w systemie przekaźników, Bowman zamilkł na zawsze.

“Odkrywca” ciągle był jasną gwiazdą na czarnym niebie. Kapsuła nabierała szybkości opadając nad Japetusem, wkrótce jednak włączą się silniki hamujące i “Odkrywca” zniknie z pola widzenia. Bowman pozostanie sam nad świecą równiną z czarnym sekretem pośrodku.

Nad horyzontem wznosił się hebanowy blok przesłaniający gwiazdy. Bowman wyrównał ustawienie kapsuły i użył pełnego ciągu do wyhamowania szybkości orbitalnej. Długim, spłaszczonym łukiem zbliżał się do powierzchni Japetusa.

Przy większej grawitacji manewr ten byłby bardzo ryzykowny ze względu na paliwo. Jednak nad Japetusem kapsuła ważyła jedynie kilkadziesiąt funtów. Pozostało mu kilka minut lotu, zanim zbliży się niebezpiecznie do rezerw paliwa, które miały umożliwić mu powrót do "Odkrywcy". Zresztą teraz nie miało to już większego znaczenia. ..

Znajdował się na wysokości pięciu mil i kierował w stronę olbrzymiego, czarnego bloku, wyrastającego w swojej geometrycznej doskonałości nad pozbawioną jakichkolwiek cech równiną. Płyta była tak gładka jak biała powierzchnia poniżej. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy z jej rozmiarów. Na Ziemi mogło jej dorównać niewiele budynków. Fotografie pomiarowe pokazywały wysokość dwóch tysięcy stóp. Jeśli dobrze oceniał, proporcje bloku były dokładnie takie same, jak proporcje AMT-1 i zachowały ten interesujący stosunek, czyli 1 :4:9.

- Jestem teraz w odległości trzech mil. Wysokość cztery tysiące stóp. W dalszym ciągu żadnych przejawów aktywności. Instrumenty nic nie pokazują. Powierzchnie bloku są gładkie i wypolerowane. Wydawałoby się, że po tylu latach powinny być jakieś ślady meteorytów. ..

- Żadnego gruzu na... myślę, że można nazwać to dachem. Żadnego wejścia. Miałem nadzieję, że jakoś się tam dostanę. ..

- Jestem dokładnie nad obiektem, pięćset stóp powyżej. Nie chcę tracić czasu, ponieważ "Odkrywca" wkrótce będzie poza zasięgiem. Wyląduję. Wygląda to wystarczająco solidnie, a jeśli nie - natychmiast wystartuję.

- Chwileczkę, to dziwne. ..

Głos Bowmana zamarł w ciszy wyrażającej zupełną dezorientację. Bowman nie był zaniepokojony, nie mógł po prostu opisać tego, co zobaczył.

Wisiał nad dużym, płaskim prostokątem o długości ośmiuset i szerokości dwustu stóp, wykonanym z czegoś, co wyglądało jak twarda skała. Teraz jednak prostokąt zdawał się oddalać od niego. Wyglądał dokładnie tak jak jedna z tych optycznych iluzji, kiedy to trójwymiarowy obiekt dzięki wysiłkowi woli wywraca się na drugą stronę, zamieniając się nagle krawędziami.

To samo działo się z tą olbrzymią, niewątpliwie trwałą strukturą. Niemożliwe, niesamowite, monolit nie był już budowlą wznoszącą się nad równiną. To, co wyglądało jak dach, zapadło się w nieskończone otchłanie. Oszołomionemu Bowmanowi przez chwilę wydawało się, że spogląda w dół pionowego szybu, prostokątnego szlaku, który zaprzeczał prawom perspektywy, bowiem jego rozmiar nie zmniejszał się wraz z odległością. ..

Oko Japetusa mrugnęło, usuwając jak gdyby drobinę drażniącego kurzu. David Bowman

miął czas na wypowiedzenie jednego nie dokończonego zdania, którego ludzie czekający w Centrum Sterowania Lotem, oddalonym o dziewięćset milionów mil i osiemdziesiąt minut w przyszłość, nigdy nie zapomną:

- To jest puste - ciągnie się w nieskończoność i ... O mój Boże, tam jest pełno gwiazd!

40. WYJŚCIE

Kosmiczne Wrota otworzyły się. Kosmiczne Wrota zamknęły się.

W ułamku czasu, zbyt krótkim, aby można było go zmierzyć, przestrzeń skrzyła się i nałożyła na siebie.

Japetus znowu był sam, tak jak przez trzy miliony lat - sam, oprócz opuszczonego, lecz jeszcze nie bezpieczeństwa statku, wysyłającego swoim twórcom wiadomości, w które nie mogli uwierzyć i których nie mogli pojąć.

CZĘŚĆ SZÓSTA

PRZEZ KOSMICZNE WROTA

41. STACJA

“Grand Central” Nie czuł ruchu, opadał jednak ku tym nieprawdopodobnym gwiazdom, świecącym w ciemnym sercu księżyca. Nie - czuł, że nie mogły znajdować się tam naprawdę. Teraz, gdy było już za późno żałował, że nie przykładał zbyt dużej wagi do teorii dotyczących nadprzestrzeni i szlaków trans wymiarowych. Dla Davida Bowmana nie były to już teorie.

Być może monolit na Japetusie był pusty. Być może “dach” był tylko złudzeniem lub swego rodzaju błoną, która otworzyła się, aby go wpuścić (ale dokąd?). Jeśli mógł wierzyć swoim zmysłom, opadał pionowym prostokątnym szybem, głębokim na kilka tysięcy stóp. Posuwał się coraz szybciej, ale odległy koniec nie zmieniał swojego kształtu i pozostawał w tej samej odległości.

Ruszały się jedynie gwiazdy, na początku bardzo powoli, upłynęło więc sporo czasu, zanim zorientował się, że uciekają z ograniczających je ram. Jednak po chwili stało się jasne, że gwiazdne pole rozszerzało się, tak jakby zbliżało się do niego z niewyobrażalną szybkością. Ekspansja ta nie miała charakteru linearnego. Gwiazdy znajdujące się w centrum zdawały się trwać w bezruchu, podczas gdy te, które były bliżej krawędzi, przyspieszały coraz bardziej, stając się smugami światła tuż przed zniknięciem z pola widzenia.

Miejsce tych, które znikły zajmowały inne gwiazdy. Przybywały na środek pola z jakiegoś niewyczerpanego źródła. Bowman zastanawiał się, co SK stanie, jeśli gwiazda nadleci prosto na niego. Czy zacznie się powiększać, aż kapsuła wpadnie w jej centrum? Jednak żadna z gwiazd nie zwiększyła rozmiarów do postaci dysku. Wszystkie zmieniały kierunek i uciekały ponad krawędziami prostokątnej ramy.

Mimo to koniec szybu nie zbliżał się. Wydawało się, że ściany płyną razem z nim, niosąc go ku nieznanemu przeznaczeniu. Lub, być może, to Bowman tkwił w jednym miejscu, a poruszała się przestrzeń. ..

Jednak nie tylko przestrzeń - jak się nagle zorientował - była zaangażowana w to, co się z nim działo. Zegar znajdujący się na małym pulpicie sterowniczym również zachowywał się dziwnie.

Normalnie cyfry w okienku pokazującym dziesiątne części sekundy mrgały tak szybko, że nie można było ich odczytać. Teraz zaś pojawiały się i znikwały w oddzielnych interwałach i Bowman mógł je swobodnie liczyć. Sekundy mijały niewyobrażalnie wolno, jak gdyby czas miał się zatrzymać. W końcu licznik dziesiątych części sekundy stanął pomiędzy 5 a 6.

Potrafił ciągle myśleć i nawet obserwował, gdy czarne ściany przesuwały się obok niego z

szybkością, która mogła być milion razy większa od szybkości światła. W przedziwny sposób nie był ani zdumiony, ani zaniepokojony. Wręcz przeciwnie, ogarnęło go uczucie spokojnego oczekiwania, podobne do tego, które znał z badań wykorzystujących narkotyki halucynogenne, przeprowadzanych przez lekarzy kosmicznych. Świat wokół niego był dziwny i piękny, nie wywoływał jednak strachu. Przebył miliony mil w poszukiwaniu tajemnicy i teraz tajemnica zbliżała się do niego.

Prostokąt przed nim stawał się jaśniejszy. Świecące pasma gwiazd blade na mlecznym niebie, którego jasność zwiększała się z sekundy na sekundę. Wyglądało to tak, jakby przestrzeń zmierzała w kierunku pokrywy chmur, oświetlonej promieniami niewidzialnego słońca.

Wynurzył się z tunelu. Koniec, który aż do tej pory pozostawał w takiej samej, nie dającej się określić odległości, i który ani nie zbliżał się, ani nie oddalał, zaczął nagle zachowywać się zgodnie z prawami perspektywy. Zbliżał się i rozszerzał. Jednocześnie Bowman poczuł, że porusza się do góry i przez sekundę zastanawiał się, czy przeleciał już przez Japetusa i wznosi się teraz po drugiej stronie. Lecz zanim jeszcze kapsuła znalazła się na otwartej przestrzeni, wiedział, że miejsce to nie ma nic wspólnego z Japetusem ani z żadnym innym światem dostępnym ludzkiemu doświadczeniu.

Wokół nie było atmosfery, ponieważ wyraźnie widział wszystkie szczegóły aż do bardzo odległego i płaskiego horyzontu. Musiał znajdować się nad światem o niewyobrażalnych rozmiarach. Pomimo tego ogromu cała powierzchnia, jaką widział Bowman, była mozaiką niewątpliwie sztucznych wzorów o długości boku przewyższającej milę. Wyglądało to jak układanka przeznaczona dla olbrzyma, który igrał z planetami. W środku niektórych kwadratów, trójkątów i wielokątów znajdowały się puste czarne szyby, bliźniaczo podobne do otchłani, z której się wynurzył.

Niebo było jeszcze dziwniejsze i w pewien sposób bardziej niepokojące niż nieprawdopodobny krajobraz poniżej. Nigdzie nie było gwiazd ani czerni przestrzeni. Wszędzie panowała mleczna poświata, sprawiająca wrażenie nieskończonej odległej. Bowman przypomniał sobie zasłyszany kiedyś opis słynnego antarktycznego “wybielenia” - “coś jak zamknięcie w piłeczce pingpongowej”. Te słowa doskonale nadawały się do tego dziwnego miejsca, jednak przyczyny “wybielenia” musiały być zupełnie inne. To niebo nie powstało w wyniku meteorologicznego działania śniegu i mgły. Wokół była próżnia doskonała.

Gdy oczy Bowmana przyzwyczyły się do opalizującej poświaty spływającej z nieba, zdał sobie sprawę w kolejnych szczegółów. Na niebie - w przeciwieństwie do tego co wydawało mu się na początku - coś jednak było. Ponad nim, zupełnie nieruchome i układające się w przypadkowe wzory, znajdowały się miriady małych, czarnych punkcików.

Trudno było je dostrzec, były bowiem jedynie punktami ciemności. Bowmanowi coś to przypominało, coś znajomego, jednak skojarzenie to było tak szalone, że nie mógł się nań zgodzić, dopóki czysta logika nie potwierdziła jego przypuszczeń.

Te czarne punkty na białym niebie były gwiazdami. Spoglądał na fotograficzny negatyw Drogi Mlecznej.

Gdzie ja, na Boga, jestem? - pytał sam siebie. Jednak stawiając pytanie wiedział, że nie usłyszy na nie odpowiedzi. Wyglądało na to, że przestrzeń przenicowała się na drugą stronę. Nie było to miejsce dla ludzi. I choć w kapsule panowało przyjemne ciepło, poczuł chłód i zaczął się trząść. Chciał zaniknąć oczy i odizolować się od perłowej pustki, która go otaczała. Byłoby to jednak tchórzostwo, na które nie mógł się zdobyć.

Mozaikowa planeta powoli obracała się pod nim bez żadnej zmiany scenerii. Domyślił się, że leci na wysokości dziesięciu mil i powinien z łatwością dostrzec ślady życia. Jednak cały ten świat był pusty. Stworzyły go istoty inteligentne, które następnie stąd odeszły.

W odległości dwudziestu mil przed sobą zobaczył nagle zawieszony ponad płaską równiną cylindryczny kształt, który wyglądał jak wrak gigantycznego statku. Z tej odległości nie widział żadnych szczegółów i obiekt zniknął po kilku sekundach. Bowman zauważył jednak połamane ożebrowanie i połyskujące płyty metalu, odpadające ze statku jak skórka z pomarańczy. Zastanawiał się, ile tysięcy lat wrak leżał tutaj, na tej pustej szachownicy i jakie stworzenia żeglowały nim pośród gwiazd.

Szybko zapomniał jednak o opuszczonym statku, bo coś zbliżało się ponad horyzontem.

Z początku wyglądało jak spłaszczony dysk, było to jednak spowodowane ruchem obiektu wprost na niego. Gdy statek zbliżył się i przeleciał pod nim, Bowman dostrzegł, że miał on kształt wrzeciona długości kilkuset stóp. Statek pokryty był słabo widocznymi podłużnymi pasami. Obiekt zdawał się wibrować, czy raczej bardzo szybko obracać.

Zwężał się ostro ku obydwu końcom, nigdzie nie było widać śladu urządzeń napędowych. Tylko jedna rzecz wydawała się znajoma dla ludzkich oczu, był to kolor statku. Jeśli obiekt ten istniał w rzeczywistości, a nie był tylko fantomem, jego twórcy musieli odbierać kolory podobnie jak ludzie, jednak z pewnością nie dzielali ludzkich ograniczeń, ponieważ wrzeciono wykonane było ze złota.

Bowman odwrócił głowę i przyglądał się opadającemu wrzecionu. Statek zignorował go całkowicie i zaczął opadać w kierunku jednej z tysięcy szczelin. Kilka sekund później zniknął ostatecznie w rozbłysku złota, zanurzony w głębinach planety. Bowman znów był sam pod groźnym niebem. Jego poczucie zgubienia i oddalenia było większe niż kiedykolwiek.

Spostrzegł, że jego kapsuła również obniża się ku mozaikowej powierzchni gigantycznego

światła. Rozwarł się pod nią kolejny prostokątny szyb. Puste niebo zamknęło się nad kapsułą, zegar stanął i Bowman ponownie zaczął opadać wzdłuż czarnych, nieskończonych ścian w kierunku odległych gwiazd. Był pewien, że nie wraca do Układu Słonecznego. Nagle doznał olśnienia i stwierdził, że poznał tajemnicę dziwnego świata, który opuścił.

Było to coś w rodzaju mechanizmu rozrządowego, kierującego gwiazdnym ruchem poprzez niewyobrażalne wymiary czasu i przestrzeni. Bowman przeleciał przez galaktyczną stację “Grand Central”.

42. OBCE NIEBO

Daleko z przodu ściany szczeliny stawały się coraz lepiej widoczne w słabym świetle spływającym z nieznanego źródła. A potem nagle ciemności rozproszyły się, gdy kapsuła znalazła się pośród rozgwieżdżonego nieba.

Bowman ponownie znalazł się w kosmosie takim, jaki znał. Jednak już na pierwszy rzut oka zorientował się, że oddalony jest o wieki świetlne od Ziemi. Nie próbował nawet znaleźć znajomych konstelacji, towarzyszących człowiekowi od narodzin ludzkości. Żadna z gwiazd świecących na niebie wokół kapsuły nie była znana ludzkim teleskopom.

Większość z nich zgrupowała się w świecący, otaczający niebo pas, poprzerwany tu i ówdzie ciemniejszymi wstęgami pyłu kosmicznego. Pas ten podobny był do Drogi Mlecznej, tylko dziesiątki razy jaśniejszy. Bowman zastanawiał się, czy jest to jego galaktyka oglądana z punktu znajdującego się w pobliżu jej jasnego, zatłoczonego środka.

Miał nadzieję, że tak właśnie było. Wolał być bliżej domu. Zdał sobie sprawę, jak dziecinna była ta myśl. Znajdował się w tak niepojętej odległości od Układu Słonecznego, że nie miało to większego znaczenia, czy był w swojej galaktyce, czy w jakiejś innej, najdalszej z tych, które kiedykolwiek obserwowano przez teleskopy.

Odwrócił się, aby popatrzeć na świat, który opuścił, i przeżył kolejny szok. Nie dostrzegł bowiem żadnego mozaikowego globu ani duplikatu Japetusa. Nie było tam nic, poza atramentowym cieniem pośród gwiazd, czegoś w rodzaju otwartych drzwi pomiędzy dwoma ciemnymi pokojami. Gdy przyglądał się im, drzwi się zamknęły. Nie oddalały się od niego, lecz stapiały z gwiazdami, jak gdyby naprawiono rozdarcie w kosmicznej tkaninie. Został sam pod obcym niebem.

Kapsuła obracała się, ukazując coraz to nowe cuda. Najpierw był to doskonale kulisty rój gwiazd, gęstniejący od brzegów do centrum, które świeciło jednostajnym blaskiem. Krawędzie roju nie były zbyt wyraźne, wyglądały jak cienka aureola słońc, które stapiały się niedostrzeżenie z tłem bardziej odległych gwiazd.

Ów świecący rój gwiazd był galaktyką kulistą, o czym Bowman wiedział. Spoglądał na coś, czego nie widział jeszcze żaden człowiek, a jeśli tak, to w postaci smugi światła w polu teleskopu. Nie pamiętał odległości od najbliższej, znanej galaktyki kulistej, był jednak pewien, że na przestrzeni tysiąca lat świetlnych od Układu Słonecznego nie było takiego obiektu.

Kapsuła w dalszym ciągu obracała się powoli. Jego oczom ukazał się widok jeszcze dziwniejszy - olbrzymie, czerwone słońce, wiele razy większe niż Księżyc widziany z Ziemi.

Bowman wpatrywał się w nie, nie czując bólu oczu. Sądząc z koloru, nie było bardziej gorące niż rozżarzony węgiel. Tu i ówdzie, osadzone w ponurej czerwieni, płynęły jasnożółte rzeki - gorące Amazonki, rozciągnięte na przestrzeni tysięcy mil, zanim zginęły w pustyniach umierającego słońca.

Umierającego? Nie - to nie była prawda. Wrażenie to wywoływały ludzkie odczucia doświadczane przy obserwowaniu zachodzącego Słońca, poświaty gasnących węgli. Była to gwiazda, która przeżyła gwałtowne, młodzieńcze uniesienia, zostawiła za sobą fiolety, błękity i zielenie spektralne kilku miliardów lat, po czym weszła w okres spokojnej dojrzałości, który miał trwać niewyobrażalnie długo. To, co stało się wcześniej, nie było nawet jedną tysięczną tego, co miało nadejść. Historia tej gwiazdy dopiero się rozpoczęła.

Kapsuła przestała się obracać. Olbrzymie, czerwone słońce znajdowało się z przodu. Bowman nie czuł ruchu, mimo to wiedział, że ciągle jeszcze znajduje się we władaniu siły, która przywiodła go tu z Saturna. Cała ziemską nauka i technika wydawały się beznadziejnie prymitywne w porównaniu z mocami, które prowadziły go ku nieznanemu.

Spojrzał na niebo przed sobą, starając się wyłowić cel, ku któremu zmierzał, być może była to jakaś planeta, okrążająca to ogromne słońce. Wokół nie było jednak żadnego globu o jakiejś wyjątkowej jasności. Jeśli gdzieś tutaj znajdowały się orbitujące planety, nie mógł ich dostrzec na gwieźdny tle.

Nagle zauważył, że coś dziwnego dzieje się na krawędzi szkarłatnego dysku. Pojawiła się tam biała poświata, która gwałtownie zwiększała swoją jasność. Zastanawiał się, czy to co widzi, jest jedną z nagłych erupcji lub protuberancji, które od czasu do czasu niepokoją większość gwiazd.

Światło stawało się jaśniejsze i bardziej niebieskie. Zaczęło rozszerzać się wzdłuż krawędzi słońca, którego krwistoczerwona barwa zanikała szybko w kontraście z jasnością. Wyglądało to tak - powiedział sobie Bowman, śmiejąc się z absurdalności tej myśli - jakby oglądał wschód słońca na słońcu.

I tak było w rzeczywistości. Ponad płonącym horyzontem wznosiło się coś niewiele większego od gwiazdy, coś tak jasnego, że nie można było na nim zatrzymać wzroku. Punkt białoniebieskiego blasku, podobny do łuku elektrycznego, poruszał się przez tarczę wielkiego słońca z niewiarygodną szybkością. Punkt ten musiał znajdować się bardzo blisko swojego gigantycznego towarzysza, ponieważ tuż pod nim, wyciągane do góry siłą jego grawitacji, znajdowały się kolumny płomieni o wysokości tysięcy mil. Wyglądało to tak, jak gdyby ognisty przepływ wędrował bez przerwy wzdłuż równika tej gwiazdy, na próżno usiłując dogonić płonący na niebie punkt.

Rozżarzony punkt był z pewnością Białym Karłem - jedną z tych dziwnych, małych

gwiazd, nie większych od Ziemi, lecz przewyższających ją masą. Podobnie niedobre małżeństwa nie były czymś niezwykłym; Bowman nigdy nie przypuszczał, że któregoś dnia zobaczy taką parę na własne oczy.

Biały Karzeł przebył prawie połowę tarczy swojego towarzysza - pełne okrążenie trwało zapewne kilka minut - gdy Bowman w końcu przekonał się, że sam też się porusza. Jedną z gwiazd przed nim stawała się coraz jaśniejsza i zaczęła przesuwac się na tle nieba. Musiało to być jakieś małe, bliskie ciało, być może świat, do którego zmierzał.

Obiekt znalazł się tuż przy nim z niespodziewaną szybkością i Bowman przekonał się, że nie był to żaden glob.

Z nicości wyłoniła się połyskująca pajęczyna czy siatka metalu o rozpiętości setek mil. Wypełniała całe niebo. Rozrzucone na powierzchni wielkości kontynentu znajdowały się struktury, które obszarem dorównywały miastu, lecz wyglądały jak maszyny. Wokół nich zgrupowane były dziesiątki mniejszych obiektów poustawianych w równych rzędach i kolumnach. Bowman przeleciał obok kilku takich grup, zanim zdał sobie sprawę, że były to floty statków kosmicznych. Mijał gigantyczny, orbitalny parking.

Ponieważ w pobliżu nie było żadnych znajomych obiektów, do których mógłby porównać skalę mijanej scenerii, rozmiar pojazdów zawieszonych w przestrzeni umykał jego ocenie. Z pewnością jednak były ogromne. Niektóre z nich musiały mieć kilka mil długości. Ich kształty były bardzo zróżnicowane - kule, kryształy, wysmukłe ołówki, elipsoidy, dyski. Musiało to być centrum gwiazdnego handlu. Lub raczej było - milion lat temu. Bowman bowiem nigdzie nie dostrzegł śladów jakiegokolwiek działalności. Ten olbrzymi port kosmiczny był martwy jak Księżyc.

Przekonał się o tym nie tylko z powodu braku jakiegokolwiek ruchu, lecz także dzięki nieomylnym znakom w postaci dziur wyrwanych w metalowej siatce przez przypadkowe asteroidy w kształcie os, które eony lat temu uderzyły w konstrukcję. Nie był to już parking, lecz kosmiczne złomowisko.

Rozmynał się z budowniczymi obiektu o wieki. Gdy zdał sobie z tego sprawę, poczuł obawę w sercu. Chociaż nie wiedział, czego może się spodziewać, miał przynajmniej nadzieję na spotkanie jakichś inteligentnych mieszkańców gwiazd. Teraz wyglądało, że jest już za późno. Czuł się schwyty w starożytną automatyczną pułapkę, zastawioną w niewiadomym celu i działającą, pomimo że jej twórcy odeszli w przeszłość. Pułapka przeniosła go przez galaktykę i wyrzuciła (być może jak wielu innych) w tym niebiańskim Morzu Sargassowym, skazanego na zagładę, gdy wyczerpie się zapas tlenu.

Cóż, nierozsądnie byłoby oczekiwać czegoś więcej. Zobaczył cuda, za które wielu ludzi poświęciłoby życie. Pomyślał o swoich zmarłych towarzyszach. Nie miał powodu do narzekań.

Opuszczony port kosmiczny przesuwał się z niezmienną szybkością. Mijał właśnie jego zewnętrzne krańce. Zobaczył znikającą zniszczoną krawędź. Teraz nic już nie przesłaniało gwiazd. Po kilku minutach port zniknął za kapsułą.

A więc nie to było jego celem. Przeznaczenie znajdowało się przed nim w postaci olbrzymiego, szkarłatnego słońca, ku któremu zmierzała kapsuła.

43. PIEKŁO

Czerwone słońce zajmowało teraz całe niebo. Znajdował się tak blisko, że jego powierzchnia straciła swój martwy bezruch, wywołany odległością. W tę i z powrotem przemieszczały się świetlne węzły, cyklony wznoszącego się i opadającego gazu, wzgórza sięgające powoli niebios. Powoli? Z pewnością unoszą się z prędkością miliona mil na godzinę, jeśli jego oczy są w stanie dostrzec ich ruch. ..

Nie próbował nawet odgadnąć rozmiarów piekła, ku któremu opadał. Bezmiar Saturna i Jowisza zdruzgotał go podczas przelotu "Odkrywcy" przez Układ Słoneczny, znajdujący się nie wiadomo ile gigamil za nim. Jednak wszystko, co zobaczył tutaj, było setki razy większe. Pozostało mu jedynie zaakceptować obrazy, które zalewały jego umysł, bez żadnych prób ich interpretacji.

Gdy morze ognia rozszerzyło się pod nim, Bowman nie odczuwał strachu. Jedyne co czuł, to lekka obawa, która nie wynikała wcale z oszołomienia cudami. Logika podpowiadała mu, że musi znajdować się pod opieką kierującej nim i niemal wszechmocnej inteligencji. Znajdował się teraz tak blisko czerwonego słońca, że powinien był spalić się, gdyby nie to, że promieniowanie gwiazdy musiało być ekranowane niewidzialną tarczą. Podczas swojej podróży poddany był przyspieszeniom, które powinny go były natychmiast zmiażdżyć - mimo to nie poczuł niczego. Jeśli w utrzymanie go przy życiu włożono tyle wysiłku, można było ciągle mieć nadzieję na przetrwanie.

Kapsuła poruszała się teraz wzdłuż wąskiego łuku, niemal równoległego do powierzchni słońca. Łuk jednak opadał ku gwiazdzie. Dopiero tutaj do uszu Bowmana dobiegły pierwsze odgłosy. Usłyszał odległy, ciągły ryk, przerywany od czasu do czasu dźwiękami podobnymi do tych, jakie wydaje rozdzielany papier lub daleki grzmot. Było to jednak słabe echo niewyobrażalnej kakofonii. Otaczająca go atmosfera drgała skurczami, które z pewnością miażdżyły każdy obiekt materialny na atomy. Jednak coś chroniło go przed tym niszczącym tumultem, podobnie jak przed gorącym.

Grzbiety płomieni o wysokości tysięcy mil wznosiły się i wolno opadały wokół niego, mimo to był całkowicie odizolowany od ich gwałtowności. Moce gwiazdy piekliły się wokół niego, wydawało się jednak, jakby były w innym wszechświecie. Kapsuła poruszała się pośród nich spokojnie, nie zagrożona w najmniejszym stopniu.

Oczy Bowmana, które przyzwyczyły się do dziwności i wielkości scenerii, zaczęły wylawiać szczegóły, których nie dostrzegł wcześniej. Powierzchnia gwiazdy nie była bezkształtnym chaosem. Istniał tu pewien wzór, jak we wszystkim co stworzyła natura.

Zauważył najpierw małe wiry gazu - prawdopodobnie nie większe od Azji czy Afryki - przemieszczające się po powierzchni gwiazdy. Niekiedy mógł spojrzeć bezpośrednio w środek wiru. Nigdzie jednak nie było plam słonecznych. Być może stanowiły one chorobę, na którą cierpiała wyłącznie gwiazda świecąca nad Ziemią.

Gdzieniedzie pojawiły się chmury, jak wstęgi dymu targane zawieruchą. Możliwe, że był to naprawdę dym, że mógł istnieć prawdziwy ogień, że mogły tworzyć się i trwać przez kilka sekund związki chemiczne, zanim zostały ponownie rozerwane przez gwałtowne siły nuklearne, które je otaczały.

Horyzont rozjaśniał się. Jego kolor zmieniał się z ponurej czerwieni na barwy żółtą i niebieską, a potem pokryty pęcherzami fiolet. Biały Karzeł wschodził nad horyzontem, ciągnąc za sobą falę gwiazdnego przypływu.

Bowman osłonił oczy przed oślepiającym blaskiem małego słońca i skoncentrował się na pofalowanej powierzchni gwiazdy wysysanej ku niebu przez pole grawitacyjne Karła. Kiedyś zdarzyło mu się widzieć trąbę wodną przesuwającą się przez Karaiby. Ta wieża ognia miała podobny kształt. Inna była tylko skala. Ognista kolumna miała prawdopodobnie podstawę szerszą od Ziemi.

Nagle, dokładnie przed sobą, Bowman dostrzegł coś niewątpliwie nowego, coś, czego nie mógłby przeoczyć, gdyby było tam wcześniej. Przez ocean świecącego gazu przeciskały się miriady paciorków. Świeciły perłowym światłem, które zwiększało się i zmniejszało w okresie kilku sekund. Wszystkie poruszały się w tym samym kierunku, jak pstrągi płynące w górę strumienia. Niekiedy drgały w przód lub w tył, a ich szlaki spletały się, jednak paciorki nigdy się nie dotykały.

Było ich tysiące. Im dłużej Bowman przyglądał się paciorkom, tym bardziej przekonany był o celowości ich ruchu. Znajdowały się w takiej odległości, że nie mógł dostrzec żadnych szczegółów ich budowy. To, że je w ogóle zauważył na tej olbrzymiej przestrzeni, oznaczało, że miały średnicę dziesiątek, a być może setek mil. Jeśli miały zorganizowaną strukturę, to były lewiatanami, odpowiadającymi wielkością światu, który zamieszkiwały.

Być może były to tylko chmury plazmy o tymczasowej stabilności, wynikającej z dziwnej kombinacji sił natury - jak krótkotrwałe pioruny kuliste, nad którymi głowią się ziemscy naukowcy. Mogło to być łatwe i prawdopodobnie uspokajające wyjaśnienie. Jednak gdy Bowman spoglądał w dół na ów gwiazdny strumień, nie mógł zaakceptować tej teorii. Błyszczące grudki światła wiedziały, dokąd zmierzały. Celowo dążyły ku ognistemu słupowi, który wznosił się za orbitującym Białym Karłem.

Bowman ponownie spojrzął na kolumnę wędrującą wzdłuż horyzontu pod małym, lecz

masywnym słońcem, które ją stworzyło. Czy była to tylko jego wyobraźnia, czy grudki jasnego światła wspinały się na gejzer gazu, jak gdyby miriady rozżarzonych iskierek połączyły się w kontynenty fosforescencji?

Pomysł ten był tak fantastyczny, że aż nieprawdopodobny, ale wydawało mu się, że przygląda się ni mniej ni więcej tylko emigracji z jednej gwiazdy na drugą, odbywającej się poprzez ognisty most.

Nigdy nie dowie się, czy był to tylko ruch bezmyślnych stworzeń pchanych jakimś kosmicznym instynktem lemingów, czy olbrzymie zgromadzenie inteligentnych bytów.

Poruszał się w zupełnie nieznanach regionach istnienia, o których człowiek nic nie wiedział. Poza królestwem mórz, lądów i przestrzeni znajdowała się dziedzina ognia, którą oglądał jako pierwszy z ludzi. Jakże więc mógł jeszcze zrozumieć?

44. GOŚCINA

Kolumna ognia wędrowała ponad krawędzią słońca, jak burza znikająca za horyzontem. Rozpędzone płomyki światła zniknęły z czerwonej powierzchni gwiazdy oddalonej ciągle o tysiące mil. Wewnątrz kapsuły, chroniony przed środowiskiem zewnętrznym, które mogłoby zanihilować go w przeciągu milisekundy, David Bowman czekał na to, co stanie się dalej.

Biały Karzeł zbliżał się do horyzontu, poruszając się po swej orbicie. Dotknąwszy krawędzi słońca, rozpalił ją, po czym zniknął. Fałszywy zmierzch zapadł nad znajdującym się w dole piekłem. W nagłej zmianie oświetlenia Bowman zdał sobie sprawę, że coś zaczęło się dziać w otaczającej go przestrzeni.

Czerwone słońce zaczęło falować tak, jak gdyby spoglądał na nie przez płynącą wodę. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie było to spowodowane rozszczepieniem światła, wywołanym przejściem niezwykle gwałtownej fali uderzeniowej w znękanej atmosferze, w której się pogrążył.

Robiło się coraz ciemniej. Zapadał głęboki zmierzch. Bowman spojrzął niechętnie do góry, a potem skorygował się trwożliwie, przypominając sobie, że główne źródło światła znajdowało się nie na niebie, lecz poniżej.

Zdawało mu się, że wyrastają wokół niego ściany z materiału podobnego do przydymionego szkła, odcinając go od czerwonej poświaty i zasłaniając widoczność. Stawało się coraz ciemniej. Znikał także odległy ryk gwiazdnych huraganów. Kapsuła leciała w ciszy i nocnych ciemnościach. Chwilę później nastąpił delikatny wstrząs; pojazd stanął na jakiejś twardej powierzchni i znieruchomiał.

Znieruchomiał na czym? - spytał siebie Bowman z niedowierzaniem. Powróciło światło i niedowierzanie ustąpiło miejsca trwożliwej rozpacz, gdy bowiem Bowman zobaczył to, co znajdowało się wokół, niego, stwierdził, że musiał oszaleć.

Był przygotowany - jak myślał - na każdy cud. Jediną rzeczą jakiej się nie spodziewał był znajomy krajobraz.

Kapsuła spoczywała na błyszczącej podłodze eleganckiego, anonimowego pokoju hotelowego, który mógł się znajdować w każdym ziemskim mieście. Spoglądał na salon ze stolikiem do kawy, dywanem, tuzinem krzeseł, biurkiem, mnogością lamp, na pół wypełnioną biblioteczką, na której leżały czasopisma, i nawet z wazonem pełnym kwiatów. Most w Arles van Gogha wisiał na jednej ze ścian, na drugiej zaś dostrzegł Świat Krystyny Wyetha. Był przekonany, że gdy otworzy szufladę biurka, znajdzie wewnątrz Biblię Gideona ...

Jeśli naprawdę oszalał, jego halucynacje miały piękną postać. Wszystko było doskonale

rzeczywiste, nic nie zniknęło, gdy odwracał głowę. Jedynym nie pasującym do tej sceny elementem - i niestety podstawowym - była sama kapsuła.

Przez wiele minut Bowman nie ruszał się z fotela. Oczekiwał, że wizje wokół niego zginą. Były one jednak tak realne, jak wszystko, co do tej pory widział w życiu.

To była rzeczywistość lub fantom powstały w jego zmysłach o tak doskonałej konstrukcji, że nie można było go odróżnić od rzeczywistości. Być może był to rodzaj testu. Jeśli tak, to od jego reakcji w następnych minutach zależał los nie tylko jego, ale i całej rasy ludzkiej.

Mógł siedzieć tutaj i czekać, aż coś się stanie, lub otworzyć kapsułę i wyjść na zewnątrz, aby zmierzyć się z otaczającym go światem.

Podłoga wyglądała dość solidnie; stała na niej przecież kapsuła. Na pewno nie spadnie w dół, czymkolwiek był ten "dół".

Pozostawała sprawa powietrza. W pokoju, na pierwszy rzut oka, mogła panować próżnia lub - co gorsza - mógł on być wypełniony trującym gazem. Jednak było to mało prawdopodobne, nikt nie zadawałby sobie tyle trudu bez zadbania o ten podstawowy szczegół, wolał jednak nie podejmować niepotrzebnego ryzyka. Lata treningu uczuliły go na te sprawy; niechętnie wystawiał się na działanie nieznanego środowiska, chyba że nie było innego wyjścia. To miejsce wyglądało jak pokój hotelowy gdzieś w Stanach Zjednoczonych. Jednak nie zmieniało to faktu, że znajdował się setki lat świetlnych od Układu Słonecznego.

Zamknął hełm skafandra, izolując się od otoczenia i uruchomił zasuwę kapsuły. Usłyszał krótki syk wyrównywanego ciśnienia. Następnie wyszedł.

Stwierdził, że przyciąganie jest absolutnie normalne. Podniósł rękę i pozwolił jej opaść. Znalazła się przy jego boku w czasie krótszym od sekundy.

Fakt ten sprawił, że wszystko dookoła wydało się podwójnie nierzeczywiste. Oto stał ubrany w skafander - a powinien unosić się - poza pojazdem, który funkcjonował jedynie w stanie nieważkości. Wszystkie wyuczone odruchy astronauty zostały wystawione na próbę. Musiał zastanawiać się nad każdym ruchem.

Jak człowiek w transie ruszył przed siebie z pustej, nieumeblowanej części pokoju ku hotelowemu apartamentowi, który wbrew jego podejrzaniom nie zniknął, gdy zaczął się zbliżać. Wszystko było nadal rzeczywiste i trwałe.

Zatrzymał się przy stoliku do kawy. Znajdował się na nim konwencjonalny telefon wizyjny systemu Bella, obok którego leżała książka telefoniczna. Pochylił się i podniósł ją niezdarnymi dłońmi w rękawicach.

Na książce widniał znajomy napis, wydrukowany charakterystycznymi literami, które widywał tysiące razy: WASHINGTON D.C.

Zaczął dokładniej oglądać książkę i po raz pierwszy znalazł obiektywny dowód na to, że chociaż wszystko było rzeczywiste nie znajdował się na Ziemi.

Jedynym prawdziwym napisem było słowo Washington, reszta zaś stanowiła niewyraźne pasmo druku, jak gdyby skopiowane z fotografii. Otworzył książkę na chybił trafił i zaczął przerzucać stronicę. Były to nie zadrukowane kawałki białego, szorstkiego materiału, który z pewnością nie był papierem, choć bardzo go przypominał.

Podniósł słuchawkę telefonu i przyłożył do plastikowego hełmu. Jeśli będzie sygnał na pewno usłyszy go przez dobrze przewodzący materiał. Ale tak jak podejrzewał, telefon milczał.

Więc wszystko było oszustwem, chociaż fantastycznie dokładnym. I z pewnością oszustwo nie miało wprowadzać go w błąd, lecz - jak miał nadzieję - uspokoić. Ucieszyła go ta myśl. Niemniej jednak nie zdejmie skafandra, dopóki nie skończy eksploracji.

Meble wyglądały na prawdziwe i solidne. Wypróbował wszystkie krzesła - wszystkie bez wyjątku podtrzymały jego ciężar. Jednak szuflady biurka nie otwierały się; były makietami.

Podobnie jak książki i czasopisma, na których - tak jak w przypadku książki telefonicznej - odczytać mógł wyłącznie tytuły. Księgozbiór był dosyć dziwny, jeśli chodzi o dobór, w większości składał się z nic niewartych bestsellerów, kilku sensacyjnych reportaży i paru szeroko reklamowanych autobiografii. Wszystkie książki pochodziły przynajmniej sprzed trzech lat i ich wartość intelektualna była prawie żadna. Nie miało to większego znaczenia, bo i tak nie można było zdjąć ich z półek.

W pokoju znajdowało się dwoje drzwi, które z łatwością dawały się otworzyć. Pierwsze z nich prowadziły do małej, lecz wygodnej sypialni, wyposażonej w łóżko, biurko, dwa krzesła, działające kontakty świetlne i szafę na ubrania. Bowman otworzył ją i znalazł cztery garnitury, szlafrok, tuzin białych koszul, kilka par bielizny. Wszystko schludnie wiszące na wieszakach.

Zdjął jeden garnitur i obejrzał go dokładnie. Jeśli dobrze oceniał ubranymi w rękawice dłońmi, garnitur uszyty był z materiału bardziej przypominającego futro niż wełnę. Był także trochę niemodny. Na Ziemi od czterech lat nikt nie nosił garniturów jednorzędowych.

Obok sypialni znajdowała się łazienka wyposażona w urządzenia, które, jak z ulgą zauważył, nie były makietami, lecz działały normalnie. Za łazienką mieściła się, kuchenka z elektrycznym piecykiem, lodówką, kredensem wypełnionym porcelaną i sztucami, zlewozmywakiem, stołem i krzesłami. Bowman rozpoczął inspekcję nie tylko z zaciekawieniem, ale i z wzrastającym głodem.

Najpierw otworzył lodówkę, z której uniósł się obłok chłodnej pary. Półki były wypełnione paczkami i puszkami, które z daleka wyglądały znajomo, ale przy bliższym zbadaniu ukazywały rozmazane nalepki. Zauważył również symptomatyczną nieobecność jajek, mleka, masła, mięsa i

owoców oraz innych świeżych produktów. W lodówce znajdowała się jedynie żywność, którą wcześniej opakowano.

Bowman wyjął karton znanych śniadaniowych płatków kukurydzianych, myśląc jednocześnie, że lodówka to dziwne miejsce do ich przechowywania. W momencie kiedy podniósł paczkę, zorientował się, że na pewno nie zawierała ona płatków. Była na to zbyt ciężka.

Otworzył ją i zbadał zawartość. Pudełko wypełniała lekko wilgotna, niebieska substancja, przypominająca konsystencją i wagą ciasto chlebowe, pomimo dziwnego koloru wyglądała apetycznie.

To śmieszne - pomyślał Bowman. Na pewno ktoś mi się przygląda, a ja jak idiota noszę skafander. Jeśli jest to test na inteligencję, na pewno nie zdałem. Bez dalszej zwłoki powrócił do sypialni i zaczął odpinać zatrzaski hełmu. Gdy wszystkie zapięcia puściły, podniósł hełm o ułamek cała, zerwał plombę i ostrożnie pociągnął nosem. To, czym oddychał, było zupełnie normalnym powietrzem.

Rzucił hełm na łóżko i z ulgą zaczął zdejmować skafander, czuł się już nieco zeszywniały. Gdy skończył, przeciągnął się, wziął kilka głębokich oddechów i ostrożnie powiesił skafander pośród konwencjonalnych ubrań znajdujących się w szafie. Skafander wyglądał nieco dziwnie pośród garniturów, jednak przyzwyczajenie do porządku właściwe wszystkim astronautom nie pozwoliło Bowmanowi zostawić go gdziekolwiek indziej.

Szybko wrócił do kuchni i ponownie zaczął badać zawartość pudełka z "płatkami". Niebieskie ciasto chlebowe pachniało delikatnie przyprawami jak makaroniki. Bowman przez chwilę ważył je w ręce, wziął kawałek i ostrożnie powąchał. Był pewien, że nikt nie będzie starał się go otruć, zawsze jednak zachodziła obawa pomyłki, szczególnie jeśli chodzi o sprawy tak skomplikowane jak biochemia.

Ugryzł małeńki kęs, przeżuł i połknął. Jedzenie smakowało wyśmienicie, chociaż wrażenia smakowe były tak ulotne, że aż trudne do opisanie. Zamknąwszy oczy, wyobrażał sobie, że było to mięso lub chleb czy nawet suszone owoce. Zakładając, że nie pojawią się nieoczekiwane efekty uboczne, mógł przestać obawiać się głodu.

Po zjedzeniu kilku kęsów substancji poczuł się syty i zaczął rozglądać się za czymś do picia. Z tyłu lodówki znalazł pół tuzina puszek z piwem znanej marki. Otworzył jedną z nich.

Metalowe zamknięcie odskoczyło z sykiem -całkiem zwyczajnie. Jednak puszka nie zawierała piwa. Bowman z rozczarowaniem stwierdził, że w środku znajduje się niebieska substancja odżywcza.

W ciągu kilku sekund otworzył połowę pozostałych puszek i opakowań. Bez względu na nalepki, wszystkie miały taką samą zawartość. Wyglądało na to, że jego dieta nie będzie zbyt

urozmaiconą. Do picia pozostawała mu woda. Odkręcił kurek i napełnił szklanekę. Ostrożnie wziął pierwszy łyk.

Od razu wypluł pierwsze krople. Smak wody był okropny. A potem, jak gdyby wstydząc się swojej instynktownej reakcji, zmusił się do wypicia reszty.

Pierwszy łyk wystarczył mu do rozpoznania płynu. Woda smakowała okropnie, ponieważ w ogóle nie miała smaku. Z kranu ciekła czysta woda destylowana. Nieznani gospodarze z pewnością dbali o jego zdrowie.

Czując się znacznie lepiej, Bowman wziął szybki prysznic. Brakowało mydła, co było kolejną drobną niedogodnością. Zamiast tego skorzystał z bardzo wydajnej suszarki, po czym ubrał się w bieliznę, podkoszulek i szlafrok, korzystając z zapasów znajdujących się w szafie. Położył się na łóżku i zaczął zastanawiać się nad swoją niezwykłą sytuacją.

Nie wymyślił nic rozsądnego, a jego uwagę przykuła kolejna rzecz: Nad łóżkiem znajdował się zwyczajny hotelowy ekran telewizyjny, umieszczony pod sufitem. Bowman założył, że podobnie jak telefon i książki jest to tylko makieta.

Jednak pilot telewizora wmontowany w oparcie łóżka wyglądał tak realistycznie, że nie mógł oprzeć się pokusie włączenia aparatu. Gdy dotknął odpowiedniego klawisza, ekran rozjaśnił się.

Podekscytowany, zaczął przyciskać na chybił trafił klawisze kanałów i prawie natychmiast dotarł do niego pierwszy obraz.

Był to znany dziennikarz afrykański, omawiający wysiłki, jakie podejmuje się w celu ochrony środowiska naturalnego w jego kraju. Bowman słuchał go przez kilka sekund, urzeczony brzmieniem ludzkiego głosu, nie zwracając zupełnie uwagi na sens wypowiedzi. Potem zmienił kanał.

W przeciągu następnych pięciu minut na ekranie telewizora pojawiły się: orkiestra symfoniczna, grająca Koncert skrzypcowy Waltera, dyskusja na temat smutnego stanu teatru realistycznego, western, pokaz nowego leku przeciw bólowi głowy, teleturniej w jakimś wschodnim języku, psychodrama, trzy dzienniki telewizyjne, mecz piłki nożnej, wykład z geometrii (po rosyjsku), kilka obrazów kontrolnych i sygnałów przekazywania danych. Był to całkowicie normalny wybór światowych programów telewizyjnych. Bowman poczuł się znacznie lepiej psychicznie, jednak w jego głowie zaczęło kiełkować pewne podejrzenie.

Wszystkie programy pochodziły mniej więcej sprzed dwóch lat, to znaczy z okresu odkrycia AMT-1. Trudno było uwierzyć, że jest to czysty przypadek. Coś musiało obserwować fale radiowe. Ten hebanowy blok był bardziej zajęty, niż się ludziom zdawało.

W dalszym ciągu przerzucał kanały i nagle rozpoznał znajomą scenę. Oto na ekranie

pojawił się pokój, w którym przebywał, zajmowany przez znanego aktora, który gwałtownie oskarżał swoją niewierną kochankę. Bowman z niedowierzaniem spojrział na pomieszczenie, które niedawno opuścił. Gdy kamera skierowała się za skłóconą parą w stronę sypialni, niechętnie spojrział na drzwi w oczekiwaniu na ich wejście.

A więc w taki sposób przygotowano jego gościnę. Wiedza jego gospodarzy na temat życia na Ziemi zaczerpnięta była z programów telewizyjnych. Poczł się tak, jakby był w samym środku planu filmowego.

Dowiedział się niemal wszystkiego, co chciał w tej chwili wiedzieć. Wyłączył telewizor. Co mam dalej robić? - pytał sam siebie. Założył ręce za głowę i wpatrywał się w niemy ekran.

Czuł się fizycznie i psychicznie wyczerpany, jednak sen w tak fantastycznym otoczeniu i w takiej odległości od Ziemi, w jakiej nie przebywał jeszcze żaden człowiek, wydał mu się niemożliwy. Ostatecznie wygodne łóżko i zmęczenie zrobiły swoje. Poszukał kontaktu i pokój zalały ciemności. Po kilku sekundach znalazł się nawet poza zasięgiem snów.

David Bowman spał po raz ostatni.

45. PODSUMOWANIE

Meble nie były już potrzebne. Roztopiły się w umyśle ich twórcy. Pozostało tylko łóżko i ściany, chroniąc ten kruchy organizm przed otaczającymi go mocami.

David Bowman bezustannie poruszał się we śnie. Nie budził się ani nie śnił, nie był jednak całkowicie pozbawiony świadomości. Coś wdzierало się do jego umysłu jak mgła pełzająca przez las. Wrażenia, jakie odbierał, były bardzo słabe, pełne uderzenie zniszczyłoby go tak jak ogień szalejący na zewnątrz. Nie czuł ani nadziei, ani strachu, jedynie beznamiętną analizę. Opuściły go wszystkie uczucia.

Wydawało mu się, że płynie w otwartej przestrzeni. Wokół niego, we wszystkich kierunkach, rozciągały się nieskończone, geometryczne siatki ciemnych linii czy nici, wzdłuż których poruszały się niewielkie punkty światła - niektóre powoli, inne zaś z oszalamiającą prędkością. Kiedyś oglądał pod mikroskopem przekrój ludzkiego mózgu. Siatka włókien nerwowych ukazywała podobny labirynt połączeń.

Jednak mózg badany pod mikroskopem był martwy, podczas gdy to co widział, było kwintesencją samego życia. Wiedział lub wydawało mu się, że wiedział, iż to co ogląda, jest gigantycznym, działającym umysłem, kontemplującym wszechświat, którego był małą częścią.

Wizja czy iluzja trwała tylko przez chwilę. Krystaliczne płaszczyzny i siatki, zazębiające się perspektywy poruszających się światła, zniknęły, gdy David Bowman przeniósł się w takie rejony świadomości, w jakich nie przebywał jeszcze żaden człowiek.

Najpierw wyglądało to tak, jak gdyby czas zaczął się cofać. Gotów był zaakceptować nawet ten cud, gdy zdał sobie sprawę z tego, co dzieje się naprawdę.

Odkręcały się sprężyny pamięci. Zaczął na nowo przeżywać przeszłość. Najpierw pojawił się pokój hotelowy, a potem kapsuła, płonące krajobrazy czerwonego słońca, świecące serce galaktyki i wrota, przez które wpłynął do tego wszechświata. Cofały się nie tylko obrazy, ale i wrażenia zmysłowe, które odczuwał w przeszłości. Wszystko to powracało coraz szybciej i szybciej. Jego życie odkręcało się jak taśma magnetofonowa przewijająca się ze wzrastającą prędkością.

Znów był na pokładzie "Odkrywcy". Niebo wypełniały pierścienie Saturna. Powtarzał swoją ostatnią rozmowę z Halem. Widział, jak Frank Poole wybiera się w swoją ostatnią misję. Słyszał głos Ziemi zapewniający go, że wszystko jest w porządku.

Gdy przeżywał na nowo te wydarzenia, wiedział, że nie wszystko jest w porządku. Opadał korytarzami czasu. Pozbawiano go jego wiedzy i doświadczenia. Cofał się do dzieciństwa. Nic

jednak nie zostało zaprzepaszczone. Wszystko czym był w każdym momencie swojego życia przenoszono w bezpieczne miejsce. Gdy jeden David Bowman przestawał istnieć, rodził się inny Bowman - nieśmiertelny.

Coraz szybciej przenosił się w zapomniane lata nieskomplikowanego świata. Twarze, które kiedyś kochał i stracił bezpowrotnie, uśmiechały się do niego przyjaźnie. Odwzajemnił ten uśmiech z radością i bez bólu.

Proces dobiegał końca. Studnie pamięci były niemal suche. Czas zaczął zwalniać, zbliżając się do momentu całkowitego spoczynku, jak wahadło wykreślające łuk, na którego granicy zamiera na jeden wiekuisty moment, zanim rozpocznie nowy cykl.

Nieskończona chwila minęła. Wahadło zaczęło opadać. W pustym pokoju, unosząc się pośród płomieni podwójnej gwiazdy, dwadzieścia tysięcy lat świetlnych od Ziemi, niemowlę otworzyło oczy i zaczęło płakać.

46. Przemiana

A potem uciszyło się, zobaczywszy, że nie jest już samo. W pustej przestrzeni unosił się niematerialny, świecący prostokąt. Prostokąt zmaterializował się w krystaliczną płaszczyznę. Stał się nieprzezroczysty i zaczął opalizować bladą, mleczną luminescencją. Zwodnicze, nieokreślone fantomy przesuwały się po jego powierzchni i w jego głębi.

Łączyły się w pasy światła i cienia, formując następnie zazębiające się, promieniste wzory, które zaczęły się wolno obracać, w rytm wypełniającej całą przestrzeń pulsacji.

Było to widowisko przyciągające uwagę każdego dziecka - i każdego małpoluda. Jednak podobnie jak trzy miliony lat temu był to jedynie zewnętrzny pokaz sił, zbyt skomplikowanych, aby można je było pojąć świadomie; zabawka odwracająca uwagę zmysłów, podczas gdy prawdziwy proces przeprowadzano w znacznie głębszych pokładach umysłu.

Tym razem proces wprowadzania nowych wzorów był szybki i sprawny. Poprzez eony lat, jakie minęły od ostatniego spotkania, nauczyciel bardzo się udoskonalił. Także materiał, z jakim miał do czynienia, posiadał znacznie lepszą jakość. Przyszłość pokaże, czy uczeń dostąpi zaszczytu wtopienia się w stale rosnący potencjał mistrza.

Niemowlę wpatrywało się w głębiny kryształowego monolitu oczami, w których widoczna była bardziej niż ludzka determinacja. Niemowlę widziało, ale nie rozumiało jeszcze tajemnic, które się przed nim otwierały.

Wiedziało, że jest w domu, że tutaj był początek wielu ras oprócz jego własnej. Wiedziało także, że nie może pozostać tu na zawsze. Za chwilę oczekiwały je kolejne narodziny, inne od tych z przeszłości.

I oto nadszedł ten moment: świecące wzory nie odbijały już echem sekretów serca kryształu. Wraz z ich zniknięciem ochronne ściany zapadły także w niebyt, z którego na krótko powstały. Czerwone słońce wypełniło niebo.

Metal i plastik zapomnianej kapsuły, a także ubiór noszony kiedyś przez istotę nazywającą się David Bowman, zginęły w płomieniach. Ostatnie połączenie z Ziemią zostało zerwane, rozpadło się na atomy, z których powstało.

Niemowlę nie zwróciło na to uwagi, układając się w wygodnej poświacie nowego otoczenia. Ciągłe jeszcze potrzebowało tej łupiny materii koncentrującej jego siły. Lecz to się zmieni. Jego niezniszczalne ciało było obecnie projekcją jego wyobraźni. Pomimo sił, jakie posiadał, był jeszcze ciągle dzieckiem. I pozostanie nim, dopóki nie zdecyduje się na inną postać lub całkowite porzucenie materii.

Nadszedł czas, aby odejść, chociaż w pewnym sensie nigdy nie opuścił miejsca swoich powtórnych narodzin, ponieważ na zawsze pozostanie częścią bytu, który spożytkował tę podwójną gwiazdę dla swoich niezgłębionych celów. Kierunek przeznaczenia - chociaż nie znał jeszcze jego natury - został jasno wytyczony. Nie było potrzeby odnajdywania krętych ścieżek, którymi tu przybył. Dzięki instyktom trzech milionów lat pojął, że w przestrzeni istnieje więcej dróg niż ta jedna, którą znał do tej pory. Starożytny mechanizm Kosmicznych Wrót spełnił dobrze swoją rolę. Teraz jednak nie był mu już potrzebny.

Błyszczący prostokątny kształt, który kiedyś wydawał się jedynie kryształową płytą, ciągle unosił się przed nim, obojętny - podobnie jak on - na nieszkodliwe płomienie leżącego poniżej piekła. Zawierał w sobie niezgłębione jeszcze sekrety czasu i przestrzeni, z których część już zrozumiał i umiał się nimi posługiwać. Jak oczywisty - jak n i e -zbędny- był matematyczny stosunek jego boków, owa kwadratowa sekwencja 1:4:9! I jak naiwnie byłoby wyobrażać sobie, że sekwencja kończyła się w tym punkcie, jedynie w trzech wymiarach!

Skoncentrował się na tych geometrycznych uproszczeniach i gdy jego umysł przemknął po nich, pustą przestrzeń wypełniła międzygwiazdna noc. Zginęła poświata czerwonego słońca lub raczej rozbiegła się naraz we wszystkich kierunkach. Tuż przed nim pojawił się świetlisty wir galaktyki.

Wyglądał jak jakiś niezwykle piękny i szczegółowy model zatopiony w bloku przezroczystego plastiku. Jednak galaktyka była rzeczywista. Ogarniał ją całą zmysłami o wiele doskonalszymi od wzroku. Gdyby chciał, mógłby skierować swoją uwagę na dowolną gwiazdę spośród setek miliardów. Mógł także znacznie więcej.

Oto płynął pośród olbrzymiej rzeki słońc, w połowie drogi pomiędzy ognistymi ławicami serca galaktyki a samotnymi, rozrzuconymi gwiazdami, pełniącymi wartę na jej krawędzi. I tutaj chciał być, na dalekim końcu niebieskiej otchłani, spiralnego pasa ciemności bez gwiazd! Wiedział, że ten pozbawiony formy chaos, widoczny jedynie dzięki poświacie ognistych mgieł, zakreślającej jego krawędzie, był nie wykorzystanym jeszcze tworzywem istnienia, materiałem ewolucji, która jeszcze nie nadeszła. Tutaj Czas jeszcze się nie zaczął. I nie zacznie, dopóki nie umrą świecące teraz słońca, po to by nowe światło nadało żywy kształt tej pustce.

Nieświadomie przebył już raz tę otchłań. Teraz przebywał ją ponownie, tym razem z własnej woli. Myśl ta napełniła go paralizującym strachem. Przez moment był całkowicie zdezorientowany i jego nowy ogląd wszechświata zatrzęsł się w posadach, grożąc rozpadnięciem na tysiące fragmentów.

Jego duszy nie zmroził strach przed galaktycznymi prądami, lecz znacznie głębszy niepokój wywołany nieznaną jeszcze przyszłością. Zostawił za sobą miary czasu właściwe ludzkiej naturze i

teraz, gdy rozmyślał o bezgwiazdnej nocy, poznał po raz pierwszy otwierającą się przed nim otchłań Wieczności.

Jednak przypomniał sobie, że nigdy nie będzie sam i panika powoli minęła. Powrócił kryształowy ogląd wszechświata, nie tylko zresztą dzięki jego wysiłkom. Wiedział, że jeśli będzie potrzebował pomocy w swoich pierwszych niepewnych krokach, pomoc ta nadejdzie.

Odzyskawszy wiarę w siebie, jak nurek, który uspokoił nerwy, wyruszył w podróż trwającą lata świetlne. Galaktyka rozerwała ramy myśli, w których ją zamknął. Gwiazdy i mgławice przelewały się obok niego z iluzoryczną, nieskończoną szybkością. Fantomy słońce eksplodowały i zostawały z tyłu, gdy jak cień przenikał przez ich serca. Zimna, czarna pustynia kosmicznego pyłu, której kiedyś się tak obawiał, wydała mu się jedynie uderzeniem skrzydeł kruka na słonecznej tarczy.

Gwiazdy znikwały. Blask Drogi Mlecznej ciemniał w bładą, upiorną poświatę, którą znał już wcześniej i poznał na nowo, gdy przyjdzie na to czas.

Znalazł się z powrotem dokładnie tam, gdzie chciał być, w przestrzeni, którą ludzie nazywają rzeczywistością.

47. GWIEZDNE DZIECKO

Tuż przed nim unosiła się świecąca zabawka, której nie mogło oprzeć się żadne Gwiazdne Dziecko - planeta Ziemia, z jej wszystkimi mieszkańcami.

Powrócił w porę. W dole, na zatłoczonym globie, sygnały ostrzegawcze rozświetlały ekrany radarów, olbrzymie teleskopy przeszukiwały niebo - i historia, taka jaką stworzył człowiek, zbliżała się do końca.

Zdał sobie sprawę, że tysiąc mil poniżej obudził się uśpiony ładunek śmierci, poruszający się powoli po orbicie. Słabe moce, które zawierał, nie stanowiły dla niego zagrożenia. Wolał jednak czystsze niebo. Natężył swoją wolę i orbitujące megatony rozkwitły w cichej detonacji, rozświetlając na krótko, nieprawdziwym światem połowę uśpionego globu.

A potem czekał, porządkując myśli i dumając nad swoimi, ciągle niepojętymi siłami. Bo chociaż był władcą świata, nie był pewien, co robić dalej.

Jednak z pewnością coś wymyśli.

KONIEC